

NIEMCY CHCĄ ZASTĄPIĆ AMERYKANÓW W NATO

RZEŹ WOŁYŃSKA TO NIE BYŁ KONIEC TRAGEDII

TO NIE JEST HOTEL NA CICHY URLOP. BYLIŚMY W NOWYM GOŁĘBIEWSKIM

SIECI

CZAS PATRIOTÓW, CZYLI DLACZEGO RZĄD ROZBRAJA POLSKĘ

SIECI

NAJWIĘKSZY KONSERWATYWNY TYGODNIK OPINII W POLSCE

29 (711) 2026
13–19 lipca 2026
CENA: 13,90 zł
(w tym 8% VAT)

RAFAŁ TRZASKOWSKI

DZIĘKI BOGU NIE ZOSTAŁ PREZYDENTEM POLSKI

AFERA SZPITALNA POKAZAŁA, ŻE WŁODARZ STOLICY TO MARIONETKA. NIC NIE WIDZIAŁ, NIC NIE WIEDZIAŁ, NIC NIE MOŻE. CZY TO JEGO KONIEC?

INDEKS 287393 ISSN: 2544-2694
Numer w sprzedaży do 20 VII 2026 r.

wPolityce.pl

NAJŚWIEŻSZE INFORMACJE

nawet kiedy śpisz



WEJDŹ NA:

wPolityce.pl



Anca Cernea: pożegnanie



Fot. Julita Szewczyk

6 lipca w wieku 61 lat umarła w Bukareszcie Anca Cernea, lekarz, teolog, działaczka polityczna i społeczna, wielka przyjaciółka Polski i Polaków. Była twórcą i naczelną portalu In Linie Dreapta, znaczącego ośrodka po prawej stronie rumuńskiej sceny politycznej. Integrował on nietypowe w Rumunii środowisko, które zachowując konserwatywną postawę, cechowało się rezerwą wobec obecnego kształtu Unii Europejskiej. Generalnie prawica rumuńska ciąży ku niej, gdyż w walce z postkomunistyczną oligarchią odwołuje się do europejskich standardów praworządności. In Linie Dreapta wskazywała kulturowe fundamenty obecnych sporów politycznych i niebezpieczeństwa autodestrukcji Zachodu.

Cernea, grekokatoliczka, była m.in. świecką audytorką synodu o rodzinie w 2015 r. Jej wystąpienie wywołało wielkie poruszenie. Żartowała, że powtórzyła w nim wyłącznie elementarną zasadę katechizmu, deklarując, że źródłem zła na świecie nie jest emisja dwutlenku węgla ani nierówności społeczne, ale grzech człowieka.

Jej ojciec, Ion Bărbuș, był prezesem odnowionej po upadku Ceaușescu Partii Narodowo-Chłopskiej, znaczącego przedwojennego ugrupowania demokratycznego. Wcześniej był jego ważnym działaczem. Po wojnie spędził 17 lat w więzieniach; blisko 7 przebywał w specjalnym ośrodku Râmnicu Sărat w izolatce, do której nie dochodziły żadne odgłosy z zewnątrz. W tym samym więzieniu 10-letni wyrok odsiadywał ojciec matki Cernei. Po wypuszczeniu Bărbușa zesłano na wieś. Ze względu na jego stan rozbawieni strażnicy dawali mu co najwyżej kilka tygodni życia.

W Rumunii stężenie komunistycznego terroru było bez porównania większe niż w Polsce. Liczbę jego ofiar w latach 1947–1964 szacuje się na 200 tys. zamordowanych, przez więzienia przeszło ok. 2 mln ludzi, czyli jedna ósma całej populacji.

Rodzice Cerenei zaręczyli się po wojnie, tuż przed aresztowaniem. Jej matka stosunkowo szybko opuściła więzienie i czekała na swojego przyszłego męża, nie mając żadnych świadectw jego życia. Była pewna, że narzeczony nie zginął, a po jego uwolnieniu założą rodzinę. I tak się stało. Anca miała jeszcze młodszą siostrę.

Dziewczęta dorastały w środowisku, które prześladowane było przez komunistyczny aparat represji. Kościół greckokatolicki był zakazany. Do pewnego momentu siostry myślały, że więzienie jest naturalnym etapem edukacji, który trzeba przejść po skończeniu studiów albo przed nimi.

Cernea zaangażowana była w rewolucję 1989 r., w którą przekształcił się zamach stanu komunistycznej frakcji Iona Iliescu. Niestety komuniści potrafili spacyfikować protest społeczny. Rumuni nie poddawali się jednak, a środowisko Cernei działało na rzecz odsunięcia ich od władzy. Ona sama była prezesem fundacji, której patronem był jej ojciec. W latach 1998–2000 stała na czele Międzynarodowego Departamentu Administracji Lokalnej rządu Rumuńskiego.

Miałem zaszczyt znać ją osobiście i przyjaźnić się z nią i jej mężem Vincentem, również lekarzem. To ona znalazła mnie po katastrofie smoleńskiej i poprosiła o skomentowanie jej dla In Linie Dreapta. Dla Rumunów – poza garstką intelektualistów, jak zauważała Cernea – sprawa nie budziła wątpliwości. Uznawała ona, że 10 kwietnia 2010 r. dla naszej części Europy był jak 11 września dla Amerykanów i demonstrował jaką iluzją są nasze wyobrażenia o bezpieczeństwie. Rozwój wydarzeń potwierdził tylko tę diagnozę.

Cernea polskiego nauczyła się już w latach 80. Cała jej rodzina postrzegała nasz kraj jako model antykomunistycznego oporu. Jan Paweł II był dla nich bohaterem.

Również po upadku Ceaușescu doceniali Polskę, jej obronę swojej tożsamości, religii i kultury oraz ich znaczenie dla polityki.

Wiadomości z Polski były istotnym elementem redagowanego przez nią portalu. Również Lech Kaczyński był przedstawiany w nim jako prawdziwy mąż stanu, a jego zaangażowanie na rzecz zatrzymania inwazji rosyjskiej na Gruzję – za wzorcowe. Jego zabiegi na rzecz Międzymorza łączyły rację stanu obu naszych krajów. Cernea angażowała się w propagowanie myśli polskiej w Rumunii. Powtarzała zawsze, że jako patriotka uznaje Polskę za optymalnego przywódcę krajów Międzymorza.

W 2018 r. Cernea otrzymała Medal „Odwaga i Wiarygodność" przyznawany corocznie przez Fundację Polska Wielki Projekt obcokrajowcom działającym na rzecz Polski. Jej bezinteresowne zaangażowanie w naszą współpracę powinno pozostać dla nas drogowskazem.

Bronisław Wildstein

Autopromocja

eprasa.pl 11e7e24d55

SIECI

spis treści



26 Wyrok na Tuska
Stanisław Janecki



32 Sologamia, czyli triumf kultury „ja”
Dorota Łosiewicz



48 Czip wyczuł włos
Maciej Pawlicki

NA POCZĄTEK

5 **KLĘSKA DOBRA WSPÓLNEGO**
Bronisław Wildstein

6 **SYGNALISTA NADAJE**
Nieoficjalny przegląd tygodnia

8 **WALKA O WILCZY WIZERUNEK**
Dorota Łosiewicz

9 **RUDY I BRUDY**
MuMa

10 **ŚWIATOWE ŻYCIE**
redaguje Konrad Kołodziejski

12 **UPAŁ, BLACKOUT I HOLENDERSKI „CUD”, CZYLI JAK BOGATA EUROPA SCHODZI DO POZIOMU TRZECIEGO ŚWIATA**
Daniel Obajtek

13 **KLASYCZNE ROZUMIENIE PIĘKNA**
Marta Kaczyńska-Zielińska

14 **WALIZKA PAWŁA KLINA**
Michał Korsun

16 **DZIWI MNIE HISZPAŃSKIE ZDZIWIENIE**
Samuel Pereira

18 **KOCHAJMY SIĘ!**
Lech Makowiecki

TEMAT TYGODNIA

19 **MARIONETKOWA PREZYDENTURA TRZASKOWSKIEGO**
Marzena Nykiel

23 **WARSZAWA BEZ GOSPODARZA**
Z Maciejem Wilkiem rozmawia Jerzy Szmit

26 **WYROK NA TUSKA**
Stanisław Janecki

KRAJ

29 **ZNIKAJĄCE PATRIOTY**
Konrad Kołodziejski

32 **SOLOGAMIA, CZYLI TRIUMF KULTURY „JA”**
Dorota Łosiewicz

ŚWIAT

35 **„MADE IN NATO”**
Jan Rokita

38 **POCZĄTEK EUROPEIZACJI PAKTU**
Marek Budzisz

42 **ROZŁAM, KTÓREGO SIĘ SPODZIEWANO**
Grzegorz Górny

44 **MAGYAR JEST AGRESYWNY, AUTORYTARNY**
Z Jánosem Bóką rozmawia Aleksandra Rybińska

46 **SZYKUJMY TRYBUNAŁ. OSĄDŹMY UKRAIŃSKIE ZBRODNIE II WOJNY ŚWIATOWEJ**
Dariusz Matuszak

48 **CZIP WYCZUŁ WŁOS**
Maciej Pawlicki

HISTORIA

50 **WYRWANI Z UKRAIŃSKIEGO PIEKŁA. DRAMATYCZNE LOSY POLAKÓW UCIEKAJĄCYCH Z KRESÓW WSCHODNICH**
Stanisław Płużański

53 **BUDOWNICZY WIEŻY BABEL**
Maciej Walaszczyk

56 **OD KOŚCIUSZKI DO KUKLIŃSKIEGO**
Jan Parys

SIECI KULTURY

59 **NOLAN NA WZBURZONYM MORZU**
Jolanta Gajda-Zadworna

62 **HITY I KITY**
Piotr Zaremba

GOSPODARKA

65 **POBIEROWO, CZYLI HOTEL PRAWIE JAK KAŻDY… GOŁĘBIEWSKI**
Maciej Wośko

PODRÓŻE

68 **MOJE SZLAKI: MICHAŁ WITKOWSKI**
Jolanta Gajda-Zadworna

KUCHNIA

69 **SŁODKO-SŁONY/WILCZYM OKIEM**
Anna Monicka, Przemysław Barszcz

NA KONIEC

70 **OPERATORZY CICHEJ REWOLUCJI**
Robert Tekieli

72 **OGNIEM NA WPROST**
Andrzej Rafał Potocki

73 **KTO SSAŁ KOKOSY, CZYLI MUNDIAL**
Ryszard Czarnecki

74 **ZDANIE, KTÓREGO NIKT NIE ZACYTOWAŁ**
Andrzej Zybertowicz

eprasa.pl 11e7e24d55

BRONISŁAW WILDSTEIN

Klęska dobra wspólnego

W ważnym artykule „Czas powściągliwości” („Sieci” nr 27) Marek Budzisz opisuje m.in. sprawę, która jak w soczewce pokazuje jakość rządów Donalda Tuska. Dwa lata temu właściciel Fire Point, głównego zbrojeniowego przedsiębiorstwa ukraińskiego, zaproponował budowę w Polsce fabryki silników do rakiet Flamingo i dronów dalekiego zasięgu. Urządzenia te sieją dziś panikę na głębokim zapleczu Rosji. Polacy, a konkretnie nasz rząd, którego zgoda potrzebna jest w tego typu kontraktach, do dziś nie odpowiedzieli na ofertę. Aktualnie z Fire Point współpracują Duńczycy, Niemcy, Amerykanie.

Przy obecnych zagrożeniach musimy rozbudowywać swój przemysł militarny, który ma również ogromne znaczenie w rozwoju wszelkich nowych technologii. Fire Point prezentuje realne osiągnięcia w tej mierze, co pokazuje jego globalny zasięg, a dodatkowo – rzecz nie do przecenienia – dysponuje możliwościami natychmiastowego testowana swojej produkcji. Budzisz wskazuje, iż tego typu biznesowe powiązanie Polski z Ukrainą spowodowałoby liczenie się rządu w Kijowie z Warszawą i dużo mniejsze prawdopodobieństwo ekscesów w rodzaju patronatu UPA dla ukraińskiej brygady.

Budzisz nie rozważa przyczyn tego strategicznego zaniechania koalicji 13 grudnia. Przy jego wyjaśnieniu należy wziąć pod uwagę podstawowe charakterystyki obecnego rządu.

Ekipa Tuska boi się konfliktu z jakąkolwiek grupą wyborców, a zatem unika ich, jeśli nie wiąże się to z wymiernym zyskiem dla reprezentowanych przez nią lobby. Podjęcie najbardziej nawet korzystnej współpracy z ukraińską marką spowodowałoby atak frontu ukrainofobów z Leszkiem Millerem na czele, którzy zarzuciliby rządowi uległość wobec Kijowa. Potencjalne straty, które mogą zostać poniesione z tego powodu, oraz brak doraźnych profitów politycznych wystarczą, aby obecne władze nie podjęły takiego ryzyka. Gwoli sprawiedliwości dodać trzeba, że tego typu obawy powodowały także, iż rząd PiS nie prowadziło aktywniejszej polityki wobec Ukrainy aż do wielkiego ataku wojsk rosyjskich w 2022 r.

Tusk spełnia oczekiwania swoich europejskich patronów, którzy prawdopodobnie dali mu do zrozumienia, aby nie usiłował podmiotowo zachowywać się wobec Ukrainy. Jeśli Niemcy doproszą go do wspólnego przedsięwzięcia, jak w przypadku przekazania Patriotów Kijowowi – naturalnie wyrazi zgodę. Natomiast nie odważy się podejmować samodzielnych działań w tej mierze.

Nikt z obozu obecnej władzy jak dotąd nie zdecydował się zainwestować w ukraiński biznes. Dużo łatwiej i z mniejszym ryzykiem jest robić przekręty w Polsce na szpitalach czy domach pogrzebowych, wyciągać dotacje z KPO czy funduszy rządowych. A skoro nikt ze wspierających struktur nie ma w tym interesu, rząd sprawą się nie zajmuje.

Gabinet Tuska powołany został jako reprezentacja establishmentu i wieńczy układ oligarchiczny, czyli władzę nielicznych w swoim interesie. Nie bierze pod uwagę dobra wspólnego, bo niczego takiego nie uznaje. Liczy się interes dominującej grupy, której przedstawiciele nie poczuwają się do żadnej solidarności z resztą narodu. Ponieważ ich pozycja i zyski są efektem eksploatacji całej reszty, na zasadzie resentymentu pogardzają nią. Pogarda do wspólnoty przenosi się na ich zwolenników.

Podstawowy problem dla oligarchii, zwłaszcza funkcjonującej w ustroju formalnej demokracji, to poparcie wystarczające do utrzymania władzy, która korzystna jest wyłącznie dla mniejszości. Osiągnięciu tego celu służą dwie krzyżujące się strategie. Pierwsza to zakwestionowanie wspólnoty, a zatem uderzenie w naród, który podobno jest bytem mitycznym, tak jak i jego dobro, a liczy się wyłącznie interes jednostek oraz grup.

Liberalna oligarchia przedstawia się jako obrońca jednostkowej wolności przeciw ograniczeniom, jakie wiążą się ze wspólnotowym losem i sytuuje się w roli rzeczników poszczególnych grup. Aby to propagować, dokonuje mistyfikacji obrazu rzeczywistości, co zostaje osiągnięte poprzez kontrolę dominujących ośrodków opiniotwórczych. Są to nie tylko media, lecz także uniwersytety i generalnie zideologizowana kultura, która pełni propagandową funkcję od elitarnych centrów po masowy jej obieg. Wszystko to i tak nie wystarcza, stąd tak intensywne zabiegi o cenzurę na każdą możliwą skalę: światową, europejską czy krajową.

Na 10 lipca przewidziane jest uchwalenie unijnego Aktu o Usługach Cyfrowych (DSA). Pod pozorem ochrony użytkowników i ukrócenia samowoli wielkich platform ma zostać stworzony system kontynentalnej cenzury.

Interes oligarchicznej Europy to antypody dobra jej mieszkańców. Polski establishment podporządkowuje się zachodnim centralom za cenę namiestnictwa nad narodem, którym pogardza. Strategia rządu Tuska jest tego ostentacyjnym wyrazem.

Dlatego nie będzie on prowadził żadnej samodzielnej polityki wobec Ukrainy czy kogokolwiek innego.



Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 11e7e24d55



Sygnalista nadaje

Odnalazła się minister zdrowia. To ta, której nazwiska nikt nie zna. Okazało się, że to najzdolniejsza, a zarazem najskromniejsza osoba w rządzie. Po prostu nieoszlifowany brylant. Do zeszłego tygodnia siedziała cichutko, w nic się nie wtrącała, może nawet szydełkowała sobie gdzieś w domowym zaciszu. Aż tu nagle Donald Tusk cudem przypomniał sobie o jej istnieniu i zażądał, aby w ciągu kilku dni przygotowała plan szerokiej reformy zdrowia. No to odłożyła szydełko i zasiadła do pracy. Minął tydzień i cyk! Jest projekt reformy. Trudno pojąć, dlaczego przez ostatnie 30 lat nikomu to nie wyszło. Tylko Donald Tusk tak potrafi.

Skoro reformę zdrowia mamy już z głowy, to może pójść na całość? Do objęcia teki szefa resortu sprawiedliwości od dawna przymierza się pewien mecenas – szczery demokrata. To człowiek nadzwyczaj delikatny i wrażliwy, który brzydzi się represjami – mdleje na sam widok munduru. Jego awans mógłby rozwiązać wszystkie nasze problemy. Wystarczy, że wejdzie do rządu, a już za rok Tusk i wszyscy jego ministrowie nie będą mieli żadnych obowiązków. Może niektórzy trafią wreszcie na zasłużony, wieloletni odpoczynek w jakimś zamkniętym, strzeżonym sanatorium? Kto wie?

Faktem jest, że sytuacja się poprawia. Jest już tak dobrze, że nawet najbardziej uśmiechnięci Polacy zapomnieli o wstrętnych pisowcach i nie chcą o nich więcej słuchać. Bardzo zaniepokoiło to prof. Ireneusza Krzemińskiego, który obawia się, że ludzie pozbawieni codziennej dawki „Faktów" TVN i „Wiadomości" TVP mogą się kiedyś odwrócić od demokracji i zaszkodzić jej. Dotknęło to nawet znajomych profesora. Są na to dwie rady. Można w trybie natychmiastowym zerwać znajomość z takimi ludźmi, ale grozi to rychłą samoizolacją i w efekcie pogłębieniem istniejących problemów psychicznych. Inna możliwość to odwiedzanie ich podczas „Wiadomości" lub „Faktów" i organizowanie im przymusowych seansów. Efekt będzie taki sam jak w pierwszym przypadku, ale przynajmniej rozłożony w czasie.

Pozostając jeszcze w temacie osób niedogmatycznych intelektualnie. ***Krystyna Janda*** dostawała kiedyś dotacje na swój teatr od pisowskiego reżimu i ciągle czuła, jakby ktoś na nią srał. Dziś – w lepszych czasach – dostaje tylko 2 tys. zł emerytury i już nie czuje, że ktoś na nią sra. Widocznie się przyzwyczaiła. Jej były mąż Andrzej Seweryn – ten, który chciał przypier...lić wszystkim pisowcom – jest znacznie bardziej kreatywny. Po prostu wskoczył do kolorowego błota i się w nim wytarzał. Za taki performance należy się chyba ministerialne stypendium? Na dobry początek wystarczy skromne kilkadziesiąt tysięcy złotych.

Prof. Magdalena Środa – znana naukowczyni i kobiecini – ma pomysł, jak uratować służbę zdrowia przed zapaścią. Jej zdaniem trzeba wziąć Robercika Lewandowskiego i wytrzepać go z kasy. On ma tyle pieniędzy, że wystarczy na pokrycie lekarskich

eprasa.pl 11e7e24d55

pensji. Być może jednego neurologa rzeczywiście dałoby się z tego opłacić. Ale pewnie by narzekał, że obniżyli mu zarobki.

Zapewne pamiętacie państwo słynny filmik Trzaskowskiego z kampanii prezydenckiej, na którym on siedzi rozparty przy stole, a jego żona, Gosia „Kupa Serducha", uwija się przy garach. Szarmancki stosunek do kobiet, z którego znany jest nasz „dupiarz", nie ogranicza się tylko do rodzinnego domu. Po wybuchu afery szpitalnej ***Trzaskowski*** natychmiast schował się za plecami swoich dwóch zastępczyń. Zaraz potem obie złożyły dymisję i tym samym zostały wyrzucone za burtę. To ten rodzaj poświęcenia, na które Rafał zawsze jest gotowy.

Przyjmując dymisję swoich zastępczyń, Trzaskowski chce ugasić pożar wokół siebie. Pytanie jednak, kto teraz będzie odwalał za niego całą robotę w Warszawie. Gosia nie wchodzi w rachubę, bo przecież ciągle jest zajęta przy garach. Trzeba więc będzie poszukać innych kandydatek. Na pewno jakieś się znajdą. W końcu prawdziwie postępowych, liberalnych kobiet, które są gotowe emancypować się pod butem Rafała, nie brakuje.

Przy tej okazji „Fakt" postanowił przyjrzeć się dochodom jednej z odwołanych wiceprezydentek, Aldony Machnowskiej-Góry, skrupulatnie wyliczając, że ma dom i trzy mieszkania. A w ogóle to w zeszłym roku zarobiła więcej niż Trzaskowski. Ale nie ma co się cieszyć, bo gdyby przeliczyć zarobki „dupiarza" na czas realnej pracy, to zapewne byłby on jednym z najlepiej opłacanych urzędników w Polsce.

Trudno nie odnieść wrażenia, że prawdziwie wolne media bardzo się zawiodły na Trzaskowskim. Np. taki „Newsweek" uważa, że jego kariera jest już skończona i jedyne, co mu pozostało, to nędzna emerytura w Brukseli.

To zupełnie odwrotnie niż ***Marcin Kierwiński***, który wezwany przez Tuska porzucił posadę w Parlamencie Europejskim i natychmiast przybył na odsiecz, stając się tym samym wzorem obywatela Rzeczypospolitej. Ostatnio był jednak bezpardonowo atakowany, sugerowano mu wręcz jakieś związki ze Szpitalem Południowym. Dziennikarka Polsatu Joanna Miziołek posunęła się zbyt daleko i zadała mu publiczne pytanie w tej sprawie. Ktoś inny mógłby w tej sytuacji zwyczajnie nie wytrzymać i nauczyć bezczelną babę, jak należy okazywać szacunek służbie i poświęceniu. Ale nie Marcin Kierwiński. To nie jego styl. Podjął rycerską decyzję, że stoczy tę nierówną walkę w granicach praworządności. Niech o wszystkim zadecyduje niezawisły sąd. Będzie to miało ważny walor edukacyjny, bo dzięki wyrokowi dowiemy się wreszcie, jakie pytania wolno zadawać ministrom w demokratycznym państwie.











Wśród wielu dokonań wzorcowego obywatela – poza heroicznymi zmaganiami z Joanną Miziołek – jest też zahamowanie nielegalnej imigracji do Polski. Tylko nie mówcie państwo, że tego nie zauważyliście. W końcu Kierwiński osobiście zadbał o to, aby z nędznego płotu postawionego przez PiS na białoruskiej granicy zrobić prawdziwą zaporę. Efekt? Zero przekroczeń. Potwierdzi to każdy kot z Afganistanu i każdy Ibrahim, który przez siedem dni płynął rzeką. Co prawda złośliwi twierdzą, że Łukaszenka przestał nasyłać nieproszonych gości, ale to musi być dezinformacja. Tak samo jak bezczelne zaczepki Anny Marii Żukowskiej, która próbuje nam wmawiać, że cała Platforma – podobnie jak jej koalicjanci – głosowali kiedyś przeciwko zaporze na granicy. Oczywiście że byli przeciwko – ale tylko tej dziurawej, pisowskiej. Obecna, demokratyczna zapora to przecież zupełnie co innego.

Ogólnie głupi ludzie niczego nie rozumieją i ciągle do każdego chcą się przyczepić. Np. do takiego ***Sławomira Mentzena***, który jeszcze cztery lata temu z radością witał Ukraińców, twierdząc, że mają oni unikalne kompetencje i bardzo przydadzą się na polskim rynku pracy. A w ogóle to Ukraińcy są do nas podobni i z łatwością się asymilują. Mentzen uważał też, że należy pomagać walczącej Ukrainie. Dziś jednak widzi to wszystko zupełnie inaczej i tak jak rząd Tuska wali w głupich pisowców, że wydali mnóstwo pieniędzy na Ukraińców. Oj, Sławku, Sławku, należy ci się jakaś nagroda od Donalda. Wspólne piwo może być?

Co ciekawe, pisowcy, pomagając Ukrainie, wspierali jednocześnie Rosję. Ta błyskotliwa myśl jest wytworem niebanalnego umysłu Adama Szłapki, który w krótkich żołnierskich słowach wszystko wyjaśnił. Z jednej strony PiS wysyłało broń Ukrainie, ale z drugiej podgrzewało antyeuropejskie nastroje, czym pomagało Kremlowi. PiS – jak naucza Szłapka – to formacja, która nie jest jawnie prorosyjska, ale realizuje interes, który pomaga narracji kremlowskiej. Nie rozumiecie państwo? Nic w tym dziwnego, Szłapka mówił przecież do ludzi na równie wysokim poziomie jak on. A im to wszystko na pewno sklei się w całość.

Fot. Andrzej Stwarczyński, Andrzej Wiktor, Liudmyla Stwarczynska x2, Shutterstock

eprasa.pl 11e7e24d55

WIEŻA BAB

Walka o wilczy wizerunek

Nawet część polityków i publicystów kojarzonych z lewicą uznała całą akcję za kuriozalną. A to znaczy, że przekroczono granicę między edukacją a groteską

Są takie chwile, gdy obywatel zadaje sobie pytanie, czy państwo jeszcze rozwiązuje realne problemy, czy już wyłącznie prowadzi terapię grupową dla słownika języka polskiego. Najnowsza akcja Ministerstwa Klimatu i Środowiska każe sądzić, że ważniejsze od jakości powietrza, stanu rzek czy skutecznej ochrony przyrody stało się dobre samopoczucie wilka. A właściwie jego wizerunek.

Okazuje się bowiem, że największym problemem tego majestatycznego drapieżnika nie są kłusownicy czy kurczące się siedliska. Nie. Prawdziwym dramatem jest to, że funkcjonują powiedzenia takie jak „człowiek człowiekowi wilkiem", „wilk w owczej skórze", „wilczy bilet" czy „wilczy apetyt". Najwyraźniej zwierzę padło ofiarą czarnego PR i potrzebuje rządowej kampanii wizerunkowej.

Można tylko wyobrazić sobie naradę urzędników. „Jak poprawić sytuację w ochronie środowiska?" – pyta ktoś. „Zmieńmy metafory" – odpowiada drugi. I oto zamiast sadzić lasy, sadzi się wykłady o semantyce. Zamiast rozwiązywać konflikty wokół obecności wilków, walczy się z frazeologią. Gdyby podobną energię poświęcono gospodarce wodnej, Polska mogłaby właśnie eksportować deszcz.

Najbardziej rozczulające jest jednak uzasadnienie. „Wilczy apetyt" ma podobno stygmatyzować zdrową relację z jedzeniem, a „wilk w owczej skórze" utrwalać stereotyp, że wilk ma złe intencje. To już nie jest troska o przyrodę. To antropomorfizacja w wydaniu urzędowym, gdzie zwierzętom przypisuje się wrażliwość na idiomy, a metaforom zarzuca dyskryminację.

Idąc tym tropem, należałoby natychmiast zrehabilitować świnie, które od wieków cierpią z powodu brudasów. Psy powinny zaprotestować przeciw „pogodzie pod psem", osły – przeciw zarzutom o głupotę, a lisy – przeciw insynuacjom dotyczącym przebiegłości. W dalszej kolejności pozostanie już tylko zwołać okrągły stół z udziałem hien, szczurów i kruków, aby wypracować nowy, bardziej inkluzywny kodeks przysłów.

Paradoks polega na tym, że język od zawsze posługuje się metaforą. Nie dlatego, że ktoś chce obrazić wilka, ale dlatego, że człowiek od tysięcy lat opisuje świat poprzez symbole. „Wilk w owczej skórze" nie jest zoologiczną opinią o gatunku, podobnie jak „końskie zdrowie" nie oznacza konsultacji weterynaryjnej. Kto zaczyna czytać metafory dosłownie, ten prędzej czy później uzna bajki za mowę nienawiści wobec zwierząt.

Nawet część polityków i publicystów kojarzonych z lewicą uznała całą akcję za kuriozalną. Trudno się dziwić. Jeżeli kampania staje się obiektem kpin także po stronie, która zwykle patrzy na podobne inicjatywy z życzliwością, to znaczy, że przekroczono granicę między edukacją a groteską.

Oczywiście można przypominać, że w czasach PRL płacono premie za zabijanie wilków i że późniejsza ochrona gatunku była potrzebna. To ważny fragment historii ochrony przyrody. Tyle że z tego, iż kiedyś zwierzę było prześladowane, nie wynika obowiązek przepisywania całej polskiej frazeologii. Historia ochrony gatunkowej i historia języka to dwie różne opowieści.

Najciekawsze w tej historii jest jednak coś innego. Coraz częściej odnosi się wrażenie, że zamiast uczyć ludzi rozumienia metafor, niektóre instytucje próbują je eliminować. Jakby najlepszym sposobem na rozwijanie kompetencji językowych było zubożenie języka. Efekt jest łatwy do przewidzenia: mniej humoru, mniej dystansu, więcej urzędowych instrukcji poprawnego myślenia.

Wilk zapewne poradzi sobie bez państwowego rzecznika prasowego. To inteligentny drapieżnik, który przez tysiące lat przetrwał polowania, wojny i zmiany cywilizacyjne. Trudno uwierzyć, że polegnie dopiero pod ciężarem powiedzenia „wilczy apetyt". Znacznie większym problemem wydaje się to, że coraz częściej to nie wilki mają czarny PR, lecz zdrowy rozsądek.

Dorota Łosiewicz



Letnie przesilenie

Ronald Kieł spojrzał z wyrzutem na ministra obrony narodowej Tygrysława Kociniaka-Kamasza.

– Jak mogłeś dopuścić do tego przecieku z rakietami! – powiedział gniewnie premier. – Jesteś ministrem obrony, więc twoim głównym zadaniem jest obrona. Masz bronić mnie i mojego rządu! Znowu nawaliłeś!

– Jeśli mam kogoś bronić, to przede wszystkim siebie – odparł hardo Kociniak-Kamasz. – Moje priorytety są jasno określone: najpierw bronię siebie, potem ewentualnie ciebie i naszego rządu. Naszego, bo przypominam ci, Ronaldzie, że jesteśmy koalicjantami. I jak będziesz na mnie krzyczał, to zabieram plecak ewakuacyjny i wychodzę!

– Grubo grasz, Tygrysku – zauważył minister spraw zagranicznych Radek Świrowski. – Ale po co ci to? Jesteś na nas skazany. Twoja pozycja w partii ludowej jest słaba. Jesteś wciąż szefem tylko dlatego, że możesz rozdawać stanowiska, a stanowiska masz tylko dlatego, że dopuściliśmy cię do koalicji. Więc nie fikaj...

Kieł spojrzał na Świrowskiego z mieszanymi uczuciami. Z jednej strony powiedział dokładnie to samo, co chciał wyrazić on, a z drugiej miał dosyć tego przemądrzałego bubka udającego arystokratę. Ale cóż – jego największy konkurent w walce o przywództwo w partii miał zbyt mocną pozycję, by go politycznie zgilotynować.

– Cicho! Obaj jesteście moimi zastępcami i obaj musicie mnie bronić przed Fioną i Bokserem – rzekł pojednawczo Kieł. – Niefortunnie wyszła na światło dzienne informacja, że przekazaliśmy rakiety Patriota mojemu przyjacielowi Żołnierskiemu. A przekazać musieliśmy, bo kazał mi kanclerz Friedrich, któremu, jak wiadomo, nie możemy odmówić.

– Czemu nie możemy odmówić? – zapytał Tygrysław.

– Ty się nie interesuj, bo kociej mordy dostaniesz! – rozzłościł się premier. Nie miał zamiaru tłumaczyć, że do wszystkich innych zależności od Mocarstwa Zachodniego doszło kolejne: jeśli za rok z kawałkiem sprawy pójdą w złym kierunku, to po wyborach parlamentarnych będzie musiał prosić tam o azyl polityczny.

– O czym tak myślisz, Ronaldzie? – Świrowski spojrzał badawczo na Kieła. – Czyżbyś zastanawiał się nad swoją przyszłością? Na przykład po przegranych wyborach w przyszłym roku? Ja nie mam tego problemu, bo zawsze mogę z żoną pojechać do Ameryki.

– Chyba że cię Pomarańczowy nie wpuści – powiedział złośliwie premier. – Ale wróćmy do tu i teraz. Wywołałeś, Tygrysławie, poważny kryzys...

– Wcale nie! – wykrzyknął Kociniak-Kamasz. – Nie zrzucisz winy na mnie. Znam twoją taktykę, ty zawsze znajdujesz sobie kozła ofiarnego, żeby zwalić na niego odpowiedzialność. Ale ja się nie dam wmanewrować! To ty kazałeś mi wysłać rakiety Żołnierskiemu.



– To czemu wtedy się tak nie stawiałeś, Tygrysku? – odpowiedział zimnym tonem Kieł. – Pasowało ci tak samo jak mnie. A teraz, jak media atakują, to masz pełno w pampersie. Ty mi nie podskakuj, bo cię zjem na przystawkę. Zostaniesz bez partii, stanowiska i wpływów.

– Tylko nie w pampersie... – Tygrysław nagle stracił pewność siebie i zrobił płaczliwą minę. Wyglądał dokładnie jak duży bobas, który ma pełno w pampersie.

Kieł i Świrowski popatrzyli na Tygrysława z politowaniem. Obaj mieli świadomość, że tylko oni są w tym gabinecie prawdziwymi twardzielami. Darzyli się z trudem ukrywaną niechęcią, ale łączył ich ten sam cel – wygrać kolejne wybory parlamentarne, bo przegrana mogła oznaczać poważne wyroki więzienia.

– Ronaldzie, wezwałeś mnie, bo chcesz czy nie, potrzebujesz mojej rady – powiedział dosyć arogancko Świrowski.

– Skąd ta myśl? – odparł Kieł.

– Stąd, że ostatnie tygodnie to jakieś pasmo nieszczęść i porażek – zaripostował Radek. – Nie panujesz nad rządem, nie panujesz nad Tenkrajem! Wiesz, jaka jest moja rada? Zdymisjonuj Barszczyka z funkcji ministra sprawiedliwości. Powołaj Romana.

– Roman Naszaszkapa na ministra sprawiedliwości to nie jest zły pomysł – zadumał się Kieł. – Myślałem o tym, bo Barszczyk odnotował wprawdzie kilka aresztowań, ale obiecywał zapełnić więzienia ludźmi Fiony i nie dowiózł tematu. Ale teraz? Kiedy faktycznie mamy letnie przesilenie? Skąd ten pomysł?

– To proste – odparł Świrowski. – Roman zrobi z wymiaru sprawiedliwości taki cyrk, że ludzie natychmiast zapomną o wszystkich innych aferach!

I zaczęli we dwójkę cynicznie rechotać.

MuMa

Fot. Grafika wygenerowana przez AI/MuMIN

eprasa.pl 11e7e24d55

Autokompromitacja władzy



Kryzys rządowy w Mołdawii. Do dymisji podał się premier Alexandru Munteanu, jednak afera, która pozbawiła go stanowiska, uderza również w prezydent Maię Sandu [na zdj.] i może mieć wpływ na europejską przyszłość kraju.

Wszystko zaczęło się dość niewinnie, kiedy dziennikarze zaczęli zadawać pytania o wykształcenie i doświadczenie zawodowe Dumitru Vangeli, który w 2024 r. stanął na czele państwowej instytucji odpowiadającej za lotnictwo cywilne w Mołdawii. Okazało się, że nie jest on pilotem – jak twierdził – nie pracował w Air Canada ani tym bardziej nie wykonywał za oceanem – jak opowiadał – żadnych „tajnych misji". Zachęciło to dziennikarzy do bliższego przyjrzenia się Agencji Żeglugi Powietrznej, którą kierował skompromitowany urzędnik.

Szybko wyszło na jaw, że osobą odpowiadającą za wizerunek tej instytucji, z pensją wyższą od prezesa, jest Anastasia Taburceanu, prywatnie kuzynka prezydent Mai Sandu. Zarabiała ona miesięcznie ponad 70 tys. zł, co w ubogiej Mołdawii jest astronomiczną kwotą. Co więcej, nie przepracowywała się zanadto. Ostatni wpis na oficjalnej stronie Agencji, za której redagowanie odpowiadała kuzynka pani prezydent, pochodził z sierpnia 2025 r. i składał się z trzech zdań. Nic więc dziwnego, że opinię publiczną bardzo zbulwersowało to, że przyznano jej specjalną, sutą premię „za intensywną pracę". Wkrótce potem okazało się, że agencja stała się przytuliskiem dla większej grupy krewnych polityków z rządzącej Partii Działania i Solidarności (PAS), a na dodatek Anastasia Taburceanu, mając sporo wolnego czasu, dorabiała sobie jeszcze w innych instytucjach obsadzonych przez polityków rządzącej formacji, w tym finansowanych przez Unię.

Prezydent Sandu, która do tej pory była uznawana za wolną od uwikłań korupcyjnych, zareagowała bardzo niefortunnie. Zwołała konferencję prasową, na którą nie wszyscy dziennikarze zostali zaproszeni, a w jej trakcie wyraźnie zdenerwowana nie chciała odpowiadać na pytania o powody brawurowej kariery swojej kuzynki. Niedługo potem emocje w Mołdawii sięgnęły zenitu, bo okazało się, że Vangeli zatrudnił również swoją kochankę, a na angażu widnieje data 14 lutego, co oznaczało, że posada była walentynkowym prezentem. Tak ostentacyjna bezczelność przelała czarę goryczy. Opinia publiczna wymusiła dymisję szefa agencji, a niedługo w jego ślady poszedł premier.

Sandu i PAS doszli do władzy w Mołdawii pod hasłami walki ze skorumpowanymi poprzednikami, ale teraz ich reputacja legła w gruzach. Może to poważnie zaszkodzić planom wejścia Mołdawii do UE.

Marek Budzisz



Wielka Brytania

Orwell by tego nie wymyślił

Dziennik „Daily Mail" opublikował wyniki dziennikarskiego śledztwa przeprowadzonego po zamieszkach ulicznych, które wybuchły niedawno w Belfaście po brutalnym ataku sudańskiego azylanta na młodego Anglika. Redakcja ujawniła działalność głęboko zakamuflowanej organizacji, która, posługując się manipulacją, dezinformacją i prowokacją, przedstawiała opinii publicznej fałszywy obraz wydarzeń. Okazało się, że za gigantyczną akcją szerzenia fake newsów stały służby specjalne – tyle że nie obcych mocarstw, lecz... własnego państwa.

Zaczęło się od tego, że w 2007 r. brytyjskie MSW powołało instytucję o nudnej nazwie: Jednostka Badań, Informacji i Komunikacji (Research Information and Communication Unit), w skrócie RICU. Pierwotnie głównym zadaniem 22-osobowej struktury, założonej i kierowanej przez byłego oficera MI6 Charlesa Farra, było monitorowanie zagrożenia płynącego z propagandowego oddziaływania Al-Kaidy. Z biegiem lat cele się jednak zmieniły. Po coraz częstszych zamieszkach ulicznych wywoływanych mordami, zamachami lub gwałtami dokonywanymi przez imigrantów RICU zaczęła się skupiać na rozładowywaniu napięć społecznych w taki sposób, by nie zniszczyć mitu udanej brytyjskiej wielokulturowości.

Gdy w Belfaście wybuchły masowe protesty, lokalna policja otrzymała od RICU precyzyjne instrukcje mające na celu odpowiednie „ukierunkowanie narracji". Towarzyszyła temu wielka akcja medialna prowadzona za pomocą fałszywych kont w internecie. Wszelki ekstremizm odklejano od społeczności imigranckich, a przyklejano do środowisk prawicowych. Ofiary i sprawców zamieniano miejscami. Monitorowano i nękano każdego, kto podważał obowiązującą narrację. Celem było zduszenie już w zarodku jakiejkolwiek debaty publicznej na temat wielokulturowości i imigracji.

To, że służby specjalne posługują się podstępem i oszustwem, nie było dla czytelników „Daily Mail" niczym zaskakującym. Nowością okazała się informacja, że okłamują własny naród i manipulują nim, działając wbrew jego interesom.

Grzegorz Górny

eprasa.pl 11e7e24d55

W poszukiwaniu nowego cesarza



Cesarstwo Japonii stoi przed poważnym kryzysem sukcesyjnym, bo 66-letni cesarz Naruhito [na zdj.] nie ma męskiego potomka. Japońscy politycy nie wyrażają jednak zgody na objęcie tronu przez jego córkę i chcą umożliwić rodzinie cesarskiej adopcję dalekich męskich krewnych.

Kryzys demograficzny dotknął w Japonii wszystkie warstwy społeczeństwa, w tym monarchię – pisze „The New York Times". Rodzina królewska składa się obecnie z zaledwie 16 osób – 5 mężczyzn i 11 kobiet. To o ok. jedną czwartą mniej niż w 1990 r. Utrudnia to wypełnianie obowiązków publicznych, takich jak wizyty zagraniczne i ceremonie dworskie. Po prostu brakuje członków rodziny królewskiej, którzy mogliby wziąć w nich udział.

Presja związana z koniecznością urodzenia syna wpędziła żonę Naruhito, cesarzową Masako [na zdj.], w głęboką depresję. Para ma tylko jedną córkę, 24-letnią księżniczkę Aiko, która ostatnio odgrywa coraz większą rolę i jest przez niektórych promowana jako przyszły cesarz. Jednak zgodnie z obecnymi przepisami tylko 60-letni brat cesarza, jego 90-letni wujek oraz 19-letni bratanek mogą być uznani za legalnych następców tronu.

Część z tych problemów wynika z nieodległej historii. Gdy w 1947 r. gen. Douglas MacArthur wprowadził w okupowanej Japonii nową konstytucję, cesarz został pozbawiony boskich atrybutów. Wraz z tym 11 arystokratycznych rodów zostało zmuszonych do zrzeczenia się statusu królewskiego. Dziś japoński parlament chce ponownie włączyć te rody do rodziny cesarskiej, co zwiększy liczbę potencjalnych następców tronu.

Kłopot w tym, że – jak piszą media – wiele z tych osób prowadzi normalne życie, dalekie od dworskich ceremoniałów. Są wśród nich dziennikarze, pracownicy reklamy, brokerzy ubezpieczeniowi. Niektórzy zastanawiają się, czy społeczeństwo zaakceptuje ich jako członków rodziny cesarskiej i potencjalnych dziedziców tronu.

Japonia utrzymuje męską sukcesję na tronie cesarskim od XVIII w. i zdaniem polityków rządzącej partii Liberalno-Demokratycznej nie ma mowy o jakichkolwiek zmianach. Co ciekawe, Sanae Takaichi – pierwsza w historii kobieta stojąca na czele japońskiego rządu – należy do najgłośniejszych obrońców męskiego rodu cesarskiego. W jej opinii dopuszczenie kobiet do tronu byłoby „niewłaściwe".

Kolejnym cesarzem zostanie więc mężczyzna. Trudno to będzie jednak zrzucić na karb patriarchatu, bo decyzję w tej sprawie podjęła przecież kobieta.

Konrad Kołodziejski

Imigracja rozsadza Afrykę



Gwałtowne protesty wybuchły w RPA. Czarna ludność domagała się deportacji nielegalnych imigrantów, w większości przyjezdnych z sąsiednich państw: Malawi i Mozambiku. Łącznie w ciągu jednego dnia zorganizowano aż 120 manifestacji, z których część przerodziła się w gwałtowne zamieszki z policją.

Największy protest odbył się w Durbanie, gdzie Zulusi ubrani w swoje tradycyjne stroje wymachiwali maczugami i włóczniami. Demonstranci splądrowali sklepy i zaatakowali slumsy, w których mieszkają imigranci, dokonując tam samosądów. W Durbanie odnotowano co najmniej cztery ofiary śmiertelne, jedną z nich był imigrant, który miał rzucić się z ósmego piętra w obawie przed linczem.

Manifestanci domagali się, aby do 30 czerwca z kraju wyjechali wszyscy, którzy nie posiadają pozwolenia na legalny pobyt. Ten termin został samozwańczo wyznaczony przez organizację March and March, która jako czołowy organizator protestów poinformowała, że nie ponosi odpowiedzialności za przemoc i zniszczenia, do których doszło podczas zamieszek.

Zdaniem kierownictwa organizacji protesty są wynikiem bierności władz, które nie kwapią się do przeprowadzenia akcji deportacyjnej. „Chcemy masowych deportacji. Domagamy się, aby przez następne sześć miesięcy rząd pozbył się osób, które jeszcze stąd nie wyjechały" – powiedziała liderka ruchu Jacinta Ngobese-Zuma. Czarni mieszkańcy RPA uważają, że nękające ich problemy gospodarcze i zła jakość usług publicznych są w dużym stopniu skutkiem niekontrolowanego napływu imigrantów. Szacuje się, że w RPA mieszka dziś ok. 2,4 mln przyjezdnych.

Zamieszki w Południowej Afryce wskazują, że antyimigranckie nastroje nie dotyczą tylko krajów europejskich i USA, lecz także krajów tzw. globalnego Południa. Do aktów przemocy wobec imigrantów dochodzi m.in. na północy czarnego kontynentu, gdzie grasują przemytnicze gangi handlujące ludźmi z państw subsaharyjskich. Tu problem polega na tym, że aby zachować dobre relacje z UE, państwa Maghrebu mają obowiązek zatrzymywania na swoim terytorium imigrantów napływających z niemal całej Afryki, aby stąd dostać się do Europy. Wywołuje to wielkie niezadowolenie miejscowej ludności, która – podobnie jak w RPA – coraz częściej reaguje buntem i przemocą.

Maciej Walaszczyk

Fot. Shutterstock x4

eprasa.pl 11e7e24d55

Upał, blackout i holenderski „cud”, czyli jak bogata Europa schodzi do poziomu Trzeciego Świata

W letnie dni, gdy żar leje się z nieba, a rachunki za prąd rosną szybciej niż temperatura, Europa dostaje srogą lekcję pokory. W Holandii – tym wzorcu zielonej transformacji, kraju wiatraków, rowerów i progresywnych polityk – w niedzielę 6 lipca doszło do czegoś niespotykanego. Operator sieci Enexis celowo odłączył prąd ok. 18 tys. odbiorcom w Tilburgu i okolicach. Windy stanęły, telewizory przestały grać, pralki przestały prać, klimatyzacja wyłączona, lodówki przestały chłodzić. Wszystko po to, by ratować sieć przed przeciążeniem w czasie rekordowego upału



Holandia – bogaty, rozwinięty kraj członkowski UE – po raz pierwszy w historii musiała stosować metody znane raczej z krajów Trzeciego Świata. Tam prąd odłączają rutynowo z powodu chronicznych niedoborów, awarii czy politycznego chaosu, tutaj, w sercu Europy, powodem był nadmiar zielonej ambicji spotykający się z falą gorąca. Rekordowe zużycie na klimatyzację i chłodzenie, przeciążona sieć i niestabilność OZE zrobiły swoje.

To nie jest incydent. To symptom szerszego problemu. Pamiętamy hiszpański blackout z kwietnia 2025 r. – ten wielki iberyjski paraliż, gdy oscylacje napięcia i problemy z integracją masowej generacji ze źródeł odnawialnych doprowadziły do kaskadowych wyłączeń. Efekt? Miliony bez prądu na wiele godzin.

Bruksela naciska na jeszcze więcej OZE, jeszcze wyższe cele procentowe, jeszcze szybsze odchodzenie od stabilnych źródeł. „OZE tak – ale nie w nadmiarze i bez rozsądnego zaplecza” – powtarzają eksperci z doświadczeniem. Bo panele i wiatraki produkują energię, gdy wystarczająco mocno świeci słońce lub wieje, ale w szczycie upału, gdy wszyscy włączają klimatyzację, system trzeszczy. Zamiast taniej, pewnej energii dostajemy droższe rachunki, ryzyko blackoutu i... celowe odłączanie prądu.

W Polsce rządzący, wierni brukselskim wytycznym, idą podobną ścieżką. Zamiast budować stabilny miks – atom, nowoczesny węgiel, gaz jako pomost – ścigamy się w procentach OZE. A potem, gdy przyjdzie upał, będziemy tłumaczyć obywatelom, że „trzeba oszczędzać”. Jak w Holandii. Jak w rozwijających się krajach Afryki czy Azji południowo-wschodniej, które jeszcze niedawno traktowaliśmy z wyrozumiałością i współczuciem.

Wyobraźcie sobie eurokratę w chłodnym gabinecie, piszącego dyrektywę o „zrównoważonej transformacji”, podczas gdy w holenderskim Tilburgu babcia nie może włączyć wentylatora, a ser w lodówce zaczyna się psuć. To nie jest przyszłość zielonej utopii – to teraźniejszość ideologicznego eksperymentu na żywym organizmie gospodarki.

To ostatnie ostrzeżenia. Kraje, które stawiają na rozsądek – na dywersyfikację, modernizację sieci i technologie, a nie tylko na procenty z Brukseli – wyjdą z tego obronną ręką. Polska ma potencjał – zasoby, inżynierów, determinację. Czas porzucić dogmaty i zbudować energetykę dla ludzi, a nie dla wskaźników. Bo w upale najważniejsze jest nie to, ile mamy fotowoltaiki, ale to, czy w gniazdku jest prąd.

Daniel Obajtek

Fot. Archiwum autora

eprasa.pl 11e7e24d55

Klasyczne rozumienie piękna



Marta Kaczyńska-Zielińska

„List do artystów” ogłoszony przez św. Jana Pawła II 4 kwietnia 1999 r. stanowi jeden z najważniejszych dokumentów Kościoła poświęconych kulturze i sztuce. Nie jest jedynie refleksją nad twórczością artystyczną, lecz także inspiracją do dialogu pomiędzy światem sztuki a światem wiary. Papież ukazuje artystę jako człowieka obdarzonego szczególnym powołaniem – uczestnika twórczego dzieła Boga, którego zadaniem jest odkrywanie i ukazywanie piękna prowadzącego ku prawdzie i dobru.

Św. Jan Paweł II odróżnia Boga jako Stwórcę, który powołuje świat do istnienia, od człowieka jako twórcy, przekształcającego istniejącą rzeczywistość i nadającego jej nową formę oraz znaczenie. W tym sensie artysta uczestniczy w Bożym dziele stworzenia i urzeczywistnia w sobie obraz Boga. Papież podkreśla, że powołanie do twórczości nie dotyczy wyłącznie malarzy, rzeźbiarzy czy muzyków – każdy człowiek jest wezwany do uczynienia ze swojego życia prawdziwego arcydzieła.

Centralnym motywem „Listu do artystów” jest nierozerwalny związek piękna, dobra i prawdy. Jan Paweł II przypomina, że piękno jest „widzialnością dobra”, a sztuka nie może być oderwana od prawdy o człowieku. Talent artystyczny jest darem powierzonym człowiekowi, który – podobnie jak ewangeliczne talenty – powinien być rozwijany dla dobra innych. Misja artysty wiąże się z odpowiedzialnością moralną i duchowością służby. Papież przywołuje słowa Cypriana Kamila Norwida: „Bo piękno na to jest, by zachwycało do pracy – praca, by się zmartwychwstało”, ukazując twórczość jako drogę prowadzącą do duchowego odrodzenia człowieka. Kościół potrzebuje sztuki, aby wyrażać tajemnice niewidzialnego Boga, sztuka natomiast przez stulecia znajdowała w chrześcijaństwie niewyczerpane źródło inspiracji. Pismo Święte stało się dla artystów bogatym zbiorem symboli i motywów ikonograficznych, a tajemnica wcielenia otworzyła możliwość ukazywania Boga w ludzkiej postaci. Dzięki temu sztuka chrześcijańska mogła rozwijać się jako wyjątkowe połączenie piękna, teologii i doświadczenia duchowego. Historia kultury europejskiej potwierdza trafność papieskich spostrzeżeń.

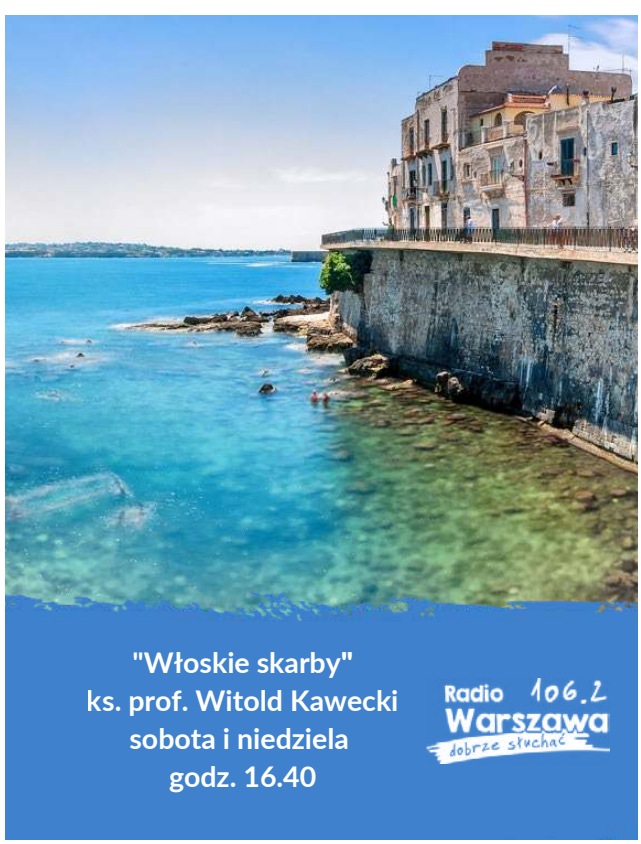
Chrześcijaństwo przez wieki wywierało ogromny wpływ na rozwój architektury, malarstwa, rzeźby, muzyki i literatury, a Kościół był największym mecenasem sztuki. Dzięki niemu powstały najwspanialsze katedry, bazyliki, freski, ołtarze, obrazy i dzieła muzyczne, które do dziś należą do najcenniejszego dziedzictwa kultury światowej. Chrześcijaństwo nie tylko inspirowało artystów treścią i symboliką, lecz także ukształtowało rozumienie piękna jako drogi prowadzącej do prawdy i dobra.

Myśl św. Jana Pawła II znajduje odzwierciedlenie również w twórczości współczesnych artystów. Jerzy Nowosielski połączył tradycję ikony bizantyjskiej z językiem nowoczesnego malarstwa, dowodząc, że sztuka religijna nie musi pozostawać zamknięta w dawnych formach. Makoto Fujimura łączy tradycyjną japońską technikę malarską z chrześcijańską refleksją nad stworzeniem i odkupieniem, ukazując piękno jako siłę zdolną uzdrawiać człowieka.

Współczesna kultura przynosi nurty odrzucające klasyczne rozumienie piękna, dobra i prawdy. Część sztuki kontestacyjnej świadomie rezygnuje z harmonii i estetyki, koncentrując się na prowokacji, dekonstrukcji wartości oraz przekraczaniu granic społecznych i religijnych. Dzieła te nierzadko rezygnują z budowania pozytywnej wizji człowieka i świata. W przeciwieństwie do koncepcji przedstawionej przez Jana Pawła II piękno przestaje być drogą prowadzącą do dobra, a zastępuje je estetyka szoku lub negacji.

Dorobek twórców – od Michała Anioła, Leonarda da Vinci i Jana van Eycka, przez Bacha i Gaudíego, aż po Nowosielskiego i Fujimurę – pokazuje, że sztuka pozostająca w dialogu z chrześcijaństwem potrafi przekraczać granice epok i kultur, zachowując swoją aktualność. Sztuka zakorzeniona w prawdzie, dobru i pięknie nie traci swojej siły, lecz staje się trwałym świadectwem godności człowieka oraz jednym z najcenniejszych owoców ludzkiej cywilizacji.

REKLAMA



20/0626/F

eprasa.pl 11e7e24d55



Walizka Pawła Klina

gitarzysty, bandżysty, kompozytora i pedagoga

Muzyka była w moim życiu od najmłodszych lat. Pochodzę z wielodzietnej rodziny, w której każdy na czymś grał. Jak wielu młodych ludzi nie wiedziałem, co chcę robić w życiu i do czego się nadaję. Przyszedł impuls, by poświęcić się gitarze – i zrobiłem to na całego. Po ukończonej we Wrocławiu szkole muzycznej postanowiłem wyjechać na studia do Holandii. Tam skończyłem Prins Claus Conservatoire w Groningen w klasie gitary jazzowej, a później zamieszkałem w Nowym Jorku, gdzie pracowałem jako muzyk. Jednocześnie, wchodząc w dorosłość, byłem zdecydowanie daleko od Pana Boga i myślałem, że to się już nigdy nie zmieni. Śmierć bliskiej osoby sprawiła, że zacząłem szukać odpowiedzi na pytania: po co to wszystko? Czy Bóg istnieje, czy istniał Jezus, czy Kościół nie jest jedną wielką mistyfikacją? Pan Bóg cierpliwie odpowiadał na te pytania w sposób, który był dla mnie zrozumiały. Gdy się obrócimy, by Go szukać, okazuje się, że On już tam jest i na nas czeka. Pan Bóg podarował mi talent do komponowania, mam głowę pełną melodii. Z niektórych powstają utwory, które wykonuję wspólnie z moją kochaną Żoną Joanną. Nasze spotkanie też było cudem, który wydarzył się podczas Światowych Dni Młodzieży w Krakowie w 2016 r.



PISMO ŚWIĘTE

W 2007 r., tuż po nawróceniu, poszedłem do sklepu i kupiłem egzemplarz, na który było mnie stać. Stary Testament przeczytałem dwa razy, a Nowy wielokrotnie, co zresztą widać po okładce.



RÓŻANIEC

Z relikwią św. Faustyny do odmawiania koronki do Bożego Miłosierdzia. Mam go zawsze w samochodzie. Różaniec otrzymałem od zaprzyjaźnionego księdza Arjena, kiedy wyjeżdżałem z Holandii.



„ŚWIĘTY CZAS ŚWIĘTEJ NOCY”

Na YouTube dostępny jest koncert bożonarodzeniowy o przebaczeniu i pojednaniu, który napisałem kilka lat temu. Moim wielkim marzeniem jest, aby został ponownie nagrany i wyemitowany w telewizji publicznej w święta, dając tym, którzy tego najbardziej potrzebują, nadzieję na to, że przebaczenie i pojednanie zawsze jest możliwe. Każde uzdrowienie zaczyna się od przebaczenia sobie i innym.

eprasa.pl 11e7e24d55



KRZYŻYK

Otrzymałem go podczas Światowych Dni Młodzieży w Krakowie w 2016 r., na które specjalnie przyleciałem z Nowego Jorku. Tam grałem w Centrum Ewangelizacji, które było prowadzone przez ekipę z Przystanku Jezus. Tam też na scenie poznałem moją Żonę.

NOTATNIK

Dziennik Wdzięczności. Najprostszą drogą do bycia szczęśliwym jest wdzięczność. W notatniku codziennie zapisuję, za co jestem wdzięczny i za co dziękuję Bogu.





„BEYOND THE MISSOURI SKY"

Podczas studiów miałem czas wypalenia się muzycznie. Płyta Pata Metheny'ego i Charliego Hadena pomogła mi wyjść z tego kryzysu.



PŁYTA „PROSTE SŁOWA"

Ukoronowanie wielu lat pracy z moją ukochaną Żoną (śpiewaczką operową) i ludźmi związanymi z Przystankiem Jezus, na potrzeby którego pisałem te kompozycje. Od początku małżeństwa z Joanną wspólnie muzykujemy i docieramy się, a ta płyta jest spełnieniem naszych marzeń.



RODZINA

Jest centrum mojego życia. Wszystko, co robię, jest tylko dodatkiem do Rodziny, a do pracy chodzę w czasie wolnym.

GITARY

Autorstwa irlandzkiego lutnika George'a Lowdena z 1993 r., zakupiona w Nowym Jorku. Kosztowała majątek, ale po roku chodzenia za nią udało mi się ją nabyć z dużą zniżką.



Czarna gitara jest prezentem od mojej Mamy, a zarazem mocnym impulsem, by iść w muzykę. Na niej skończyłem szkołę muzyczną we Wrocławiu i studia jazzowe w Holandii. Latała ze mną do NY, jeździła w deszczu na rowerze (oczywiście w pokrowcu).



Gitara elektryczna to moja „gitara przystankowa". Gdy zacząłem na niej grać, zafascynowała mnie, do czego zaczęła mnie inspirować.



BANJO

To instrument folkowy i zawsze marzyłem, by na nim grać. Udało mi się i zostałem przyjęty do zespołu bluegrassowego, z którym występowałem co poniedziałek w klubie na Manhattanie.



LEKCJE GRY

W moim logo są gitara i banjo, ponieważ uczę gry na tych instrumentach. Pochodzę z rodziny nauczycieli, dlatego nauczanie jest moją pasją. Od niedawna realizuję skuteczny program online „Od Chaosu Do Harmonii", który pomaga ludziom, którzy pogubili się w tym graniu.



Wysłuchał i zapisał Michał Korsun

Fot. Michał Korsun, prywatne archiwum Pawła Klina

eprasa.pl 11e7e24d55

Dziwi mnie hiszpańskie zdziwienie



Samuel Pereira

Gdy rząd w Madrycie z zachwytem ogłaszał swój „innowacyjny" program umasowionego nadawania obywatelstwa migrantom, prawica ostrzegała przed przyszłymi zagrożeniami. Nieufność wobec nowych „obywateli" nie docierała do rządzących, a dziś „inwazja Sáncheza" okazuje się coraz większym balastem dla Hiszpanii. Władza nie rozumiała, dlaczego można nie ufać ludziom, którzy w imię własnego interesu są gotowi porzucić swoją ojczyznę, rodzinę i najbliższych. Podobnie wygląda dyskusja o migrantach nielegalnie przekraczających granice. Lewicowi naiwniacy nie chcą przyjąć do wiadomości prostej zależności: jeśli ktoś już na wejściu do obcego państwa świadomie łamie jego prawo, istnieje duże prawdopodobieństwo, że będzie je łamał również później, oszukując tam, gdzie tylko będzie mógł.

Właśnie z taką rzeczywistością zderza się dziś Hiszpania, a rząd w Madrycie przeciera oczy ze zdumienia. Najnowsze dane hiszpańskiej prokuratury są wręcz porażające. Spośród osób, które w ubiegłym roku zgłosiły się jako nieletni migranci bez opieki, aż siedem na dziesięć po weryfikacji okazało się pełnoletnich. Oznacza to, że tysiące ludzi próbowało uzyskać dostęp do przywilejów i świadczeń, świadomie wprowadzając państwo w błąd. Efekt? Przeciążone lotnisko Barajas, wielomiesięczne oczekiwanie na badania wieku, niewydolny system opieki i koszty liczone już nie w milionach, lecz niemal w miliardzie euro rocznie. Najbardziej cierpią na tym ci, którzy naprawdę potrzebują pomocy. Każde miejsce zajęte przez dorosłego podszywającego się pod dziecko oznacza mniej miejsca dla faktycznie nieletnich. Ale ten aspekt jakoś nie porusza sumień lewicowych polityków, którzy jeszcze niedawno przekonywali, że każda ostrożność wobec migracji jest przejawem ksenofobii.

Historia Hiszpanii jest kolejnym dowodem na to, że państwo, które przestaje egzekwować własne prawo i stawia ideologię ponad zdrowym rozsądkiem, prędzej czy później zostanie wykorzystane. Dlatego bardziej od skali oszustw dziwi mnie tylko jedno – że hiszpański rząd jest nimi tak zaskoczony. A rzeczywistość po raz kolejny okazała się znacznie mniej naiwna niż lewica.

Lato z Szekspirem

Z aktorem Bartłomiejem Kasprzykowskim rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna

10 lat, setki letnich wieczorów, blisko 500 tys. widzów, a wszystko to w ramach...?

Bartłomiej Kasprzykowski: Projektu „Szekspir w Parku", z którym znów jesteśmy w ogrodach Pałacu w Wilanowie. W takich okolicznościach dotykamy – można powiedzieć – źródła, bo mistrz ze Stratfordu bardziej potrzebuje przyrody niż wymyślnych scenografii, reflektorów, dymów i muzyki.

Nie tylko po to, by zagubić się w magicznej kniei?

Także by znaleźć coś w tym lesie wspaniałych sentencji, które można będzie usłyszeć ze sceny. 10. urodziny świętujemy w zupełnie nowej scenografii premierą „Komedii omyłek", a także „Wieczorem Trzech Króli". Przenieśliśmy się w nieco inne miejsce w ogrodach Wilanowa, ale Szekspir pozostaje ten sam. Widzowie, którzy przychodzą nas oglądać, często wielokrotnie, wiedzą, że magii „Szekspira w Parku" nie ma żadna inna interpretacja czy forma. Warto się o tym przekonać. Gramy przez cały lipiec i część sierpnia, codziennie.

Jaką postać tworzy pan w „Komedii omyłek"?

Dr. Szczypawę, który też zaśpiewa. Na życzenie reżysera napisałem tekst. Będzie i uszczypliwie, i wesoło.

Nie po raz pierwszy zagra pan z żoną. Bardzo lubimy z Tamarą [Arciuch – przyp. red.] razem pracować. „Szekspir w Parku" to też trochę nasz sposób na wakacje.

A czy jest szansa, że znów staniecie razem przed kamerą?

Liczymy na to nieustannie.

Np. w realizowanej właśnie kontynuacji serialu „Ranczo"?

Pomidor.



Fot. Bartek Kasprzykowski/facebook

Reklama | 071125/F/ZAL

eprasa.pl 11e7e24d55

FUNDACJA STEFCZYKA

Współczesna spółdzielczość w praktyce



Spółdzielczość to przyszłość budowana wspólnie, każdego dnia.

Wspieramy polski sport, kulturę, edukację i lokalne działania społeczne, bo siła wspólnoty tkwi w tym, jak potrafimy dzielić się dobrem.








www.fundacjastefczyka.pl

eprasa.pl 11e7e24d55

Kochajmy się!

W tytule XII księgi „Pana Tadeusza" jest zawarta uniwersalna recepta na boom demograficzny Polaków. Zaręczyny Zosi i Tadeusza z narodowym pojednaniem w tle dawały nadzieję na odrodzenie się Polski. I ani kolejne wojny, ani komunistyczna okupacja nie odwróciły tego trendu – dzieci zawsze były dla Polaków błogosławieństwem, nigdy „udręką". Po 1989 r. realizowana przez polskojęzyczne (głównie niemieckie) media i lewackich celebrytów akcja deprawacji społeczeństwa zaburzyła świat tradycyjnych wartości. Genderowe rozprzężenie, egoistyczny konsumpcjonizm i luzacka dewiza „Róbta, co chceta" zatrzymały zwykłą zastępowalność pokoleń. Stanęliśmy na skraju katastrofy demograficznej.



Próby ratowania populacji Starego Kontynentu migracyjnym desantem niekompatybilnych nachodźców z Afryki i Azji okazały się gaszeniem pożaru benzyną! Samozagłada rdzennej ludności UE przyspiesza. Ze względu na „zapóźnienie cywilizacyjne" mieliśmy szansę uniknąć błędów krajów zachodnich. Zagrożenia podano nam na tacy, ale sami unieważniliśmy referendum w sprawie migracji.

Budowane przez deweloperów mieszkania świecą dziś pustkami, ponieważ są zbyt drogie dla młodych małżeństw. Paradoksalnie czarnoskórzy „osadnicy" – zgodnie z paktem migracyjnym – otrzymają te pustostany (i utrzymanie) ZUPEŁNIE ZA DARMO! Dlatego nie pojmuję, czemu jałowi „psiecko-rodzice" sprzeciwiają się wspieraniu polskich „dzieciorobów" z budżetu państwa? W tej dramatycznej sytuacji powinniśmy przekazać te lokale i środki finansowe polskim rodzinom, ponoszącym trud wychowania nowych obywateli. Metraż i wysokość wsparcia winny być proporcjonalne do liczby dzieci – przyszłych podatników wymierającego kraju. Jednocześnie należy promować w mediach i popkulturze tradycyjne wartości rodzinne. I penalizować demoralizację!

PS Unijne kary za odmowę przyjmowania migrantów możemy wypłacać z reparacji wojennych od Niemiec, które podczas II wojny światowej uszczupliły liczebność Polaków o 6 mln.

Lech Makowiecki

ZDJĘCIE TYGODNIA

Początek sezonu chopinowskiego w warszawskich Łazienkach



Fot. Aleksy Witwicki/Xinhua/East News

SIECI

ISSN 2544-2694

www.SIECIprawdy.pl

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARNOWSKI

ZASTĘPCY REDAKTORA NACZELNEGO: DOROTA ŁOSIEWICZ, TOMASZ OZDOWY, MAREK PYZA, MARCIN WIKŁO

E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL; TEL. (22) 255 93 32, (22) 255 93 33; UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

AUTORZY: GORAN ANDRIJANIĆ, PRZEMYSŁAW BARSZCZ, MAREK BUDZISZ, RYSZARD CZARNECKI, KRZYSZTOF FEUSETTE, JOLANTA GAJDA-ZADWORNA, GRZEGORZ GÓRNY, PIOTR GURSZTYN, STANISŁAW JANECKI, MARTA KACZYŃSKA-ZIELIŃSKA, KONRAD KOŁODZIEJSKI, JAROMIR KWIATKOWSKI, LECH MAKOWIECKI, RYSZARD MAKOWSKI, DARIUSZ MATUSZAK, ALEKSANDER NALASKOWSKI, MARZENA NYKIEL, SAMUEL PEREIRA, STANISŁAW PŁUŻAŃSKI, JAN PIETRZAK, ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI, WOJCIECH RESZCZYŃSKI, JAN ROKITA, ALEKSANDRA RYBIŃSKA, PIOTR SŁABEK, JERZY SZMIT, ROBERT TEKIELI, MACIEJ WALASZCZYK, BRONISŁAW WILDSTEIN, PIOTR ZAREMBA, ANDRZEJ ZYBERTOWICZ

WYDAWCA: FRATRIA S.A.
PREZES: ROMUALD ORZEŁ
UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA
REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL

DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO
PRODUKCJA I DYSTRYBUCJA: MARIOLA BARCIKOWSKA, MARIOLA.BARCIKOWSKA@FRATRIA.PL

DYREKTOR ARTYSTYCZNY: MICHAŁ KORSUN, MICHAL.KORSUN@FRATRIA.PL

STUDIO GRAFICZNE: ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI, KATARZYNA LASKOWSKA
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN
FOTOEDYCJA: ROBERT GOŁASZEWSKI, ROBERT.GOLASZEWSKI@FRATRIA.PL

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO:
TEL. (22) 616 36 00 (GODZ. 14.00 – 16.00)
PRENUMERATA@FRATRIA.PL
REGULAMIN ORAZ WARUNKI PRENUMERATY NA STRONIE WWW.SIECIPRAWDY.PL

WPŁAT ZA PRENUMERATĘ PROSIMY DOKONYWAĆ NA KONTO:
91 1240 5354 1111 0010 7713 6290
FRATRIA S.A., UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA,
W TYTULE WPŁATY WPISUJĄC PEŁNE DANE ADRESOWE DO WYSYŁKI ORAZ RODZAJ PRENUMERATY

DRUK: WALSTEAD KRAKÓW SP. Z O.O.

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU:
KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL

BIURO REKLAMY:
REKLAMA@FRATRIA.PL, TEL. (22) 463 49 93

KOLPORTAŻ: KOLPORTAZ@FRATRIA.PL

REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA I SKRACANIA TEKSTÓW. COPYRIGHT © FRATRIA S.A. WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE (WŁĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JĘZYKI OBCE). REDAKCJA NIE ZWRACA MATERIAŁÓW NIEZAMÓWIONYCH. OGŁOSZENIA I REKLAMY NIE STANOWIĄ MATERIAŁU POCHODZĄCEGO OD WYDAWCY. BEZUMOWNA SPRZEDAŻ NUMERÓW BIEŻĄCYCH I ARCHIWALNYCH PO CENIE NIŻSZEJ OD USTALONEJ PRZEZ WYDAWCĘ JEST ZABRONIONA, NIELEGALNA I GROZI ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ KARNĄ.

FOT.: PAWEŁ WODZYŃSKI/EAST NEWS, PAP/TOMASZ GZELL, ANDRZEJ WIKTOR, MICHAŁ WAJNCHOLD/MON.GOV.PL, GOŁĘBIEWSKI POBIEROWO/FACEBOOK, IPN, SHUTTERSTOCK/FOTODAX, HXDBZXY, JOEY SUSSMAN

Zamów prenumeratę Sieci!

CENNIK PRENUMERATY*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
Krajowa	118 zł	207 zł	375 zł
Zagraniczna	296 zł	566 zł	1099 zł

**Dane do przelewu w stopce redakcyjnej*

eprasa.pl 11e7e24d55



Marionetkowa prezydentura Trzaskowskiego

eprasa.pl 11e7e24d55

Skandaliczna afera w Warszawskim Szpitalu Południowym powinna bezpowrotnie zakończyć działalność rządu Donalda Tuska. W każdym normalnym kraju doszłoby do dymisji. Niestety pojęcia odpowiedzialności i honoru są politykom KO zupełnie obce, więc przyjmują strategię zrzucania odpowiedzialności. Tylko czy przed tak ogromnym spiętrzeniem kryzysów można uciec? Rafał Trzaskowski już to wie. Powoli dociera do niego, że cokolwiek zrobi, i tak dopadnie go polityczna sprawiedliwość. „Złote dziecko PO" przegrało wszystkie szanse, które dała mu partia



MARZENA NYKIEL

Rafał Trzaskowski przeszedł już wiele kryzysów, ale ostatni bezlitośnie go obnaża. Dwukrotne podejście do wyborów prezydenckich zakończyło się fiaskiem, choć miał po swojej stronie mainstreamową machinę polityczno-medialną. W czasie, gdy odbywał kampanijne podróże po kraju, Warszawą rządzili jego zastępcy. Podobnie było również w pozostałych okresach, Trzaskowski nie należy bowiem do ludzi mających szczególne upodobanie do ciężkiej pracy i podejmowania decyzji.

Przez lata model rządzenia stolicą bazował na głębokiej delegacji uprawnień. Wiceprezydenci mieli ogromną swobodę działania i szerokie kompetencje. Polityką kadrową kierował Marcin Kierwiński, szef warszawskich struktur Platformy Obywatelskiej. Prezydentura Trzaskowskiego była więc głównie wizerunkowa. Układ trwający przez lata rozsypał się jednak pod naporem gigantycznych afer i nieprawidłowości.

AFERA SZPITALNA

Tak upiornej patologii w Warszawskim Szpitalu Południowym nie spodziewał się nikt. Gdyby nie odwaga dr. Emila Jędrzejewskiego, byłego ordynatora oddziału chirurgii, ten potworny proceder kwitłby dalej. Afera z gigantycznymi zarobkami koordynatora SOR ma kolejne, coraz bardziej porażające odsłony. Pacjenci umierający na SOR bez opieki i szybka ścieżka szpitalna dla partyjnych kolegów to dopiero początek. Od początku było oczywiste, że Dawid Kacprzyk, 28-letni koordynator SOR, lekarz bez specjalizacji, doświadczenia i umiejętności, a jednocześnie radny Koalicji Obywatelskiej, wyjątkowo agresywny aktywista i szef partyjnej młodzieżówki KO, to jedynie wtyczka, chip transmisyjny, umożliwiający funkcjonowanie szerokiego układu.

Błyskawiczne wsparcie prawno-polityczne, jakie otrzymał, gdy okazało się, że w rok zarobił 1,6 mln zł, mówi bardzo wiele. Tak ogromne pieniądze dostaje się zwykle za coś. Najwięcej kosztują przyzwolenie i milczenie. I prawdopodobnie z tym mamy tu do czynienia. Kto jeszcze na tym korzystał, jakiego rodzaju usługi oferowano w szpitalu, jakiej skali był to proceder? Dr Emil Jędrzejewski od ponad roku próbował zainteresować sprawą nieprawidłowości ludzi odpowiedzialnych za placówkę na różnych szczeblach. Gdy w lipcu 2025 r. napisał bezpośrednio do Rafała Trzaskowskiego, został zwolniony z pracy. Gdy wreszcie ujawnił sprawę w mediach, zderzył się z brutalnym atakiem całego aparatu państwa z premierem na czele. Okazało się jednak, że tego, co miał do powiedzenia, zakrzyczeć się nie da. Ludzie ośmieleni jego przykładem przerwali milczenie.

Dziś już wiemy, że partyjny układ KO na SOR był zaledwie wierzchołkiem góry lodowej. Mroczny dramat rozgrywał się w podziemiach Szpitala Południowego, gdzie w prosektorium swoje prywatne królestwo stworzył Artur Habowski – technik sekcyjny, awansowany na specjalnie utworzone stanowisko koordynatora. Z ujawnionych dotąd informacji widać, że zachowywał się jak zwyrodniały dewiant, zarabiający na śmierci i bezczeszczący ludzkie ciała. Na Instagramie zamieszczał tysiące zdjęć zmarłych, pokazywał zmasakrowane, rozczłonkowane ciała, a nawet ludzkie płody. Już tylko to powinno obudzić czujność prokuratury, która od pewnego czasu badała sprawę zgonów w tym szpitalu. Dziwnym trafem to zignorowano.

Okazuje się, że Habowski prowadził prywatną działalność funeralną i przejął kontrolę nad dokumentacją. W placówce panował wewnętrzny nakaz, według którego wszystkie karty zgonu z oddziałów miały trafiać bezpośrednio do jego rąk, a rodziny miały je odbierać w prosektorium. Tam koordynator bezczelnie wciskał im usługi zaprzyjaźnionego zakładu, a za świadczenia, które w publicznych szpitalach są bezpłatne, wprowadził własny cennik. Opór uruchamiał procedurę odwetu. Przetrzymywano dokumenty, celowo opóźniano wydanie ciał, zmuszano rodziny do wielogodzinnego oczekiwania w upokarzających kolejkach obok bezprawnie składowanych trumien. Skrajnie makabryczną sytuację ujawnił przedstawiciel jednej z warszawskich firm pogrzebowych, do którego trafiło ciało z Warszawskiego Szpitala Południowego: „Otwieramy worek – siki. Normalnie nasikał na zwłoki, zapakował i nam przekazał. Jak mi moi pracownicy o tym powiedzieli, zadzwoniłem do niego, a on do mnie: »Wy wykonujecie usługi, to sobie umyjcie«". Habowski wynajmował też prosektorium ekipom filmowym,

Fot. na poprzedniej stronicy: Shutterstock, Liudmyla Skwarczyńska

Autopromocja

eprasa.pl 11e7e24d55

prowadził drogie szkolenia z balsamowania zwłok, a sposób, w jaki mówił o swoim fachu, budzi przerażenie.

Wygląda na to, że nie jest to ostatnia odsłona tego horroru. Na jaw wychodzą kolejne fakty. Mówić zaczynają lekarze i pacjenci. W obliczu tych skandali pod lupę należałoby wziąć także Warszawskie Centrum Leczenia Niepłodności. Zapłodnieniem in vitro nigdy wcześniej nie zajmowały się w Polsce publiczne placówki. Była to domena klinik prywatnych. Rafał Trzaskowski złamał tę zasadę i otworzył w Szpitalu Południowym pierwsze w Polsce publiczne centrum sztucznego zapłodnienia. Nieprzypadkowo.

Pod koniec 2023 r. parlament przyjął ustawę o finansowaniu in vitro z budżetu państwa. W 2024 r. Szpital Południowy otworzył WCLN. W ciągu dwóch lat popłynęło tam 14 mln zł dotacji. Jakie są efekty tak hojnie dofinansowanej placówki? 860 zakwalifikowanych par, 214 ciąż i 80 urodzonych dzieci. Czy centrum jest odpowiednio nadzorowane? Okazuje się, że doszło tam do koszmarnej pomyłki – pacjentce wszczepiono zarodek innej pary.

Wszystko to działo się w „modelowym szpitalu samorządowym", z którego Rafał Trzaskowski był nieprawdopodobnie dumny i którym szczycił się podczas kampanii wyborczej. Przekonywał, że jest jedynym kandydatem, który wie, jak uzdrowić służbę zdrowia. Dlaczego nie sprawował więc nadzoru nad miejskimi placówkami? Sprawa saloniku VIP na SOR była ponoć tajemnicą poliszynela. Niektórzy politycy KO jeździli tam z byle błahostką, a Kacprzyk chlubił się znajomością z „Rafałem" i „Renatą". Przypominał o tym za każdym razem, gdy ktoś z doświadczonych lekarzy zwracał mu uwagę. Dlaczego zarząd, w którym na cztery osoby aż trzy miały legitymacje partyjne, nie zapobiegł patologii? Otrzymywał przecież skargi. Może właśnie tak miało być? Może po to wciskano Dawida Kacprzyka do kolejnych szpitali na stanowisko koordynatora SOR, żeby podobne rzeczy mogły dziać się równolegle? Z doniesień medialnych wynika, że oprócz dr. Jędrzejewskiego odwagą wykazał się jeszcze jeden lekarz, który w tym samym czasie – w maju i lipcu 2025 r. – wysłał do Marcina Kierwińskiego informacje o nieprawidłowościach na SOR. Kierwiński odpisał, że „nie jest to temat, w który powinna się angażować polityka". Teraz do doktora trafiło pismo przedprocesowe od prawnika Kierwińskiego, który żąda 10 tys. zł na Ochotniczą Straż Pożarną, by „usunąć skutki naruszenia dóbr osobistych" polityka KO „w postaci czci i dobrego imienia".

> Wpływ zastępców Trzaskowskiego na codzienne decyzje ratusza był potężny. Do niedawna każdy z nich zarządzał swoim pionem niemal całkowicie niezależnie, a w Warszawie mówiło się o „rządach udzielnych książąt". Sprawę ułatwiała im bierna postawa prezydenta

AFERA ZDM

Do nieprawidłowości dochodzi także w innych miejskich spółkach, a gdy zatrudnione w nich osoby sprzeciwiają się, zostają wyeliminowane. W Warszawie najwyraźniej nie obowiązują przepisy ustawy o sygnalistach podlegających prawnej ochronie.

Potwierdza to sytuacja z Zarządu Dróg Miejskich. Pan Piotr, który wraz z dwiema innymi osobami nie chcieli wykonać polecenia niezgodnego prawem, najpierw zawiadomił o nieprawidłowościach swoich bezpośrednich przełożonych – dyrektora ZDM. Gdy ten sprawę zignorował, zgłosił się do Urzędu m.st. Warszawy, gdzie w listopadzie 2025 r. oficjalnie uzyskał status sygnalisty i potwierdzoną zaświadczeniem ochronę. Mimo to już w styczniu 2026 r. został zwolniony z pracy, a wśród argumentów pojawiło się pismo wysłane do Trzaskowskiego.

Jego kolegę zdegradowano do pozycji kontroli biletów w strefie płatnego parkowania, a koleżanka zwolniła się sama. Gdy sprawę nagłośniły media, Trzaskowski stwierdził, że pan Piotr nie zgłosił nic istotnego, źle wykonywał swoje obowiązki, nie był źle traktowany przez przełożonych, a ochrona sygnalistów nie jest bezwzględna. Czyżby opisane powyżej przypadki miały być ostrzeżeniem dla ewentualnych przyszłych sygnalistów?

Dr Jędrzejewski również stracił pracę po zawiadomieniu Trzaskowskiego. Przed prokuratorem stanął już dwukrotnie, podczas gdy Dawid Kacprzyk nie został nawet ujęty w kalendarzu przesłuchań. Gdyby afera dotyczyła kogoś z PiS, od dawna siedziałby w areszcie śledczym z obawy przed matactwem. Ludzie KO dostali wystarczająco dużo czasu do wyczyszczenia pola, zanim wkroczą na nie śledczy. Agenci CBA weszli do Szpitala Południowego dopiero 9 lipca, a więc blisko miesiąc po pojawieniu się pierwszych doniesień. Nagrań z monitoringu i kluczowych dokumentów mogą tam już nie znaleźć.

STANDARDY TRZASKOWSKIEGO

Rafał Trzaskowski idzie w zaparte. Próbuje grać twardego menedżera i udowodnić, że wciąż trzyma ster. „Ja jestem osobą, która w mieście wyznacza najwyższe możliwe standardy. Odpowiadam za to miasto i w mieście podejmuję



NOWOŚĆ!
PRENUMERATA PRZEZ InPost
Zamów już dziś prenumeratę przez Paczkomat!
prenumerata.sieciprawdy.pl/oferta/inpost

CO ZYSKUJESZ DODATKOWO?
Dostęp do e-prenumeraty SIECI
- teraz możesz czytać wygodnie na telefonie lub komputerze

eprasa.pl 11e7e24d55

jasne decyzje” – oświadczył na konferencji prasowej. Po wybuchu afery odwołał zarząd Szpitala Południowego. Po dwutygodniowych przepychankach dymisję z funkcji wiceprezydentów Warszawy złożyły Renata Kaznowska i Aldona Machnowska-Góra. Pierwsza zajmowała się sprawami z zakresu edukacji, ochrony zdrowia i polityki zdrowotnej, sportu i rekreacji oraz obsługi rady miasta, druga sprawami z zakresu kultury, polityki lokalowej, rewitalizacji, ochrony konserwatorskiej zabytków oraz rejestracji stanu cywilnego. Co zaskakujące, na stanowisku pozostał Tomasz Mencina, zajmujący się inwestycjami, ruchem drogowym, a także ładem korporacyjnym, czyli radami nadzorczymi miejskich spółek. Szpital Południowy jest spółką miejską, a więc był w ratuszu właśnie pod jego nadzorem.

ZWARTY UKŁAD

Czyżby pozycja Menciny była tak silna, że nie sposób pociągnąć go do odpowiedzialności? A przecież to w jego pionie znajdują się obszary obarczone całym mnóstwem zastrzeżeń od wielu lat. Do jego kompetencji należy koordynacja remontów czy polityka deweloperska. Oba należałoby prześwietlić przez śledczych, bo wydaje się, że sprawa jest znacznie bardziej złożona niż niezadowolenie mieszkańców. Remonty ciągną się w nieskończoność, nie ma logiki w ponownym rozkopywaniu ulic i brakuje podstawowej koordynacji z kalendarzem strategicznych wydarzeń w mieście. Wystarczy przypomnieć, w jakim stanie znajdowała się Warszawa podczas ostatniego Konkursu Chopinowskiego, gdy okolice Filharmonii Narodowej wyglądały jak wielki plac budowy, a do centrum ciężko było dotrzeć.

Skandaliczna jest także polityka deweloperska, a głosy mieszkańców są kompletnie bagatelizowane. Do tego dochodzi paraliż komunikacyjny miasta i strategiczne prześladowanie kierowców. Mimo to Tomasz Mencina trzyma się mocno.

Warszawa jest we władaniu Platformy Obywatelskiej od 20 lat. Partia Donalda Tuska realizuje długofalowe interesy i trzyma się przy władzy dzięki zwartemu układowi. Renata Kaznowska rozpoczęła pracę w strukturach samorządowych stolicy już 1994 r., a funkcję wiceprezydenta miasta pełniła od września 2016 r. Ten przykład pokazuje, że Trzaskowski stoi na czele struktur dziedziczonych. Wpływ jego zastępców na codzienne decyzje był potężny. Do niedawna każdy z nich zarządzał swoim pionem niemal całkowicie niezależnie, a w Warszawie mówiło się o „rządach udzielnych książąt”. Sprawę ułatwiała im bierna postawa prezydenta.

Marcina Kierwińskiego w ratuszu może nie widać, ale to on jest architektem struktur kontrolującym partyjną maszynę w stolicy. Kacprzyk to jego człowiek, szef partyjnej młodzieżówki do zadań specjalnych. Ujawnienie afery w Szpitalu Południowym sprawiło, że cały misterny układ się rozsypał, a dymisje przyjęte przez Trzaskowskiego otwierają nowy front wewnętrznej wojny w KO. Warszawa stała się zakładnikiem wewnętrznych rozliczeń w partii. Trzaskowski walczy o przetrwanie, Kierwiński o wpływy, a Tusk pilnuje, by nikt nie urósł w siłę kosztem jego rządu.

Cała sytuacja jak w pigułce pokazuje, na czym polega toksyczność KO. Trzaskowski był zawsze złotym chłopcem Tuska – dobrze wyglądającym na zdjęciach, robiącym wrażenie na paniach, przyciągającym elektorat. Ale na tym jego rola się kończyła. Od podejmowania decyzji i realizacji zadań byli inni. Ten sam układ chciano przenieść do struktur państwowych. Przeprowadzka z ratusza do pałacu prezydenckiego miała być czystą formalnością. Użyto przecież wszystkich sił, środków i wpływów – wystarczająco, by mieć pewność wygranej. Na szczęście ten knajacki plan się nie powiódł. Trzaskowski musiał pozostać w roli ratuszowej marionetki Tuska. Niebawem może się okazać, że również tę rolę przyjdzie mu stracić. Warszawiacy mają już dość patologii. Nad Plac Bankowy nadciągają referendalne, mocno burzowe chmury. I choć Platforma zawsze trzymała się mocno w stolicy, tak wysokie stężenie toksyn może się okazać śmiertelne.



Remonty w stolicy ciągną się w nieskończoność, brakuje podstawowej koordynacji z kalendarzem strategicznych wydarzeń w mieście

Fot. Andrzej Wiktor

> Warszawa stała się zakładnikiem wewnętrznych rozliczeń w partii. Trzaskowski walczy o przetrwanie, Kierwiński o wpływy, a Tusk pilnuje, by nikt nie urósł w siłę kosztem jego rządu

eprasa.pl 11e7e24d55

Warszawa bez gospodarza

Nie mam wątpliwości, że w Warszawie jest potencjał, aby zebrać 132 tys. podpisów i zorganizować referendum. Czy istnieje potencjał do tego, by odwołać Rafała Trzaskowskiego – to się okaże. Postrzegam referendum jako szansę, aby otworzyć półroczną debatę o kondycji miasta i jego przyszłości



Fot. Andrzej Wiktor

Z Maciejem Wilkiem, Warszawiakiem, menedżerem branży lotniczej, prezesem Stowarzyszenia „Tak dla CPK" i Fundacji Polskiego Rozwoju, inicjatorem Stołecznej Operacji Referendalnej (SOR), rozmawia Jerzy Szmit

Jest pan menedżerem w branży lotniczej z międzynarodowym doświadczeniem, włączył się pan w ruch Tak dla CPK. Teraz jest pan liderem referendum w sprawie odwołania prezydenta Warszawy Rafała Trzaskowskiego. Wchodzi pan do polityki?

Maciej Wilk: W polityce *de facto* znalazłem się dwa lata temu, gdy zaangażowałem się w obronę CPK przed zakusami rządu, by ten projekt skasować z pobudek czysto politycznych. Potem był Ruch Społeczny „Tak dla Obywateli", który poszedł dalej w stronę reformy ustroju państwa. Teraz jest SOR – Stołeczna Operacja Referendalna. Traktuję to jako kolejny krok w pobudzaniu oddolnej aktywności obywatelskiej.

Zacznijmy od obrony CPK.

Tak dla CPK jest naturalnym, spontanicznym ruchem – na tyle skutecznym, że pod obywatelskim projektem ustawy szybko zebraliśmy ponad 200 tys. podpisów. Złożyliśmy go w Sejmie i przeżyłem ogromne rozczarowanie. W czasie posiedzenia Sejmu Koalicja Obywatelska głosowała za odrzuceniem projektu już w pierwszym czytaniu. Całe szczęście pozostałe kluby głosowały za skierowaniem go do komisji. W komisji infrastruktury prace nad projektem trwały jednak 5 minut, bez dyskusji merytorycznej. Posłowie obecnej koalicji przegłosowali negatywną rekomendację. Projekt trafił do marszałkowskiej zamrażarki i tkwi tam do tej pory. Co więcej, ostatnio ponownie byłem na posiedzeniu komisji infrastruktury. Chciałem zadać pytanie Maciejowi Laskowi, ale nie przyznano mi głosu, a zastępczyni przewodniczącego komisji Krystyna Sibińska (KO) stwierdziła, że była to inicjatywa pseudoobywatelska. Zebraliśmy 200 tys. podpisów pod inicjatywą „pseudoobywatelską"?!

I to pana ruszyło?

Tak. Nie rozumiem, jak ludzie sprawujący władzę ze złośliwym, szyderczym uśmiechem, mogą odrzucać spontanicznie i autentyczne propozycje zgłaszane przez wyborców. Art. 4 konstytucji mówi, że „władza zwierzchnia należy do Narodu", dlatego pojawiła się inicjatywa wzmocnienia pozycji referendum w naszym ustroju, m.in. przez likwidację progów ważności referendów. Gdy w Krakowie zbierano podpisy pod referendum za odwołaniem prezydenta Aleksandra Miszalskiego, miejscowe „autorytety" nawoływały do jego bojkotu. Świadczy to o tym, że podstawowe wartości naszej cywilizacji to dla części elit jedynie puste frazesy. Dla mnie to już

eprasa.pl 11e7e24d55

nie jest walka między dwoma wizjami czy partiami, lecz walka o funkcjonowanie demokratycznego państwa. Z takich zachowań powstają patologie, takie jak w Warszawskim Szpitalu Południowym.

Sytuacja w Szpitalu Południowym to nie wyjątek.

Niestety jest to konsekwencja 20 lat budowy systemu, w którym realnie nie istnieje nadzór właścicielski i kontrola obywatelska. Jeżeli osadzamy wszystkie możliwe rady nadzorcze i zarządy kolegami po kluczu partyjnym, a nie profesjonalnym, to do takich patologii dojdzie zawsze. Dlatego nie kupuję tego, że prezydent Rafał Trzaskowski nagle mówi po ośmiu latach, że nie będzie już polityków w radach nadzorczych. Co z tego, że przyjął dymisję swoich zastępczyń Renaty Kaznowskiej i Aldony Machnowskiej-Góry? Przecież to nie one są źródłem zła. Za budowanie i funkcjonowanie systemu odpowiada prezydent Trzaskowski

Czy to Rafał Trzaskowski zarządza miastem?

On jest średnio zaangażowany w pracę. W czasie swojej prezydentury dwukrotnie startował na prezydenta Polski, więc przez ok. rok z tej ośmioletniej prezydentury w ogóle nie zajmował się Warszawą, a pobierał wynagrodzenie z budżetu miasta. Organizował Campus Polska Przyszłości w Olsztynie. Mimo to było zaklinanie rzeczywistości, że wszystko przecież idzie dobrze, chociaż on bywał w ratuszu raz, dwa razy w tygodniu.

Jakie to przynosi efekty?

Brak gospodarza w Warszawie skutkuje na wiele sposobów. Np. od 11 lat nie podjęto uchwały krajobrazowej, inwestycje są opóźnione. Chociażby słynny przykład Sali Kongresowej, której remont potrwa w najlepszym przypadku 14 lat, a budżet będzie przekroczony co najmniej 12-krotnie. Za chwilę będziemy świętować zakończenie drugiej linii metra, ale realizacja trzeciej ma się zacząć za kilka lat. Korki dramatycznie rosną, ulice są zwężane, ubywa miejsc parkingowych. Rynek nieruchomości jest bardzo przeszacowany, centrum miasta wyludnia się, bo najem krótkoterminowy wypycha mieszkańców. Lista zarzutów jest bardzo długa, dlatego będziemy o tym mówić w kampanii referendalnej.

Jak społeczność stolicy zareagowała na Społeczną Operację Referendalną?

Jedne grupy witają tę inicjatywę z radością, inne – obojętnie albo niechętnie. Jest natomiast wystarczająca liczba ludzi w Warszawie, którzy chcą zmiany albo przynajmniej pragną wysłać czytelny sygnał do tej władzy samorządowej – oraz każdej innej – że tak dalej być nie może. Nie mam więc wątpliwości, że w Warszawie jest potencjał, aby zebrać 132 tys. podpisów i zorganizować referendum. Czy istnieje potencjał do tego, by odwołać Rafała Trzaskowskiego – to się okaże. Postrzegam referendum jako szansę, aby otworzyć półroczną debatę o kondycji miasta i jego przyszłości. Dzisiaj stolica Polski nie ma nawet strategii do 2040 r.

Warszawa od 1990 r. – z wyjątkiem krótkiego okresu rządów śp. prof. Lecha Kaczyńskiego – jest rządzona przez środowisko identyfikowane dziś z KO. Czy pańskim zdaniem Warszawa chce już politycznej zmiany?

Przekonamy się. Jeżeli jednak makabryczny skandal w Szpitalu Południowym nie skłoni ludzi do refleksji, to nie wiem, co musi się wydarzyć. Ale mnie zdopingował do działania, bo zrozumiałem, że to jest moment, aby spróbować wywoływać debatę na temat Warszawy i myślę, że ta potrzeba narasta.

Potrzeba 132 tys. podpisów, żeby referendum się odbyło. To ogromny wysiłek organizacyjny. Na jakich środowiskach chce się pan oprzeć?

Potrzeba nam minimum 300 osób zaangażowanych w zbiórkę podpisów na ulicach Warszawy. Odpowiednio zorganizowanych, przeszkolonych, zdeterminowanych. W tej chwili, półtora tygodnia po ogłoszeniu inicjatywy, mamy już 150 osób i stale zgłaszają się nowi.

Kiedy chcecie zacząć zbierać?

Celujemy w końcówkę lipca. Ważne, by zebrać zespół, wyszkolić, dokonać analizy i wskazać miejsca, gdzie znajdziemy największe wsparcie. Podchodzimy do tego bardzo profesjonalnie, bo takie jest też nasze doświadczenie biznesowe i analityczne. Oczywiście stale szukamy wsparcia. Zapraszamy na stronę www.SOR.waw.pl, gdzie można wyrazić chęć zaangażowania bądź przynajmniej wspomóc nas np. drobną darowizną.

Jak partie polityczne odnoszą się do Stołecznej Inicjatywy Referendalnej?

Jesteśmy inicjatywą prawdziwie obywatelską, oddolną i wiemy, że sklejenie nas z jakąkolwiek partią bardzo utrudniłoby naszą pracę. Niestety gdy wkraczają szyldy partyjne, kończy się dyskusja merytoryczna. A my chcemy dyskutować o Warszawie i warunkach życia Warszawiaków.

Czego najbardziej brakuje panu w stolicy?

Gospodarza! Gospodarza, który miałby opowieść o Warszawie – jak powinna wyglądać za 10 czy 20 lat, jak z uczynić z niej jedno z najlepszych albo wręcz najlepsze miejsce do życia w Europie. Słyszymy relacje zagranicznych gości zachwyconych Warszawą, bezpieczeństwem, zielenią, życzliwością Warszawiaków. Na tym powinniśmy budować. To jest możliwe, ale potrzebny jest konkretny, powiem nawet – wizjonerski plan rozwoju stolicy Polski. A tego brakuje.

Co pan jako doświadczony menedżer natychmiast zmieniłby w zarządzaniu miastem?

Wyrzuciłbym za drzwi wszystkich bez wyjątku zarządzających spółkami miejskimi i w całym uniwersum podmiotów czy instytucji miejskich. Rozpisałbym konkursy na rady nadzorcze i wprowadził *novum*, czyli zagwarantował możliwość wyboru reprezentantów mieszkańców do rad nadzorczych – analogicznie do przedstawicieli pracowników w spółkach Skarbu Państwa. W drugim kroku nowe rady przeprowadziłyby w pełni transparentne wybory zarządów i tak rozpoczęłaby się gruntowna ocena i procesy sanacji.

eprasa.pl 11e7e24d55

Biorąc pod uwagę pańskie doświadczenie związane z branżą lotniczą: czy Lotnisko Chopina nadal powinno funkcjonować w Warszawie w obecnym kształcie, a nawet rozbudowane – jak ostatnio słyszymy?

Odpowiedź brzmi: nie! Z dwóch powodów. Po pierwsze, kluczowym elementem i warunkiem powodzenia projektu CPK jest przeniesienie tam całego ruchu z Lotniska Chopina, aby było rentowne, funkcjonowało jako port międzykontynentalny, o znaczeniu światowym. Po drugie, uważam, że absurdem jest utrzymywanie 7 km od centrum miasta 800 ha ziemi na użytek lotów VIP-owskich i wojskowych. Terminal VIP może z powodzeniem powstać w CPK i stamtąd obsługiwać ten ruch. Ponadto te 800 ha ziemi pod Lotniskiem Chopina to unikalna szansa dla Warszawy. Widzę tu przestrzeń na wielki, międzynarodowy konkurs urbanistyczny i stworzenie wizji dzielnicy przyszłości: wizytówki Polski w XXI w. i potencjał na zbudowanie 100 tys. mieszkań. Teraz słyszę z tego powodu ataki, że jestem skrytym agentem lobby deweloperskiego. Patrzę na to jednak zupełnie inaczej. Zamiast apartamentowców powinny tam powstawać mieszkania komunalne, czynszowe, dostępne cenowo. Wprowadzenie 100 tys. mieszkań na rynek diametralnie zmieniłoby sytuację na warszawskim rynku mieszkaniowym i umożliwiłoby zamrożenie, a może spadek zdecydowanie zbyt wysokich cen.

Rafał Trzaskowski sprzeciwia się temu pomysłowi.

On twierdzi, że Lotnisko Chopina jest jednym z największych atutów Warszawy. Podaje też argument, że miasto inwestowało w dociągnięcie pociągu i rozbudowę infrastruktury prowadzącej do lotniska. Przecież ona nie zniknie, a spowoduje, że ta nowa dzielnica będzie tylko lepiej skomunikowana. Również sam terminal pasażerski Lotniska Chopina można przerobić na centrum kongresowe czy handlowe. Zmiana sposobu wykorzystania tego terenu jest niesamowitą szansą. Rafał Trzaskowski tego nie widzi. Nawet w drafcie strategii dla Warszawy na 2040 r. – tej, która nadal nie została uchwalona – CPK wciąż nie istnieje. Lotnisko Chopina trwa w najlepsze i w ogóle nie ma tematu jego zagospodarowywania.

A plany jego rozbudowy?

To aberracja. Według władz lotniska rozbudowa ruszy w przyszłym roku, a zakończy się w 2029 r. Informuję, że tak nie będzie. To harmonogram wyssany z palca. Realnie ta rozbudowa mogłaby się zakończyć w 2030, może 2031 r. Ale jaki jest jej sens, skoro w 2032 r. ma ruszyć CPK? To chyba kolejny pretekst, aby hamować jego budowę. Albo lewa ręka nie wie, co robi prawa.



Warszawa jest stolicą silnego, europejskiego państwa, a jednocześnie sprawia wrażenie, jakby nie była zainteresowana organizowaniem wielkich wydarzeń czy lokowaniem instytucji międzynarodowych.

Zorganizowanie w Warszawie np. igrzysk olimpijskich w stulecie powstania warszawskiego w 2044 r. byłoby czymś wielkim, ale trzeba wykonać szczegółowy rachunek kosztów i korzyści. Dlatego nie skreślam takiego pomysłu, ale bez wątpienia Warszawa jako europejska stolica pozostaje zbyt mało aktywna. Jest wielki konkurs poświęcony muzyce Warszawiaka – Fryderyka Chopina, ale zaangażowanie miasta w jego oprawę jest dalece niewystarczające, a na jednym wydarzeniu nie zbudujemy marki miasta.

Jak to zrobić?

Dzisiaj ważne jest tworzenie warunków do przyciągania inwestorów, uruchamiania start-upów, poszukiwania kontaktów, budowania relacji, podpatrywania nowości. Rafał Trzaskowski dużo jeździ po świecie, ale głównie na imprezy o charakterze ideologicznym. Inny kierunek to Olsztyn – na spotkanie z młodzieżówką KO lub podróże w czasie kampanii prezydenckich. A wszystko to za pieniądze Warszawiaków, bez żadnego pożytku dla nas.

Tymczasem brakuje czegoś, co byłoby oczywistym skojarzeniem z Warszawą. W Sydney jest opera, w Paryżu – Wieża Eiffla. Takiego symbolu nie stanowi Pałac Kultury, a już na pewno nie koszmarne Muzeum Sztuki Nowoczesnej, które jest zbrodnią na krajobrazie centrum stolicy. Posadzenie kilku kupionych w Niemczech drzew na Placu Defilad to prowizorka, a nie rozwój miasta.

Gdy akcja referendalna nabierze rozpędu, zostanie pan brutalnie zaatakowany przez tych, którzy poczują się zagrożeni. Bieganie będzie azylem?

Bieganie jest dla mnie momentem medytacji. Dzięki endorfinom uwalnianym podczas biegania przychodzą mi do głowy dobre pomysły. Dlatego cieszę się, że znowu mam możliwość biegania po moich starych, warszawskich ścieżkach i ruszyć na kolejny warszawski maraton. Mam nadzieję, że pod koniec września będą już zebrane podpisy i ruszymy do kolejnego etapu walki o Warszawę.

Zabolało pana rozstanie z Krzysztofem Stanowskim i Kanałem Zero?

Rozumiem Krzysztofa, że moje zaangażowanie w referendum postawiło go w niezręcznej sytuacji, więc nie mam żadnej pretensji. Trzymam kciuki za jego i jego pracę. Ścieżką referendalną muszę iść na własny rachunek, a on wykonuje i będzie świetnie wykonywać swoją dziennikarską robotę.

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 11e7e24d55



Wyrok na Tuska

Przez aferę w warszawskim szpitalu Donald Tusk może przegrać elekcję w 2027 r., ale o tej decyzji Polaków dowie się dopiero po zamknięciu lokali wyborczych



STANISŁAW JANECKI

To nigdy nie dzieje się od razu i przez dłuższy czas nie znajduje odzwierciedlenia w sondażach poparcia dla partii. Ale z opóźnieniem dochodzącym do półtora roku przychodzi „kara" za aferę obciążającą rządzących. Nie za wiele afer, tylko za jedną, która staje się symbolem i znakiem firmowym skojarzonej z nią władzy, a jednocześnie wywołuje społeczny gniew.

W 2002 i 2003 r., za rządów Sojuszu Lewicy Demokratycznej, była to afera Rywina. W 2014 r., za rządów Platformy Obywatelskiej – afera podsłuchowa (nagrania rządzących polityków z restauracji Sowa i Przyjaciele, Amber Room oraz Osteria). To te pojedyncze afery miały duży, wręcz decydujący wpływ na utratę władzy przez ugrupowania, które w społecznym i medialnym odbiorze zostały z nimi trwale sklejone.

W 2026 r. taką rolę może odegrać afera w Warszawskim Szpitalu Południowym (afera szpitalna), gdyż spełnia podobne kryteria (znak firmowy i gniew) – a może nawet bardziej – jak te, które zaistniały w wypadku afery Rywina i afery podsłuchowej. Jest swego rodzaju prawidłowością, że po trzech, czterech tygodniach od jej ujawnienia „afera szpitalna"

Fot. KPRM

eprasa.pl 11e7e24d55

nie wywołuje politycznego trzęsienia ziemi. Wedle sondażu IBRIS dla „Rzeczpospolitej" (przeprowadzonego 2–3 lipca 2026 r.) największym poparciem nadal cieszy się Koalicja Obywatelska – 29,1 proc., a w przypadku PiS to poparcie nie rośnie – wynosi 23,2 proc. Rośnie Konfederacji – 13,3 proc. (wzrost o 0,8 pp. oraz Konfederacji Korony Polskiej – 11,0 proc. (wzrost o 2,2 pp.).

Ale sondaże już rejestrują społeczne niezadowolenie z rządzących. W badaniu SW Research dla Onetu 42,9 proc. Polaków uznało, że premier Tusk i jego gabinet źle zareagowali na doniesienia dotyczące afery w Warszawskim Szpitalu Południowym. Tylko co czwarty – 25,8 proc. – uznał reakcję premiera oraz ministrów za właściwą. W badaniu SW Research dla „Rz" Polaków zapytano, czy afera w Szpitalu Południowym wpłynęła na ich stosunek do rządu. 36,2 proc. badanych uznało, że mają z tego powodu gorsze nastawienie do Rady Ministrów, a tylko 4,8 proc. stwierdziło, że obecnie postrzegają rząd „bardziej pozytywnie" niż wcześniej. 46,5 proc. badanych stanowiły osoby, których stosunek do rządu w żaden sposób nie uległ zmianie w związku z aferą.

W badaniu dla „Rz" grupą, która okazała się najbardziej zawiedziona działaniami premiera Tuska i jego gabinetu, były osoby w wieku od 25 do 34 lat. Wśród nich 42 proc. wskazało, że ich stosunek do rządu pogorszył się od momentu wybuchu afery.

Można więc powiedzieć, że proces autokompromitacji i delegitymizacji władzy już się rozpoczął. A sami rządzący zaczynają na to reagować. Na razie przeważnie na oślep, co wynika głównie ze strachu przed kolejnymi rewelacjami, przed rozszerzaniem zasięgu już ujawnionych oraz przed ich konsekwencjami.

CZEKAĆ CZY WYPRZEDZAĆ?

Rządzący są podzieleni w kwestii sposobu reagowania na aferę. Jedni chcą czekać, inni działać wyprzedzająco. Donald Tusk wybrał czekanie, czyli odwlekanie decyzji personalnych, jak najdłużej się da (liczy także na efekt wakacji). Rafał Trzaskowski zdecydował się natomiast na działania wyprzedzające, mające uspokoić nastroje. Obie strategie są związane ze społecznymi reakcjami ujawnianymi w kolejnych sondażach. W badaniu United Surveys by IBRIS dla Wirtualnej Polski 49 proc. Polaków oceniło, że afera negatywnie wpłynie na przyszłe wyniki wyborcze Koalicji Obywatelskiej. Przeciwnego zdania jest 46,2 proc. ankietowanych. Wśród wyborców obozu rządzącego – KO, Lewicy, PSL i Polski 2050 – aż 73 proc. badanych stwierdziło, że afera nie wpłynie na wynik wyborczy Koalicji Obywatelskiej. Przeciwnego zdania było 26 proc. zwolenników obozu rządzącego. Zupełnie inaczej odpowiadali wyborcy opozycji, czyli PiS, Razem, Konfederacji i KKP. W tej grupie aż 76 proc. uznało, że afera wpłynie na wynik wyborczy Koalicji Obywatelskiej. Tylko 16 proc. wyborców opozycji uważało, że sprawa nie przełoży się na rezultat KO.

Prof. Ewa Marciniak, szefowa CBOS, politolog z UW, na łamach „Gazety Wyborczej" ostrzegła przed poważnymi, długofalowymi konsekwencjami politycznymi dla formacji Donalda Tuska: „Rząd poniesie konsekwencje tej afery ze względu na nieumiejętność zarządzania kryzysem. [...] Zawsze za takie sytuacje polityczną odpowiedzialność ponoszą aktualnie rządzący. Działania były podjęte, ale z jednej strony za słabo komunikowane, z drugiej – za mało politycznie wyraziste". Jak stwierdziła prof. Marciniak, „sondaże, które były przeprowadzane po wybuchu afery, nie pokazują spadków KO. Na razie jest ona pod parasolem ochronnym swoich zwolenników, a KO, co wiemy z badań, ma lojalnych wyborców. Ale czy przed wyborami część zniechęcona tą aferą nie zostanie w domu? »Efekt Kacprzyka« może być odłożony w czasie i pojawić się jako demobilizacja wyborców, którzy zagłosowali na KO w 2023 r.". I dalej: „Wygląda to tak, jakby ten lekarz karierę zawdzięczał swojej partii. W opozycyjnej narracji właśnie ten aspekt najgłośniej wybrzmiewa".

W najnowszych badaniach CBOS premier Tusk zajmuje w rankingu zaufania szóste miejsce z wynikiem 38 proc. przy 49 proc. nieufności. Z sondażu United Surveys by IBRiS dla Wirtualnej Polski wynika, że w związku z aferą większość badanych – 51,2 proc. – opowiada się za odejściem ze stanowiska Rafała Trzaskowskiego, prezydenta Warszawy i wiceprzewodniczącego KO. Przeciwnego zdania jest 41,1 proc. ankietowanych.

Za tym, że „wyrok" na Tuska już zapadł, ale na razie jest odłożony w czasie, mogą przemawiać skutki dwóch wcześniejszych afer. Afera Rywina, która została ujawniona w grudniu 2002 r., a rozgrywała się w pierwszej połowie 2003 r. (wtedy działała sejmowa komisja śledcza), miała negatywne skutki dla rządzącego SLD trochę ponad półtora roku później. SLD wygrał wybory w 2001 r. z wynikiem 41,04 proc., a po aferze Rywina w wyborach w 2005 r. uzyskał zaledwie 11,31 proc. poparcia. Afera podsłuchowa, obciążająca rządzącą Platformę Obywatelską, wybuchła w czerwcu 2014 r. „Kara" spotkała tę partię niespełna półtora roku później: w wyborach w 2011 r. PO uzyskała 39,6 proc. poparcia, a w wyborach w 2015 r. – tylko 24,09 proc.

Pod koniec czerwca 2026 r., gdy wybuchła afera w Warszawskim Szpitalu Południowym, pierwsze sondażowe notowania rządzącej KO spadły jeszcze nieznacznie: w badaniu Instytutu Pollster dla „Super Expressu" (przeprowadzonym 30 czerwca – 1 lipca 2026 r.) Koalicja Obywatelska uzyskała 32,62 proc. poparcia (PiS – 27,54 proc.). Ale w przytoczonym wcześniej badaniu dla „Rz", przeprowadzonym ledwie dwa dni później, notowania KO spadły już poniżej 30 proc.

DYMISJE ZASTĘPCZE

Na niekorzyść rządzących działa to, o czym mówi Adrian Zandberg – że w Warszawie działa układ, ośmiornica wyrosła wokół Marcina Kierwińskiego. I ta ośmiornica promuje takich ludzi jak Kacprzyk, osłania ich i broni. Działając wedle doktryny Neumanna, czyli obrony swoich do upadłego. Lecz tym razem są ofiary. Dlatego jest oczekiwanie dymisji – na wszelkich możliwych szczeblach, łącznie z odejściem prezydenta Trzaskowskiego, dymisjami ministra Kierwińskiego i premiera Tuska. To nie są tylko polityczne gry – tu chodzi o życie każdego, kto mógłby się znaleźć w jakimś uogólnionym szpitalu południowym. Rządzący o tym wiedzą, dlatego winę przerzucają na sygnalistę – dr. Emila Jędrzejewskiego, a Dawida Kacprzyka bronią, mimo że musieli go zrzucić z sań.

Narracja jest taka, że Donald Tusk walczy ze złem, które jest ponadpartyjne – choć pozostaje jak najbardziej partyjne

eprasa.pl 11e7e24d55

i zlokalizowane w strukturach KO, nie tylko zresztą w Warszawie. Gdy do tego dojdzie jakaś dymisja w rządzie, to przecież nie Marcina Kierwińskiego, tylko np. minister Jolanty Sobierańskiej-Grendy albo szefa NFZ Filipa Nowaka. Wtedy premier Tusk, jak to ma w zwyczaju, wytłumaczy naiwnym, że jak już walczy ze złem, to wszędzie. I walczy naprawdę oraz konsekwentnie.

Tu pojawia się stały element tej narracji, czyli pozytywne odróżnianie się od PiS. Czasem bywa to jednak groteskowe, np. wtedy, gdy Tusk, a za nim Kierwiński, powiedzieli, że w PiS nie ścigaliby takiego Kacprzyka, tylko zrobiliby go wiceministrem zdrowia. A w KO jest tak sprawiedliwie, że nie wahają się wywalać swoich – jak Renata Kaznowska i Aldona Machnowska-Góra, czyli zastępczynie Rafała Trzaskowskiego w ratuszu. Wszystko po to, by lud nie mówił, że nic nie robią. Problemem jest tylko to, że wszystkie patologie były i są możliwe, ponieważ działa władza, na której czele stoi w Polsce Donald Tusk, a w Warszawie Marcin Kierwiński i Rafał Trzaskowski. Czyli zło jest ulokowane w KO, a nie gdzieś w kosmosie.

Donald Tusk chciał uciąć publiczną debatę o patologiach w Szpitalu Południowym i w Warszawie, trafnie obawiając się, że zaszkodzi mu w wyborach parlamentarnych. To samo zrobił w stolicy prezydent Rafał Trzaskowski. W jego przypadku wyszła cała pokraczność oraz fałsz sanacyjnych działań. Oto Trzaskowski przyjął wnioski o rezygnacji swoich zastępczyń, a następnie wygłosił peany na ich cześć i zapewnił, że zapisały się złotymi zgłoskami w pracy na rzecz stolicy Polski. Oczywiście zapewne wcześniej złożył im propozycje nie do odrzucenia. One „wyleciały", a pozostał wiceprezydent Tomasz Mencina, który konkretnie odpowiadał za Szpital Południowy.

Przesądzające o decyzjach Trzaskowskiego i „wściekaniu się" Tuska mogły być informacje, że w Szpitalu Południowym nie tylko istniał układ z jednym zakładem pogrzebowym, lecz także dochodziło do przestępczego handlu ciałami zmarłych i profanacji zwłok. Zgodnie z polskim prawem w szpitalach obowiązuje zakaz reklamy i świadczenia usług pogrzebowych (wprowadzony po łódzkiej aferze „łowców skór"). Personel szpitala miał odgórny nakaz przekazywania kart zgonu koordynatorowi prosektorium. Rodziny zmarłych, zamiast odbierać dokumenty w sekretariacie oddziału, były zmuszane do udania się do podziemi prosektorium. Koordynator (co to w ogóle za stanowisko?) wykorzystywał moment żałoby i zagubienia bliskich, by agresywnie „polecać" konkretny zakład pogrzebowy (Sacrum), z którego właścicielami miał powiązania biznesowe.

> Rządzący są podzieleni w kwestii sposobu reagowania na aferę. Jedni chcą czekać, inni działać wyprzedzająco. Donald Tusk wybrał czekanie, czyli odwlekanie decyzji personalnych jak najdłużej się da. Rafał Trzaskowski zdecydował się natomiast na działania wyprzedzające, mające uspokoić nastroje. Ale publicznej debaty na temat patologii w Szpitalu Południowym nie udało im się uciąć

Od rodzin lub zakładów pogrzebowych wymuszano nieoficjalne opłaty (często bez żadnych pokwitowań, „pod stołem"): 100 zł – za samą zgodę na wydanie ciała ze szpitala, od 500 zł – za ubranie ciała i podstawowe zabiegi kosmetyczne. 1 tys. zł – za balsamowanie zwłok (w okresie pandemii stawki były dwukrotnie wyższe), od 1,5 tys. zł wzwyż – prowizja za skierowanie rodziny do „zaprzyjaźnionego" zakładu pogrzebowego. Jeśli rodzina zmarłego decydowała się na skorzystanie z usług innej, konkurencyjnej firmy pogrzebowej, która odmawiała płacenia koordynatorowi nielegalnych opłat, spotykała się z natychmiastowym odwetem. W relacjach świadków (pracowników branży pogrzebowej) pojawił się przypadek, w którym w ramach „zemsty" za wybór konkurencyjnej firmy, koordynator oddał ciało zapakowane w worek, na które uprzednio celowo oddano mocz.

KARA Z OPÓŹNIENIEM

Polacy są niezadowoleni z tego, jak najważniejsi politycy rządzącej obecnie koalicji potraktowali „aferę szpitalną". Premier Donald Tusk zapewniał ogólnikowo, że wszystko musi zostać wyjaśnione. Prezydent Warszawy Rafał Trzaskowski zwolnił zarząd szpitala i radę nadzorczą, a potem spanikował i wyrzucił dwie swoje zastępczynie. A Marcin Kierwiński, szef warszawskich struktur KO, „nie ma sobie nic do zarzucenia". Bo nic nie wiedział. A gdyby wiedział, „zareagowalibyśmy gwałtownie". Zarzekał się też: „Nie byłem promotorem Kacprzyka. To ja zablokowałem jego start do Rady m.st. Warszawy".

Naciski opinii publicznej i opozycji na dymisje będą rosły i rządzący muszą na nie reagować. Oczywiście rząd Tuska nie poda się do dymisji, ale premier i szef KO będzie musiał kogoś poświęcić. Na razie ani Donald Tusk, ani Rafał Trzaskowski nie rozwiązali żadnego problemu. Poza Kacprzykiem (uznano go za pionka, którego można poświęcić) reszta winnych jest niewinna.

Do wyborów parlamentarnych w 2027 r. pozostało jeszcze niespełna półtora roku i gdyby trendy były takie jak po aferach Rywina oraz podsłuchowej, w głosowaniu na KO mogłoby paść nawet poniżej 20 proc. głosów, co nie dawałoby partii Donalda Tuska żadnych szans na rządy przez kolejną kadencję (w wyborach w 2023 r. Koalicja Obywatelska uzyskała poparcie 30,70 proc.). Byłaby to odłożona w czasie „kara" za aferę w Szpitalu Południowym. Może być więc tak, że „wyrok" na Tuska już zapadł, tylko zapozna się on z nim po zamknięciu lokali wyborczych w dniu głosowania jesienią 2027 r.

eprasa.pl 11e7e24d55

Znikające Patrioty



KONRAD KOŁODZIEJSKI

O przekazaniu rakiet Ukrainie dowiedzieliśmy się w samym apogeum konfliktu z Kijowem. Tusk musi się teraz zmierzyć z uzasadnionymi pretensjami Polaków, zszokowanych jego ukłonami wobec kraju, którego władze otwarcie nas lekceważą. Zwłaszcza że dzieje się to kosztem naszego bezpieczeństwa

Dostawy deficytowych Patriotów na Ukrainę ujawniono w najgorszym możliwym momencie dla Donalda Tuska. W ostatnich dniach jego rząd zalicza bowiem największą od chwili swojego utworzenia serię porażek i katastrof. Tusk, mocno już poobijany w aferze szpitalnej, musi się tłumaczyć z przekazania drogocennego uzbrojenia akurat wtedy, gdy Wołodymyr Zełenski podziękował Polsce za okazane wsparcie odesłaniem Orderu Orła Białego i uhonorowaniem banderowców.

BROŃ NA WAGĘ ZŁOTA

Rakiety do systemu Patriot są w dzisiejszych niespokojnych czasach towarem bardzo deficytowym. Zdolności produkcyjne koncernu Lockheed Martin wynoszą zaledwie 600–700 rakiet rocznie, przy czym produkcja jednej sztuki trwa ponad rok. Nic więc dziwnego, że chętni na ich zakup muszą ustawiać się w długiej kolejce. Czas oczekiwania może przekraczać nawet 10 lat.

Fot. Michał Wajnchold

eprasa.pl 11e7e24d55

Wszystko dlatego, że zapasy rakiet błyskawicznie się kurczą. Podczas czterech miesięcy wojny z Iranem Stany Zjednoczone i ich sojusznicy zużyli – według szacunków – 2,8 tys. pocisków do baterii Patriot, a więc blisko czteroletnią produkcję. W pierwszych dniach konfliktu wystrzeliwano po kilkaset rakiet dziennie. W rezultacie Amerykanie muszą teraz pilnie uzupełniać własne zapasy, bo stracili na wojnie połowę posiadanych rakiet. Szacuje się, że zajmie to im około czterech lat, chyba że – zgodnie z niedawnymi zapowiedziami – uda się podwoić produkcję. Tak czy inaczej rakiet jest stanowczo za mało, aby zaspokoić rosnący popyt. Jest ich również zbyt mało, aby skutecznie bronić się przed agresją takich państw jak Chiny czy Rosja.

Właśnie takie rakiety na wagę złota Polska przekazała w pierwszych miesiącach tego roku na Ukrainę. Co więcej, mieliśmy też ustąpić Ukraińcom – według prezydenckiego ministra Marcina Przydacza – miejsca w kolejce do zakupu nowych pocisków. Zrobiono to po cichu, a gdy sprawa wyszła na jaw, rząd wpadł w panikę i przez kilka dni nie był w stanie odpowiedzieć na proste pytania dotyczące tej dziwnej transakcji. Nie dowiedzieliśmy się nawet, ile deficytowych pocisków oddano Ukrainie. A na pytanie, co otrzymaliśmy w zamian za Patrioty, wicepremier Kosiniak-Kamysz odpowiedział z rozbrajającą miną, że zyskaliśmy „wdzięczność sojuszników".

CO TO ZNACZY „KILKA"?

Według dostępnych danych Polska posiada w tej chwili dwie baterie systemu Patriot. Obie stacjonują w Sochaczewie na Mazowszu, co wskazuje, że ich głównym zadaniem jest obrona Warszawy przed wrogimi rakietami balistycznymi, pociskami manewrującymi i samolotami. Do 2029 r. mamy dostać jeszcze sześć baterii, które zostaną rozlokowane w Skwierzynie (woj. lubuskie), Gdyni i Bytomiu. Obejmą one swoim zasięgiem m.in. Poznań, Trójmiasto, aglomerację śląsko-dąbrowską i Kraków. Patrioty stanowią główny element programu WISŁA, czyli projektu modernizacji systemu obrony przeciwlotniczej i przeciwrakietowej średniego zasięgu.

Każda bateria składa się z ośmiu wyrzutni, co oznacza, że zakupiliśmy łącznie 64 wyrzutnie. To całkiem sporo, ale potrzebujemy do nich amunicji, czyli właśnie rakiet, które są najbardziej deficytowe. W 2018 r. ówczesny rząd PiS zakupił pierwszą partię 208 najnowocześniejszych rakiet PAC-3 MSE po 6 mln dol. za sztukę. Siedem lat później zamówiliśmy kolejną – większą liczbę 788 sztuk pocisków PAC-2 GEM-T. Ich dostawy – według wstępnych planów – mają być zrealizowane w ciągu najbliższych pięciu lat.

Wychodzi więc na to, że w tej chwili dysponujemy ok. 200 rakietami zakupionymi jeszcze przez ówczesnego szefa MON Mariusza Błaszczaka. I to właśnie z tych zapasów przekazaliśmy pociski Ukrainie. Ile ich poszło – tego nikomu nie powiedziano. Rząd odmówił podania konkretnej liczby – zarówno Kosiniak-Kamysz, jak i jego formalny zastępca Cezary Tomczyk z KO wspominali o „kilku" rakietach. Co to jednak znaczy „kilka", do końca nie wiadomo, tym bardziej iż rząd kręcił w tej sprawie przed opinią publiczną. Zdaniem portalu Defence24 mowa jest o pięciu rakietach.

Pewnym tropem może być tutaj artykuł z niemieckiego tygodnika „Der Spiegel", zamieszczony w marcu br. Dowiadujemy się z niego, że na Ukrainę wysłano 35 rakiet do baterii Patriot. Akcję dostarczenia rakiet miał wymyślić i opracować niemiecki minister obrony Boris Pistorius, który zadeklarował, że Niemcy przekażą Ukrainie pięć rakiet pod warunkiem, że pozostali europejscy sojusznicy dorzucą resztę.

Wśród donatorów znalazła się również Polska. Kwestię dostarczenia rakiet Ukrainie omawiano bowiem – co przyznał Kosiniak-Kamysz – podczas trzech posiedzeń Komitetu Bezpieczeństwa Rady Ministrów, dwa razy w lutym i raz w marcu. Co ciekawe, wkrótce po tym, jak polskie pociski zostały już prawdopodobnie przekazane Ukrainie, szef MON zapewniał solennie, że Patrioty służą do ochrony polskiego nieba i w związku z tym rząd nie zamierza ich nigdzie przesuwać. „Bezpieczeństwo Polski jest absolutnym priorytetem" – napisał 31 marca na platformie X. W tym samym czasie polskie rakiety były już zapewne ładowane do ukraińskich wyrzutni, a parę dni później na ukraińskich kanałach internetowych pojawiły się podziękowania tamtejszych dowódców wojskowych za Patrioty przekazane przez Polskę. Były to zresztą jedyne takie słowa ze strony ukraińskiej – co warto docenić – choć przeszły wtedy praktycznie bez echa. Dziś już wiemy, dlaczego nikt spośród darczyńców nie chciał nagłaśniać swojego daru.

TAKIEJ PROŚBY SIĘ NIE ODRZUCA

Artykuł w „Der Spiegel" rzuca jeszcze jedno światło na kulisy decyzji w sprawie Patriotów. Wszystko bowiem wskazuje na to, że Polska przekazała rakiety Ukrainie na wyraźną prośbę lub życzenie Niemiec. To mogłoby tłumaczyć późniejszą niechęć rządu do ujawniania tej darowizny.

Nic też dziwnego, że Zełenski kompletnie zignorował Polskę, nadając jednej z jednostek wojskowych imię „Bohaterów UPA". Uznał bowiem – niestety słusznie – że polski rząd potulnie idzie na pasku Niemiec, więc Kijów nie musi się nami przejmować, bo i tak – gdy zajdzie taka potrzeba – wykonamy polecenia płynące z Berlina.

Potwierdziła to niejako wiceszefowa MON Magdalena Sobkowiak-Czarnecka, która stwierdziła, że niezależnie od wszystkiego Polska będzie nadal pomagać Ukrainie. „Tego żadne wypowiedzi ukraińskie nie zmienią" – podkreśliła. W podobnym tonie wypowiadał się również wicepremier Kosiniak-Kamysz. Kijów dostał więc kolejne potwierdzenie od Warszawy, że w ogóle nie musi się liczyć z Polską.

W takiej sytuacji nie powinniśmy być chyba zaskoczeni, że Ukraina podziękowała za rakiety Niemcom. Zełenski nawet nie zająknął się o Polsce. Zamiast podziękowań usłyszeliśmy za to kolejne pogróżki od Kyryła Budanowa (szefa kancelarii Zełenskiego) oraz zapowiedzi ogłoszenia 2027 r. rokiem Romana Szuchewycza na Ukrainie (Szuchewycz był dowódcą UPA i jednym z inspiratorów rzezi wołyńskiej).

Być może problem byłby odrobinę mniejszy, gdyby Tusk nie ukrywał nieszczęsnej darowizny i gdyby – przekazując rakiety kilka miesięcy temu – zrobił to z otwartą przyłbicą, próbując uzasadnić to względami bezpieczeństwa i polską racją stanu. Zapewne nie przekonałby w ten sposób zbyt wielu Polaków, ale przynajmniej uniknąłby zarzutów o krętactwo. Byłby też w lepszej sytuacji, bo rakiety przekazano w pierwszych miesiącach tego roku, a więc jeszcze przed obecnym kryzysem w relacjach polsko-ukraińskich. W tej chwili jest już jednak za późno na jakiekolwiek tłumaczenie.

eprasa.pl 11e7e24d55

Tusk – i tak już przecież mało wiarygodny – stracił kolejne punkty. Po raz kolejny okazało się bowiem, iż rządzi nami człowiek, który w sekrecie i ze strachu przed reakcją opinii publicznej podejmuje decyzje, mogące mieć poważne konsekwencje dla bezpieczeństwa całego państwa. Komuś takiemu trudno jest zaufać.

Kombinacje Tuska w końcu się na nim zemściły. O przekazaniu rakiet Ukrainie dowiedzieliśmy się bowiem w samym apogeum konfliktu z Kijowem. Tusk musi się więc teraz zmierzyć z uzasadnionymi pretensjami Polaków, zszokowanych jego ukłonami wobec kraju, którego władze otwarcie nas lekceważą. Zwłaszcza że dzieje się to kosztem naszego bezpieczeństwa.

Rząd mówi, że przekazanie „kilku" rakiet nie uszczupli naszych zdolności obronnych. Ta argumentacja, nawet jeśli zawiera źdźbło prawdy, nikogo już jednak nie przekona. Bo przecież to sam Tusk i związane z nim media od kilku tygodni zawzięcie trąbią o rosnącym ryzyku wojny z Rosją. Jak zatem pogodzić wysyłanie rakiet na Ukrainę z rosyjskim zagrożeniem?

Paradoksalnie może w tym nie być sprzeczności, przynajmniej dla Tuska. Niemcy mogli mu przecież zagrozić, że jeśli nie dorzuci rakiet dla Ukrainy, to w razie zagrożenia nie przyjdą nam z pomocą. I Tusk, zawsze przecież skulony przed Niemcami, spełnił „prośby" Berlina w nadziei, że wzmacnia w ten sposób bezpieczeństwo Polski w tym niespokojnym czasie.

NIE TYLKO RAKIETY

Wiele wskazuje na to, że Patrioty nie były jedynym deficytowym uzbrojeniem przekazanym w ostatnim czasie Ukrainie. W internecie pojawiły się bowiem zdjęcia przedstawiające Wołodymyra Zełenskiego podczas inspekcji w jednej z baz ukraińskiej marynarki wojennej. Za wojskowymi widać fragment wyrzutni na podwoziu ciężarowym, którą zidentyfikowano jako wyrzutnię pocisków przeciwokrętowych NSM. Zdaniem niektórych ekspertów jest to broń przekazana przez Polskę. Jak się bowiem okazuje, nikt poza nami nie posiada takich wyrzutni na podwoziu samochodowym.

Jeżeli rzeczywiście widoczna na zdjęciu broń pochodzi z Polski, byłby to kolejny skandal. NSM to nowoczesne uzbrojenie, które kupowaliśmy w Norwegii od 2008 r. do obrony polskiego wybrzeża. Przekazując wyrzutnie Ukrainie, wystawiamy się na ryzyko ostrzału ze strony rosyjskich okrętów wojennych. Na razie rząd nie potwierdza ani nie dementuje tych informacji. Nie wiemy też, ile takich wyrzutni mogło zostać oddanych.

W tej sytuacji trudno ignorować podejrzenia, że rozdawanie przez rząd deficytowego uzbrojenia może mieć związek z pożyczką SAFE. Zgodnie z tym, co bez przerwy powtarzają Kosiniak-Kamysz i Magdalena Sobkowiak-Czarnecka, nasz kraj nie przekazuje na Ukrainę żadnych środków finansowych z SAFE. Nie oznacza to jednak, że nie możemy oddawać posiadanej już broni. Być może rację mają więc ci, którzy uważają, że Polska pozbywa się dzisiaj części swojego nowoczesnego uzbrojenia, wspierając Ukrainę, aby w przyszłości uzupełnić powstałe braki zakupami ze środków SAFE. W ten sposób nasza pożyczka z SAFE niejako okrężną drogą służyłaby dozbrojeniu Ukrainy (kosztem naszego czasowego rozbrojenia).

> Rząd PiS przekazywał głównie starą, posowiecką broń. Tymczasem teraz oddajemy Ukrainie najnowsze i najbardziej deficytowe uzbrojenie, którego nie da się szybko zastąpić

WIELKA BITWA KOSINIAKA-KAMYSZA

Władysław Kosiniak-Kamysz zareagował na ujawnianie niewygodnych dla rządu informacji o dostawach deficytowej broni na Ukrainę w fatalny sposób. Po kilkudniowym milczeniu w tej sprawie zapowiedział – „w porozumieniu z Donaldem Tuskiem" – odtajnienie skali dostaw broni na Ukrainę w latach 2022–2026. Następnie zorganizował konferencję, na której przedstawił prezentację z bardzo niepełnymi danymi. Na szczegółowe informacje mamy jeszcze poczekać.

Konferencja miała jeden cel. Chodziło o odbicie piłeczki i wskazanie, iż to rząd Morawieckiego najbardziej dozbrajał Ukrainę. Z przedstawionych danych wynikało, że za czasów PiS przekazaliśmy Ukrainie broń o wartości ok. 15 mld zł. „Oni dzisiaj nie chcą o tym pamiętać, że przekazywali ten sprzęt" – twierdził Kosiniak-Kamysz. Tymczasem od czasu objęcia rządu przez Tuska pomoc ta zmalała do zaledwie 1,55 mld zł, co stanowi ok. 9,4 proc. udziału wszystkich donacji na rzecz Ukrainy – podkreślił wicepremier.

Miało to ilustrować tezę, podchwytywaną m.in. przez Sławomira Mentzena, że to PiS tak naprawdę doprowadziło do rozbrojenia Polski. Jednak każdy, kto ma odrobinę rozumu i pamięci, wie doskonale, że pisowcy przekazywali Ukraińcom głównie starą, posowiecką broń. Nieliczne Kraby i ręczne wyrzutnie rakiet przeciwlotniczych były tu wyjątkiem. Dzięki polskiej pomocy Ukraina utrzymała się przy życiu, a jej żołnierze mogli natychmiast przystąpić do walki. Byli już bowiem przeszkoleni na sowieckim sprzęcie. W zamian za przekazaną broń Polska kupowała nowoczesne uzbrojenie, co pozwoliło przyspieszyć modernizację armii.

Dziś sytuacja jest zupełnie inna. Zasadnicza różnica polega na tym, że obecny rząd przekazuje Ukrainie najnowszą i najbardziej deficytową broń, której nie da się szybko zastąpić.

Przechwalając się swoją powściągliwością w pomaganiu Ukrainie, Kosiniak-Kamysz wywrócił do góry nogami dotychczasową narrację obozu rządowego, zgodnie z którą PiS jest w istocie formacją promoskiewską. Okazało się bowiem, że ta rzekomo promoskiewska formacja wielokrotnie bardziej pomogła Ukrainie w jej walce z Rosją niż obecny, jakoby antymoskiewski rząd.

Przy tej okazji Kosiniak-Kamysz, zapamiętale walcząc z pisowcami, wyrządził Polsce wymierne szkody. Dane, które przedstawił na konferencji i które potem poszły w świat, były bowiem zaniżone. Międzynarodowy efekt jego występu jest więc taki, że to Niemcy wyszły na największego – obok Ameryki – dobrodzieja Ukrainy. A my? My się w tym rankingu pomocy nie liczymy.

eprasa.pl 11e7e24d55

Sologamia, czyli triumf kultury „ja”

W świecie, w którym niemal każda sfera życia staje się elementem budowania własnej marki, nawet ślub przestaje być tym, czym był przez stulecia. Jeszcze niedawno wydawało się, że małżeństwo pozostanie symbolem relacji dwóch osób, które postanawiają wspólnie budować przyszłość. Dziś okazuje się, że nawet ten fundament można zreinterpretować. Ślub przestaje być symbolem decyzji o wspólnym życiu z drugim człowiekiem, a zbyt często staje się spektaklem, w którym partner nie jest potrzebny. Wystarczy lustro



W ostatnich dniach media społecznościowe i portale plotkarskie zdominowała szokująca wiadomość. Joanna Racewicz poinformowała, że symbolicznie poślubiła... samą siebie. Dziennikarka i prezenterka opublikowała zdjęcia i nagrania z ceremonii, podczas której wystąpiła w białej sukni, a następnie wyjaśniła, że nie był to manifest wymierzony przeciwko komukolwiek. Jak podkreślała, nie był to protest przeciwko instytucji małżeństwa, mężczyznom czy religii. Wręcz przeciwnie – był to gest skierowany wyłącznie do niej samej. „Ten ślub nie był przeciwko nikomu. Nie jest przeciwko instytucji małżeństwa, nie jest przeciwko mężczyznom, nie jest przeciwko Bogu. Jest za kimś. Za mną” – napisała.

Wyjaśnienie nie zakończyło dyskusji. W internecie natychmiast pojawiły się tysiące komentarzy. Jedni gratulowali odwagi i uznawali ceremonię za symbol samoakceptacji oraz domknięcia ważnego etapu życia. Inni pytali, czy nie jest to kolejny przykład przesuwania granic indywidualizmu, w którym nawet najbardziej osobiste przeżycia zamieniają się w publiczny spektakl.



DOROTA ŁOSIEWICZ

Nie zabrakło również głosów zwracających uwagę, że sama idea ślubu z definicji oznacza przymierze dwóch osób. W tej perspektywie organizowanie ceremonii bez drugiego człowieka staje się raczej symbolicznym performance'em niż wydarzeniem, które można porównywać z małżeństwem.

SAMOŚLUB PO TRAUMIE

Joanna Racewicz nie jest jednak pierwszą Polką, która zdecydowała się na taki krok. Znacznie wcześniej o swoim „samoślubie” opowiedziała wokalistka Anna Rusowicz, córka Ady Rusowicz i Wojciecha Kordy.

Jej historia miała jednak zupełnie inne podłoże niż medialna prowokacja czy chęć zwrócenia na siebie uwagi. Artystka otwarcie mówiła o trudnych doświadczeniach życiowych. W 2022 r. rozwiodła się z Hubertem Gasiulą. W wywiadach przyznawała, że w trakcie małżeństwa doświadczała gaslightingu – formy przemocy psychicznej polegającej na manipulowaniu rzeczywistością i podważaniu poczucia własnej wartości drugiej osoby.

21/0626/F

Rozstanie nie było jedyną traumą. Rusowicz wielokrotnie opowiadała o dramatycznym dzieciństwie. Gdy miała 8 lat, zginęła jej matka. Ojciec oddał ją na wychowanie rodzinie, przez co – jak sama mówiła – przez całe życie nosiła w sobie ogromny deficyt miłości i akceptacji.

Właśnie dlatego postanowiła zorganizować symboliczny ślub z samą sobą. Ceremonia odbyła się 29 kwietnia 2023 r., niedługo po rocznicy jej ślubu z byłym mężem. Była biała suknia uszyta specjalnie na tę okazję, wieczór panieński, przyjaciele, własnoręcznie napisana przysięga oraz sygnet z inicjałami zamiast obrączki.

W przysiędze obiecała sobie, że już nigdy nie pozwoli siebie krzywdzić i będzie wierna własnym wartościom. Jak tłumaczyła później w programie „Dzień Dobry TVN", był to element walki o siebie, symbol rozpoczęcia nowego etapu życia oraz zobowiązanie do troski o własne dobro.

Trudno nie dostrzec autentycznego cierpienia stojącego za tą decyzją. Jednocześnie rodzi się pytanie, czy tak głębokie emocje rzeczywiście wymagają odgrywania ceremonii przypominającej ślub. Czy proces leczenia ran musi być ubrany w rytuał, który przez wieki oznaczał stworzenie wspólnoty dwóch osób?

ZJAWISKO NIE OGRANICZA SIĘ DO POLSKI

Sologamia nie jest polskim wynalazkiem. Wręcz przeciwnie, największą popularność zdobyła poza Europą Środkową. Duży rozgłos zdobyła historia Laury Mesi, włoskiej trenerki fitness. Po zakończeniu 12-letniego związku postanowiła, że jeśli do 40. urodzin nie znajdzie partnera, poślubi samą siebie. Dotrzymała obietnicy. Zorganizowała wystawne wesele z udziałem kilkudziesięciu gości, tortem, druhnami i tradycyjną suknią ślubną. Nie brakowało fotografa ani weselnej oprawy. Jedynym elementem odbiegającym od klasycznego scenariusza był brak pana młodego.

Mesi tłumaczyła, że nie zamierza rezygnować z marzeń o ślubie tylko dlatego, że nie spotkała odpowiedniej osoby. Przekonywała również, że aby ktoś mógł nas pokochać, najpierw musimy pokochać samych siebie.

Podobne historie wydarzyły się także w Hiszpanii. Jedna z kobiet urządziła symboliczny ślub w dawnym, zdesakralizowanym kościele. Później rozpoczęła w mediach społecznościowych kampanię przekonującą, że kobieta bez partnera nie jest osobą gorszą ani „niepełną". Wokół tej idei zaczęła się tworzyć społeczność promująca sologamię jako nową formę wyrażania niezależności.

W przestrzeni medialnej pojawiały się również informacje o rosnącej popularności podobnych ceremonii w krajach azjatyckich. W niektórych społeczeństwach kobiety odczuwają ogromną presję dotyczącą zamążpójścia. Symboliczny ślub z samą sobą ma być sposobem pogodzenia społecznych oczekiwań z pragnieniem zachowania niezależności i rozwoju zawodowego.

REKLAMA

niedziela.pl

katolicki portal,

który niesie INFORMACJĘ I FORMACJĘ

■ ZAWSZE BIEŻĄCE WIADOMOŚCI Z ŻYCIA KOŚCIOŁA, POLSKI I ŚWIATA,
■ MULTIMEDIA ■ KULTURA I PODRÓŻE

www.niedziela.pl

Zeskanuj i sprawdź!

eprasa.pl 11e7e24d55

Choć motywacje są różne, wszystkie te historie łączy jedno – przekonanie, że rytuał tradycyjnie zarezerwowany dla dwojga ludzi można przenieść na relację człowieka z samym sobą.

MODA PRZYSZŁA Z USA

Prawdziwy rozkwit sologamii nastąpił jednak w Stanach Zjednoczonych ok. 2017 r. To właśnie wtedy media zaczęły szeroko opisywać coraz liczniejsze ceremonie „ślubów solo", a na rynku pojawiły się firmy specjalizujące się w ich organizowaniu. Jedna z nich zaczęła oferować kompletne pakiety obejmujące obrączki, scenariusze ceremonii, przysięgi oraz pamiątkowe certyfikaty. Mechanizm był prosty. Skoro psychologia od lat podkreśla znaczenie samoakceptacji, dlaczego nie uczynić z niej uroczystego rytuału?

Problem polega na tym, że pomiędzy zdrowym szacunkiem do siebie a stworzeniem całej ceremonii przypominającej ślub istnieje zasadnicza różnica.

Sologamia nie jest małżeństwem w sensie prawnym. Żaden kraj nie uznaje takiego związku za skuteczny prawnie. Nie rodzi on żadnych praw ani obowiązków. To wyłącznie symboliczna ceremonia, podczas której uczestnik składa przysięgę samemu sobie. Najczęściej deklaruje troskę o własne potrzeby, samoakceptację, rozwój osobisty oraz obietnicę, że nie pozwoli się więcej krzywdzić. Zwolennicy podkreślają, że nie chodzi o zastąpienie tradycyjnego małżeństwa, lecz zaakcentowanie, iż szczęście nie powinno zależeć od posiadania partnera.

Brzmi rozsądnie. Problem zaczyna się wtedy, gdy symbol samoakceptacji zostaje ubrany w całą oprawę ślubną. Suknia, obrączka, przysięga, świadkowie, tort, sesja zdjęciowa – wszystko to sprawia wrażenie, jakby współczesny człowiek nie potrafił już przeżywać ważnych emocji bez widowiska.

Jeszcze kilkanaście lat temu podobny proces odbywał się najczęściej podczas terapii, rekolekcji, podróży czy zwykłego dojrzewania. Dziś coraz częściej potrzebuje odpowiedniej scenografii, zdjęć w mediach społecznościowych i komentarzy internetowych.

Nie ma nic złego w dbaniu o siebie. Wręcz przeciwnie, psychologia od dawna wskazuje, że zdrowa samoocena stanowi fundament dobrych relacji z innymi ludźmi. Problem pojawia się wtedy, gdy współczesna kultura zaczyna mylić samoakceptację z nieustanną koncentracją na własnym ego.

Sologamia doskonale wpisuje się w świat, w którym najważniejszym projektem staje się własna osoba. W mediach społecznościowych nieustannie słyszymy, że trzeba „wybierać siebie", „stawiać siebie na pierwszym miejscu", „żyć dla siebie". W rozsądnych proporcjach są to cenne rady. Doprowadzone jednak do skrajności, mogą prowadzić do przekonania, że relacje z innymi ludźmi stają się jedynie dodatkiem do procesu samorealizacji.

Paradoks polega na tym, że człowiek jest istotą społeczną. Potrzebuje bliskości, przyjaźni, rodziny i wspólnoty. Żadna ceremonia nie zastąpi autentycznej relacji z drugim człowiekiem.

BANALIZACJA MAŁŻEŃSTWA

W 2022 r. zjawisko sologamii komentował ks. Miguel Ángel Ortiz z Papieskiego Uniwersytetu Świętego Krzyża w Rzymie. Odniósł się do artykułu opublikowanego w hiszpańskim dzienniku „El Mundo", opisującego kobiety zawierające symboliczne „małżeństwa" z samymi sobą.

Duchowny stwierdził, że zjawisko jest odbiciem współczesnego społeczeństwa, które z jednej strony intensywnie poszukuje szczęścia, a z drugiej coraz mocniej koncentruje się na własnych potrzebach. Według niego ślub z samym sobą stanowi banalizację instytucji małżeństwa. Przypominał, że człowiek został stworzony do kochania i bycia kochanym, a pełnię szczęścia osiąga poprzez bezinteresowny dar z siebie dla drugiego człowieka.

> Joanna Racewicz nie jest pierwszą Polką, która zdecydowała się na taki krok. Znacznie wcześniej o swoim „samoślubie" opowiedziała wokalistka Anna Rusowicz, córka Ady Rusowicz i Wojciecha Kordy

Ks. Ortiz wyraził również obawę, że popularyzacja takich ceremonii wpisuje się w proces osłabiania znaczenia małżeństwa, rodziny i trwałych więzi społecznych. W jego ocenie współczesna kultura coraz częściej zachęca do szukania wyłącznie własnego zadowolenia zamiast budowania relacji bazujących na odpowiedzialności i wzajemnym poświęceniu.

Historie Joanny Racewicz czy Anny Rusowicz pokazują, że za decyzją o samoślubie często stoją prawdziwe dramaty, samotność, rozczarowania i potrzeba odzyskania poczucia własnej wartości. Jednak czym innym jest zrozumienie ludzkich motywacji, a czym innym bezkrytyczne promowanie samego zjawiska.

Ślub od wieków był symbolem wyjścia poza własne „ja" i stworzenia trwałej wspólnoty z drugim człowiekiem. Sologamia odwraca tę logikę. W centrum pozostaje wyłącznie jednostka. W świecie coraz bardziej skupionym na indywidualizmie trudno nie postawić pytania, czy nie jest to kolejny krok w stronę kultury, która zamiast uczyć budowania więzi, zachęca do celebrowania własnej samotności.

Bo choć miłość do samego siebie jest potrzebna, nie zastąpi miłości, która rodzi się między ludźmi. A ślub, nawet najbardziej efektowny, pozostaje jedynie rytuałem. Bez drugiej osoby trudno mówić o małżeństwie – można co najwyżej mówić o bardzo kosztownym i medialnym symbolu naszych czasów.

eprasa.pl 11e7e24d55



Fot. Official White House Photographer

„Made in NATO”

Kwatera główna NATO skoordynowała ostatnio imponującą listę przedsięwzięć i transakcji zbrojeniowych, mających na celu militarne wzmocnienie całości Paktu Północnoatlantyckiego. To tzw. plan Ruttego



JAN ROKITA

Jeśli patrzeć na ubiegłotygodniowy szczyt NATO w Ankarze jako na widowisko polityczne, nie ma wątpliwości, że po raz kolejny był to teatr jednego aktora – Donalda Trumpa.

Z relacji dziennikarskich z Ankary dowiadujemy się więc w pierwszej kolejności o rzekomych zmianach nastroju przywódcy Ameryki w trakcie szczytu. Trump miał być całkiem nie w sosie podczas wtorkowej kolacji w pałacu prezydenckim, co w kuluarach szczytu przypisywano nawet przegranemu przez USA meczowi z Belgią, który zdecydował o wyeliminowaniu amerykańskiej drużyny z ćwierćfinału piłkarskich mistrzostw świata. Ponoć nadal był rozżalony i zrzędliwy w środę rano, gdy pojawił się publicznie z sekretarzem generalnym NATO Markiem Ruttem i narzekał na europejskich sojuszników za ich nielojalność względem Ameryki. Ale już w południe w dobry nastrój miało go wprawić zamknięte spotkanie 32 przywódców krajów NATO, o którym później powiedział nawet, iż „w tym pokoju panowała ogromna miłość i ogromna jedność”.

eprasa.pl 11e7e24d55

Oczywiście Trump może sobie pozwolić na okazywanie chimerycznych nastrojów europejskim przywódcom, a przypuszczalnie robi to celowo, by okazać im wyższość i sprowokować kolejne zabiegi o swoje względy. Że bywa to skuteczne, najlepiej widać po obiegających świat takich doniesieniach, jak te z późnego wtorkowego wieczora, wedle których europejscy przywódcy mieli być zaniepokojeni złym humorem Trumpa i nerwowo naradzali się, jak następnego dnia poprawić mu nastrój.

Istota rzeczy tkwi jednak w tym, że niezależnie od tego, jak Trump wykorzystuje na użytek polityki okazywanie humorów, to jego wszystkie deklaracje złożone w Ankarze – obojętne, w jakim wygłaszał je nastroju – są świadectwem jasności i konsekwencji amerykańskiej polityki wobec sojuszników z NATO.

DEKLARACJE TRUMPA

Po pierwsze, Trump nie kryje tego, że nie przejdzie do porządku dziennego nad skandaliczną nielojalnością Europejczyków okazaną w toku (wznowionej zresztą na powrót) wojny z Iranem. Pytany o sojusz amerykańsko-włoski, który jeszcze niedawno wydawał się mocną osią wewnątrz NATO, Trump przyznał, że jest rozczarowany postawą Giorgii Meloni i uważa, że „jest miła, ale popełniła błąd", robiąc problemy amerykańskim pilotom lecącym nad Iran. Tuż przed szczytem Trump, jak to Trump, zrobił sobie nawet w sieci żart na temat Meloni, publikując mema przedstawiającego uśmiechniętą od ucha do ucha panią premier z podpisem: „Restrainig order" (tak brzmi w USA sądowy zakaz zbliżania się do kogoś).

Ale na serio dostało się – i to nie bez powodu – Hiszpanii, której lewicowy premier Sánchez nie tylko wprost opowiedział się za Persami w wojnie z Ameryką, lecz także bez ogródek odrzucił wspólną decyzję NATO o podniesieniu wydatków na obronę do 2035 r. do poziomu 3,5 proc. PKB każdego z państw członkowskich, tak by sprawiedliwie osiągnąć taki sam poziom wydatków zbrojeniowych, jaki już dziś ponosi Ameryka.

Trump obwieścił, że „Hiszpania to okropny partner w NATO" i „całkiem stracona sprawa", po czym na oczach całego świata odegrał upokarzającą dla Sáncheza scenkę. Do stojącego obok swego ministra skarbu Scotta Bessenta rzekł: „Hiszpania na nic się nie zgadza i nie powinieneś się nimi przejmować. Nie chcę prowadzić z nimi żadnego handlu, jasne? Zajmij się tym natychmiast. Nawet z nimi nie rozmawiaj. To beznadziejni ludzie. To źli ludzie. […] Odetnijcie cały handel z Hiszpanią, proszę, włączając w to wizyty, OK?". Na co Bessent zareagował: „Yes, mr. president".

> Trump psioczy na sojuszników, grozi im, zapowiada sankcje, ale dlatego, aby wzmocnić Zachód i nadać kierunek zachodniej polityce obronnej, a nie po to, by Zachód osłabić

Sánchez jako jedyny lider Unii już jakiś czas temu przyjął postawę jednoznacznej konfrontacji zarówno z Ameryką, jak i z NATO, gdyż zdaje mu się, że ocali swoją władzę w przyszłorocznych wyborach, jeśli będzie płynął na fali pacyfizmu i antyamerykanizmu, szerzących się wśród Hiszpanów. Nie sposób powiedzieć, na ile Ameryka potrafi skutecznie nałożyć sankcje na Madryt, przeszkodą będzie tu wyłączność kompetencji Brukseli w materii europejskiego handlu. Ale jeśli otwarta odmowa Sáncheza uczestnictwa we wspólnych wydatkach zbrojeniowych pozostanie nieukarana, będzie to miało demoralizujący wpływ na innych europejskich sojuszników.

Po drugie, Trump przypomniał – wbijając kij w mrowisko – że Ameryka nie zamierza rezygnować z roszczenia do przejęcia kontroli nad Grenlandią. W ostatnim czasie zarówno media, jak i politycy w Europie skłonni byli uznawać, że Trump swego czasu wygłupił się ze sprawą Grenlandii, dostał po nosie, a w efekcie zrezygnował. To jeden z powszechnie przytaczanych dowodów na rzekomą humorzastość i chaotyczność amerykańskiej polityki. Rzecz jasna Ameryka nigdy nie miała i nie ma planów zajęcia Grenlandii siłą, zresztą okupowanie przez US Army wyspy Eskimosów byłoby absurdem z punktu widzenia celów USA. Trump przypomina w Ankarze, że „Grenlandia jest potrzebna Ameryce, a nie jest potrzebna Danii", gdyż realne znaczenie wyspy ma wyłącznie charakter militarny. Prezydent USA chce, aby Grenlandia stała się uzbrojonym bastionem Zachodu w Arktyce, o którą już dziś toczy się batalia mocarstw, a za jakiś czas może się okazać, że Arktyka stanie się potencjalnym teatrem każdej przyszłej wojny pomiędzy mocarstwami.

Po trzecie, Trump wykorzystał spotkanie w Ankarze, by oznajmić, iż rozejm w Iranie został zerwany z winy Teheranu, a na ataki na tankowce w cieśninie Ormuz Ameryka odpowie siłą. Jeszcze tego samego dnia wznowione zostały bombardowania Iranu. Co ważne, amerykański prezydent otrzymał tu publiczne i jednoznaczne poparcie Marka Ruttego, sekretarza generalnego NATO, co jest pewnym kłopotem dla Francuzów, Anglików, Włochów czy nawet Niemców (Hiszpania się jasno opowiedziała, więc nie ma tego już problemu), gdy idzie o stosunek do wojny, która może jeszcze potrwać długo albo nawet bardzo długo. Jest jasne, że Trump nie osiągnął swoich celów w tej wojnie i jeśli choć przez chwilę był gotów cofnąć się do stanu sprzed jej wybuchu, to bezczelność perskich ataków na tankowce przywołała go do porządku. W interesie Zachodu leży, aby skoro Ameryka zdecydowała się zacząć tę wojnę, kontynuowała ją aż do zwycięstwa. A zwycięstwem może być tylko upadek totalitarnego reżimu szyickich mułłów i utworzenie w Teheranie takiego rządu, który poniecha sojuszu z Moskwą, planów likwidacji Izraela i finansowania najgroźniejszych ośrodków islamskiego terroryzmu.

WZMOCNIĆ ZACHÓD

Tego wszystkiego – od oskarżeń o nielojalność i brak solidarności w finansowaniu obrony, poprzez Grenlandię, aż do

Autopromocja

eprasa.pl 11e7e24d55

wznowienia wojny z Iranem – europejscy przywódcy woleliby nie musieć słuchać, choć w każdej z tych spraw oczywisty wspólny interes Zachodu wyraża przywódca Ameryki, a nie kunktatorscy i ociągający się europejscy sojusznicy. Antytrumpistowskie media relacjonują zaś te klarowne i konsekwentne deklaracje amerykańskiego prezydenta jako przejawy jego „humorów", „głupoty", „chaosu", „awanturnictwa" i innych podobnych rzeczy. W tych relacjach z Ankary widać dużo złej woli i niezdolności wyjścia dziennikarskiego świata poza antytrumpistowską bańkę myślową, w której tkwią media głównego nurtu.

Komentatorzy nie potrafią jednak wytłumaczyć swoim czytelnikom jednej kluczowej kwestii. Ten sam Trump, który konsekwentnie zgłasza zastrzeżenia do polityki obronnej europejskich sojuszników, w finale szczytu w Ankarze mówi o „zjednoczeniu", które – wedle jego słów – jest „jedynym i najważniejszym słowem, które tutaj dziś pada". Ten sam Trump bez zmrużenia oka podpisuje i ogłasza deklarację przypominającą o „niezłomnym zaangażowaniu" członków Paktu, gdy idzie o ideę wspólnej obrony, wyrażoną w art. 5 traktatu waszyngtońskiego.

Gdy czyta się komentarze większości zachodnich mediów, trudno nie odnieść wrażenia, że ich autorzy oczekiwaliby raczej, by Trump zerwał szczyt, wycofał Amerykę z NATO, oświadczył, że jego prawdziwymi sojusznikami są Putin albo Xi Jinping. Ale nic z tych rzeczy się nie dzieje. Trump psioczy na sojuszników, grozi im, zapowiada sankcje, ale dlatego, aby wzmocnić Zachód i nadać kierunek zachodniej polityce obronnej, a nie po to, by Zachód osłabić. Odwrotnie niźli Hiszpania, Francja, Włochy czy nawet Wielka Brytania, gdzie lewicowy minister obrony uznał niedawno za konieczne podanie się do dymisji w proteście przeciw trwającej polityce rozbrajania i osłabiania zdolności militarnych kraju.

Ale prawdę mówiąc, za najważniejsze wydarzenie szczytu w Ankarze nie uznałbym owego środowego spotkania Rady Północnoatlantyckiej z Trumpem w roli protagonisty, oddziałującego tak mocno, że w zasadzie straciło znaczenie i nawet nie przebiło się do opinii publicznej to wszystko, co miałoby do powiedzenia pozostałych 31 przywódców państw członkowskich. Kluczowa inicjatywa, która będzie wiązana z tym szczytem, to ogłoszony dzień wcześniej, we wtorek, plan Ruttego o propagandowej nazwie „Made in NATO".

> Trump przypomniał w Ankarze, że „Grenlandia jest potrzebna Ameryce, a nie jest potrzebna Danii", gdyż realne znaczenie wyspy ma wyłącznie charakter militarny. Trump chce, aby Grenlandia stała się uzbrojonym bastionem Zachodu w Arktyce

PLAN RUTTEGO

Kwatera główna NATO skoordynowała ostatnio dość imponującą listę przedsięwzięć i transakcji zbrojeniowych, mających na celu militarne wzmocnienie całości Paktu Północnoatlantyckiego.

Z jednej strony są to duże zakupy sprzętu i technologii, głównie (choć nie wyłącznie) w firmach amerykańskich, co stoi w oczywistej sprzeczności z forsowaną przez prezydenta Macrona polityką kupowania sprzętu obronnego jedynie w fabrykach europejskich. Chodzi tu m.in. o olbrzymią liczebnie flotę dronów dalekiego zasięgu, pociski manewrujące Tomahawk, rakiety krótkiego zasięgu ATACMS czy porozumienie o serwisowaniu w Europie powszechnie brakujących rakiet Patriot, będących (jak pokazuje ostatnio wojna na Ukrainie) jedynymi skutecznymi środkami obrony powietrznej przed masowymi atakami Rosji na miasta, ludność cywilną i obiekty przemysłowe. W tym ostatnim porozumieniu bierze udział Polska wraz z Niemcami. To zresztą niejedyny przejaw rysującej się lepszej współpracy polsko-niemieckiej pośród projektów ogłoszonych w Ankarze przez Ruttego.

Drugi – obok zakupów – segment planu Ruttego dotyczy szkoleń i budowy infrastruktury. I tu właśnie – patrząc z polskiej perspektywy – Pakt ma w końcu zamiar zrobić to, co już dawno było oczywistym wymogiem czasu. Jeszcze w ciągu tego i następnego roku pięciokrotnie ma wzrosnąć liczba wyszkolonych operatorów dronów, wśród których znajdzie się znaczna liczba polskich żołnierzy. Ponadto za 27 mld euro zostanie zbudowana przez NATO rozległa sieć rurociągów paliwowych i magazynów na wschodniej flance Paktu. Najważniejszą częścią tych wspólnych inwestycji zatwierdzonych przez Radę Północnoatlantycką będzie zaś budowa 300 km nowych rurociągów – wychodzących z Niemiec i rozchodzących się na terytorium Polski aż po bazę paliwową PERN koło Bydgoszczy. To oznacza, że terytorium naszego kraju zostanie połączone z terytorium Niemiec pod względem rur i magazynów zaopatrujących w paliwo armię na wypadek wojny, a także podczas manewrów.

Trzeba przyznać, że Holender Mark Rutte to bez wątpienia europejski polityk najbardziej zasłużony dla zacieśniania więzi z Ameryką i umacniania zdolności wojskowych wschodniej flanki NATO. I to właśnie on nie przypadkiem uznał ów projekt infrastrukturalny za przesunięcie krwiobiegu paliwowego sojuszu na wschód Europy.



NOWOŚĆ!
PRENUMERATA SIECI PRZEZ InPost

Zamów na: prenumerata.sieciprawdy.pl/oferta/inpost

CO ZYSKUJESZ?
Tygodnik SIECI odbierasz **już w poniedziałek** ze swojego paczkomatu
Możesz go zmienić na inny np. na czas urlopu

eprasa.pl 11e7e24d55



Początek europeizacji

Uruchomione właśnie przez Europejczyków plany zastąpienia Amerykanów obejmują budowę systemów rakietowych dalekiego zasięgu, rozbudowę lotnictwa transportowego, floty „tankowców" powietrznych, pozyskanie szwedzkich samolotów zwiadu i rozpoznania, są również związane z przygotowaniem kadr, które mogłyby wypełnić opróżniane stanowiska



MAREK BUDZISZ

Kiedy Donald Trump wylądował w Ankarze, wydawało się, że „szczyt miłości" – bo tak w świetle planów miało wyglądać coroczne spotkanie przywódców państw NATO – będzie raczej areną kłótni i kąśliwych komentarzy. Prezydent USA po raz kolejny skrytykował bowiem państwa europejskie za brak gotowości do wsparcia amerykańskiej wojny z Iranem. Szczególnie krytyczny był wobec Hiszpanii, którą nazwał „okropnym partnerem" i „beznadziejnym przypadkiem", zapowiadając zerwanie więzi handlowych. Duńczyków zdenerwował powrotem do kwestii przynależności państwowej Grenlandii, na co premier Mette Frederiksen odpowiedziała, że armia tego kraju „będzie walczyć" w obronie „królestwa", co było czytelną odpowiedzią na uwagi Trumpa.

Jednak kilka godzin później, po spotkaniu plenarnym – jak powiedział mediom kanclerz Friedrich Merz – „w powietrzu czuć było miłość". Przemówienie Trumpa uznano za pojednawcze, Amerykanie zaś nie mieli nic przeciw podkreśleniu w przygotowanej znacznie wcześniej deklaracji końcowej fundamentalnej zasady NATO, w świetle której „atak na jednego członka jest atakiem na wszystkich". Już w drugim punkcie deklaracji Rosję określono mianem „długoterminowego zagrożenia". I zaraz potem przypomniano, że do 139 mld dol. na dodatkowe zakupy uzbrojenia, które europejscy członkowie Paktu i Kanada wydali w 2025 r., dochodzi kolejne 50 mld przeznaczone na zamówienia wojskowe i rozbudowę zdolności sektora zbrojeniowego.

Uczestniczący w szczycie Petr Pavel, czeski prezydent, powiedział „The Daily Telegraph", że „prezydent Trump podziękował wszystkim po spotkaniu i oświadczył, że był pod wielkim wrażeniem ducha panującego w sali obrad". Ponoć do tego stopnia, że miał otwarcie zapewnić w swoim wystąpieniu, że „chcemy pozostać z wami".

eprasa.pl 11e7e24d55



ZASTĄPIĆ AMERYKANÓW

Co się zmieniło w czasie tych kilku godzin? Kanclerz Merz przyznał w rozmowie z dziennikarzami, że na zmianę nastroju amerykańskiego prezydenta wpływ miało to, iż podczas szczytu osiągnął on swe główne cele polityczne i jego oczekiwania zostały „bardziej niż spełnione". Uzasadnia to postawienie pytania, z jakim planem Trump przyjechał do Ankary. Wydaje się, że chodzi o „europeizację Paktu", czyli przekazanie państwom naszego kontynentu głównych obowiązków i co za tym idzie ciężarów w zakresie bezpieczeństwa oraz dbania o równowagę strategiczną bez jednoczesnego chaotycznego wycofania się Amerykanów. Zmniejszenie ich zaangażowania w ramach modelu NATO 3.0 jest oczywiste i uzgodnione.

Niemiecka prasa odnotowała też zmianę retoryki kanclerza Merza, który twardo zapowiedział „koniec z bezkarnością Europejczyków" w zakresie zwiększania nakładów na bezpieczeństwo i uzasadniając amerykańską strategię presji, zauważył, iż „ostatni prezydenci, którzy uprzejmie nas o to prosili, spotkali się z głuchą reakcją w całej Europie". Teraz, jak się wydaje, Niemcy na ochotnika zgłosili się do roli prymusów i strażników pilnujących, by Europejczycy wydawali na zbrojenia coraz więcej. Wycofywanie się Amerykanów z naszego kontynentu – jak zaznaczył Boris Pistorius, niemiecki minister obrony – „musi być skoordynowane, aby zapobiec powstawaniu niebezpiecznych luk w zdolnościach wynikających z wycofania zasobów, których nie można szybko zastąpić. Panuje zgoda w tej sprawie i obecnie pracujemy nad jego wdrożeniem". Dodał, że konkretne dodatkowe zadania wojskowe, które podejmą Niemcy, „staną się jasne w nadchodzących miesiącach, a prawdopodobnie dopiero w nadchodzących latach".

Jeszcze przed szczytem w europejskich mediach pojawiły się doniesienia, że główne państwa naszego kontynentu uzgodniły podział obowiązków w zakresie uzupełnienia zdolności redukowanych przez Amerykanów. W czerwcu – o czym pierwszy poinformował „Der Spiegel" – sekretarz wojny Pete Hegseth zapowiedział zmniejszenie obecności amerykańskich samolotów rozpoznawczych w Europie, redukcję o jedną trzecią myśliwców bojowych czy powrót do stanu sił lądowych sprzed wojny ukraińskiej. „The Wall Street Journal" informował nawet, że pierwotne plany szły jeszcze dalej, ale po interwencji Marka Rubio, amerykańskiego sekretarza stanu, zostały zarzucone. Przynajmniej na jakiś czas, bo szef Departamentu Wojny zapowiedział półroczny „przegląd strategiczny", który może doprowadzić do kolejnych zmian.

Przed szczytem w Ankarze John Stringer, zastępca szefa dowódcy sił NATO w Europie, brytyjski pilot wojskowy, powiedział w rozmowie z telewizją Bloomberg, iż państwa naszego kontynentu uzgodniły już między sobą, kto wypełni luki powstałe w wyniku ostatnich decyzji Pentagonu.

To oznacza, że proces „europeizacji NATO" już się rozpoczął, kwestią wymagającą ustaleń jest w tej sytuacji jedynie tempo podejmowanych działań i nieznany dziś „model docelowy". Wydaje się, że w Berlinie panuje przekonanie, iż naturalnym liderem naszego kontynentu będą Niemcy, co wyjaśnia ton wypowiedzi kanclerza Merza. Tym bardziej że – jak napisali dziennikarze „The Wall Street Journal" w długim artykule, który powstał po rozmowach z dziesiątkami wiodących europejskich polityków i przywódców państwowych – wiosną tego roku Europejczycy już postanowili o budowie własnych zdolności, „europeizacji NATO" i wejściu na drogę większej niezależności od USA. W świetle tych informacji kryzys zaufania nie został przezwyciężony, a obecna sytuacja przypomina bardziej rozwodzące się małżeństwo, które postanowiło nie kłócić się publicznie, w zgodzie podzielić się obowiązkami i nadal pragmatycznie współpracować ze sobą.

KLUCZOWA ROLA NIEMIEC

Tobias Bunde, profesor międzynarodowej polityki bezpieczeństwa w Hertie School w Berlinie oraz dyrektor ds. badań i polityki Monachijskiej Konferencji Bezpieczeństwa, powiedział dziennikarzom „Die Welt", iż w procesie, który się rozpoczął, „Niemcy odgrywają kluczową rolę również z perspektywy Stanów Zjednoczonych". Jego zdaniem w europejskiej części NATO

eprasa.pl 11e7e24d55

ukształtowały się obecnie dwie grupy państw: pierwsza złożona z tych, którzy intensywnie się zbroją i dysponują rezerwami budżetowymi oraz druga – państwa europejskiego południa i zachodu – która ani nie chce rozbudowywać swych sił, ani nie ma swobody budżetowej. „To jeszcze bardziej – mówi Bunde – zwiększa odpowiedzialność Niemiec. Niemcy mają obecnie swobodę budżetową, aby zapewnić te fundusze. To jednak zmieni również równowagę sił w Europie. Za kilka lat Niemcy mogłyby wydawać na samą obronę mniej więcej tyle, co Francja i Wielka Brytania razem wzięte". Innymi słowy – luka przywództwa na kontynencie europejskim, związana z odejściem Amerykanów oraz ich koncentracją na problemach innych części świata, stanowi i wyzwanie, i szansę dla Niemiec.

Tym bardziej że – jak napisał niedawno John Deni, profesor US War College – gen. Alexus Grynkewich, dowódca sił NATO w Europie, może zostać odwołany w ostatnim roku kadencji amerykańskiego prezydenta. Na razie ze względu na obowiązywanie National Defence Authorization Act – specjalnej ustawy przyjętej przez Kongres, aby utrudnić Trumpowi swobodę działania – jest to niemożliwe, ale ten akt prawny przestaje obowiązywać z końcem 2027 r. i droga do zmian będzie otwarta. Spekulowano, że po raz pierwszy od utworzenia NATO kluczową funkcję SACEUR, czyli dowódcy sił Paktu w Europie, mógłby objąć europejski oficer, a konkretnie – gen. Carsten Breuer, odchodzący z funkcji generalnego inspektora Bundeswehry. Tak się nie stało, niemiecki generał stanął ostatecznie na czele Komitetu Wojskowego NATO, ciała bardziej politycznego niż wojskowego, ale przy okazji kolejnych ruchów kadrowych Berlin lepiej się przygotuje.

Te działania już się rozpoczęły i obejmują budowę przez państwa europejskie zdolności w tych segmentach, w których do tej pory dominują Amerykanie. Eksperci wojskowi z IISS, brytyjskiego think tanku strategicznego, obliczyli, że 6 z 23 kluczowych zdolności wojskowych Paktu „dostarczają" dziś w całości Amerykanie. Mowa o zwiadzie, w tym kosmicznym, rozpoznaniu, zdolności do precyzyjnych uderzeń i tym, co wojskowi nazywają integracją systemową, czyli umiejętności zebrania i przetworzenia terabajtów danych po to, by zbudować i dystrybuować obraz sytuacji na froncie. 10 proc. z 6,8 tys. oficerów pracujących dziś w Połączonym Dowództwie Sił NATO w Europie to Amerykanie, ale obsługują oni najważniejsze funkcje.

Uruchomione i ogłoszone właśnie przez Europejczyków plany zastąpienia Amerykanów obejmują budowę systemów rakietowych dalekiego zasięgu – za co będą odpowiadać Brytyjczycy – lotnictwa transportowego czy rozbudowy floty „tankowców" powietrznych, pozyskanie szwedzkich samolotów zwiadu i rozpoznania, są również związane z przygotowaniem kadr, które mogłyby wypełnić opróżniane stanowiska. Ten proces jest najtrudniejszy i wymaga największego wysiłku.

> Jak oceniają eksperci, luka przywództwa na kontynencie europejskim związana z odejściem Amerykanów oraz ich koncentracją na problemach innych części świata stanowi i wyzwanie, i szansę dla Niemiec

PATRIOTY NA UKRAINIE

W Ankarze obserwowaliśmy również zwrot Donalda Trumpa w kwestii Ukrainy. To też jest związane z „europeizacją" NATO, bo wspieranie Kijowa stanowi jeden z priorytetów Europy. „Właściwie nawiązaliśmy dobre relacje. Trudno w to uwierzyć, prawda? Od Gabinetu Owalnego aż do teraz" – powiedział w swoim niepodrabianym stylu Donald Trump po spotkaniu z Wołodymyrem Zełenskim. W jego trakcie miał się zgodzić na to, że Ukraina otrzyma licencję na rakiety PAC-3 do systemów Patriot. Co prawda zauważył, że „producent jeszcze o tym nie wie", ale „wszystko będzie dobrze" i Ukraińcy pod nadzorem Amerykanów szybko opanują tajniki budowy tych pocisków. Deklaracje Trumpa trzeba traktować bardziej w kategorii politycznych, bo sam proces wydawania licencji – a w tej sprawie musi się wypowiedzieć Kongres – nie będzie krótki, nie mówiąc już o budowie fabryki. Zapowiedź Trumpa związana jest z oczywistym faktem – Ukraińcy nie mają obecnie czym zwalczać rosyjskich rakiet balistycznych, za pomocą których atakowane są obiekty cywilne. W czasie ostatnich uderzeń na Kijów ze względu „na krytyczny niedobór" – jak jeszcze w maju Zełenski napisał w liście do Białego Domu i Kongresu – Ukraińcy nie zestrzelili żadnego z rosyjskich pocisków balistycznych.

Przy okazji trzeba wyjaśnić jedno z fundamentalnych nieporozumień dotyczących przekazania Ukrainie systemów rakiet przechwytujących do systemów Patriot przez Polskę. Po pierwsze, musieliśmy mieć na to zgodę Amerykanów, a po drugie, są one używane przede wszystkim do niszczenia rakiet balistycznych przeciwnika, a nam na razie nie grozi atak przy ich użyciu. Nie dlatego, że Rosja nie jest agresywna ani nie ma wrogich wobec Polski planów. Jeśli Kreml zdecyduje się na prowokację, to raczej użyje w tym celu dronów Gieran lub innych tanich środków walki. Zestrzeliwanie dronów, z których każdy jest warty kilkadziesiąt tysięcy dolarów, rakietami w cenie ok. 3 mln dol. za sztukę to absurd, tym bardziej że statystycznie trzeba użyć dwóch pocisków.

Oczywiście można się kierować zasadą „kto bogatemu zabroni", ale po incydencie z jesieni ub.r. kiedy w naszą przestrzeń powietrzną wleciało kilka rosyjskich dronów, Polska miała wystarczająco dużo czasu, by zbudować skuteczny system obrony odwołujący się do tanich rozwiązań. Czy to zrobiliśmy? Nie wiadomo, bo dyskutujemy o rakietach do Patriotów, zamiast pytać o kwestie znacznie ważniejsze dla

01/0126/F/ZAL

eprasa.pl 11e7e24d55

bezpieczeństwa Polski. Dziś raczej nie grozi nam atak rakietami balistycznymi z tego prostego powodu, że wszystko, co wyprodukują Rosjanie – a zdaniem ekspertów Instytutu Studiów nad Wojną mogą miesięcznie zbudować 60 balistycznych Iskanderow – zostaje użyte w ich kampanii powietrznego terroru, której obiektem są ukraińskie miasta.

Dlaczego Trump zmienił ton w kwestii Ukrainy? „To proste" – powiedział „The Financial Times" jeden z obecnych na szczycie NATO dyplomatów. „Donald Trump lubi zwycięzców, a Ukraina zaczęła w ostatnim czasie zwyciężać". Psychologiczne wyjaśnienie jest kuszące, ale istnieją też racjonalne powody rewizji nastawienia amerykańskiego prezydenta. Przed szczytem w Ankarze przez ponad dwie godziny rozmawiał on telefonicznie z Władimirem Putinem i ta konwersacja mogła uzmysłowić Trumpowi, że negocjacje pokojowe są opcją odległą, wojna będzie trwała, bo Kreml myśli raczej o eskalacji, a nie ustępstwach. W świetle tej interpretacji deklaracja w sprawie rakiet do systemów Patriot ma wpłynąć na długotrwałą kalkulację strategiczną Putina. Jeśli bowiem Ukraina – nad czym intensywnie pracuje – już niedługo będzie miała własne rakiety balistyczne i zacznie ich używać, atakując Moskwę i inne rosyjskie miasta, a na dodatek wzmocni swój system obrony przestrzeni powietrznej po tym, jak zacznie budować PAC-3 lub PAC-2, to sytuacja się odwróci. Rosja zostanie pozbawiona możliwości wykonywania skutecznych uderzeń odwetowych, a liczba ukraińskich ataków będzie rosła. Jak obliczyli eksperci, już w maju i czerwcu strona ukraińska 11-krotnie w porównaniu z tymi samymi miesiącami w 2025 r. zwiększyła liczbę uderzeń dalekiego zasięgu na rosyjskie cele, a to dopiero początek. Europa i Kanada już zadeklarowały kolejne 140 mld dol. na wsparcie zdolności Ukrainy przez kolejne dwa lata, a ten czas jest potrzebny zarówno po to, aby osłabiać Rosję, jak i równocześnie „europeizować" NATO. Proces już ruszył.

> Przemówienie Trumpa uznano za pojednawcze, a Amerykanie nie mieli nic przeciw podkreśleniu w przygotowanej znacznie wcześniej deklaracji końcowej fundamentalnej zasady NATO, w świetle której „atak na jednego członka jest atakiem na wszystkich"

REKLAMA

SALTUS
UBEZPIECZENIA

Dbamy o to, co się liczy.



Ubezpieczenie mieszkań i domów jednorodzinnych SALTUS – Mój DOM

Szeroki zakres ochrony, który możesz dopasować do swoich potrzeb.

Oferta dostępna w placówkach Spółdzielczych Kas oraz Banków Spółdzielczych

Informacja o charakterze reklamowym i marketingowym



Rozłam, którego się spodziewano

Święcenia czterech biskupów bez zgody papieża to kolejny krok oddalający Bractwo św. Piusa X od Stolicy Apostolskiej



GRZEGORZ GÓRNY

1 lipca nad Ecône wstał pogodny dzień. Tamtej środy mała osada we francuskojęzycznym kantonie Valais w Szwajcarii skupiła na sobie uwagę całego katolickiego świata. To właśnie tam ma swoją siedzibę Bractwo Kapłańskie św. Piusa X (FSSPX), zwane potocznie lefebrystami. Jego założycielem był abp Marcel Lefebvre, który 30 czerwca 1988 r. (razem z bp. Antônіem de Castro Mayerem) konsekrował bez mandatu papieskiego czterech biskupów. Dwa dni później Jan Paweł II zakwalifikował ten czyn jako schizmatycki, oświadczając, że sześciu hierarchów (dwóch konsekratorów i czterech konsekrowanych) zostało objętych automatyczną ekskomuniką przewidzianą przez prawo kanoniczne.

KRONIKA ZAPOWIEDZIANEJ KONSEKRACJI

Od tamtej pory minęło 38 lat, podczas których Bractwo okrzepło, gromadząc wokół siebie ok. 400 tys. wiernych z całego świata. W tym czasie najdalej idącą próbę porozumienia z FSSPX podjął Benedykt XVI, który w 2009 r. zdjął ekskomunikę z czterech żyjących wówczas uczestników nielegalnej konsekracji. Uczynił tak nie dlatego, że zaakceptował tamten akt, lecz w geście miłosierdzia. Zniesienie ekskomuniki wymaga zazwyczaj pokuty i nawrócenia, papież zrezygnował jednak z tego warunku. Chciał w ten sposób uchylić drzwi i umożliwić dialog, by rozmowy między Ecône a Watykanem o zażegnaniu podziału w Kościele nie toczyły się pod ciężarem ekskomuniki. Ostatecznie zakończyły się one fiaskiem.

Śmierć dwóch biskupów FSSPX w latach 2024–2025 spowodowała, że w Bractwie zaczęła dojrzewać myśl o kolejnych konsekracjach. Ciągłość istnienia wymagała bowiem sukcesji apostolskiej. Dlatego 2 lutego 2026 r. lefebryści ogłosili zamiar wyświęcenia kolejnych czterech biskupów. Sekretarz generalny FSSPX ks. Davide Pagliarani uzasadnił to stanem wyjątkowym (*status necessitatis*) w Kościele. Według niego zwykły katolik w przeciętnej parafii na świecie nie ma dostępu do pełni środków umożliwiających mu zbawienie.

Zapowiedź rychłej konsekracji wywołała reakcję prefekta Dykasterii Nauki Wiary kard. Víctora Fernándeza, który 12 lutego spotkał się z ks. Pagliaranim. Ich rozmowa nie przyniosła jednak żadnego rezultatu. W tej sytuacji Bractwo ogłosiło, że zapowiedziana konsekracja odbędzie się 1 lipca w Ecône.

JAK OJCIEC Z SYNEM?

29 czerwca (w uroczystość św. Piotra i św. Pawła) Leon XIV napisał list do ks. Davide'a Pagliaraniego. Treść pisma została upubliczniona dopiero następnego dnia za pośrednictwem internetu. Papież, zwracając się jak ojciec do syna, zaapelował o powstrzymanie konsekracji. Z jednej strony wyraził swoje uznanie dla Bractwa i jego członków za przywiązanie do tradycji, z drugiej ostrzegł jednak, że nielegalne wyświęcenie biskupów będzie aktem schizmatyckim,

Fot. FABRICE COFFRINI/AFP/East News

eprasa.pl 11e7e24d55

który pozbawi możliwości zgodnego z prawem, a w niektórych przypadkach nawet ważnego przyjmowania sakramentów.

Był to pierwszy osobisty sygnał wysłany przez Leona XIV do władz Bractwa. Od kiedy w sierpniu 2025 r. zwróciły się one do papieża z prośbą o audiencję, nie otrzymały odpowiedzi. List głowy Kościoła do przełożonego FSSPX dotarł w momencie, gdy przez cały poprzedni dzień w Ecône rejestrowali się już pierwsi uczestnicy uroczystości, którzy przybyli z całego świata. Celebrację wydarzenia przewidziano bowiem na cztery dni: od 29 czerwca do 2 lipca.

Jeszcze 30 czerwca ks. Pagliarani wystosował odpowiedź do Leona XIV. Napisał, że skoro papież zwraca się do niego jak ojciec do syna, to znaczy, że stosunki między Watykanem a Ecône wcale nie są zerwane. Dodał, że nie uważa konsekracji za akt wrogi wobec Rzymu. Stwierdził, że jest wręcz przeciwnie, tzn. FSSPX pragnie służyć Kościołowi poprzez „nadzwyczajne środki" jak matce, która znajduje się w potrzebie i wymaga szczególnej pomocy, nie przez wszystkich jednak jest dobrze zrozumiana. Na koniec zaapelował do dobrej woli papieża, prosząc go, by dał sobie czas na rozeznanie i wstrzymał się z decyzją o ekskomunice.

CZY MACIE MANDAT APOSTOLSKI?

1 lipca rano na alpejskiej łące w Ecône zebrało się kilkanaście tysięcy osób, a ci, którzy nie mogli tam dojechać, mieli możliwość oglądania transmisji w internecie (w kluczowym momencie celebracji obserwowało ją na kanale YouTube ok. 19 tys. widzów, w tym 3,7 tys. po polsku).

Wkrótce po rozpoczęciu ceremonii na horyzoncie zaczęły zbierać się ciemne chmury, a niebo co chwila przecinały błyskawice. Wszyscy mieli jednak nadzieję, że burza przejdzie bokiem. Na początku, po procesyjnym wejściu i oddaniu hołdu ołtarzowi, zgodnie z obrzędem powinno nastąpić odczytanie mandatu apostolskiego, czyli zgody papieża. Gdy padło zadane w języku łacińskim pytanie: *Habetis mandatum apostolicum?* („Czy macie mandat apostolski?"), nie było twierdzącej odpowiedzi. Zamiast tego doszło do zmiany rytu. Odczytano bowiem z pergaminu, który przyniesiono owinięty czerwoną wstążką, wyjaśnienie ks. Pagliaraniego. Z formalnego punktu widzenia było pozbawione wartości kanonicznej, a jego treść sprowadzała się do wytłumaczenia, dlaczego dochodzi do wspomnianej konsekracji.

Przełożony FSSPX argumentował, że Kościół znajduje się w wyjątkowej sytuacji, ponieważ jego władze od czasu Soboru Watykańskiego II wyrażają postawę sprzeczną z wiarą i działają wbrew tradycji i Magisterium, pozostając głuche na prawdę. W tych okolicznościach – kontynuował – świętym obowiązkiem Bractwa jest konsekrowanie nowych biskupów, by zapewnić rzeszy wiernych dostęp do sakramentów. Dodał, że nie ma potrzeby obawiać się ekskomuniki ze strony Watykanu, ponieważ „jakakolwiek kara i cenzura są bezwartościowe".

W EPICENTRUM BURZY

Podczas ceremonii dwaj biskupi, których konsekrował w 1988 r. abp Marcel Lefebvre, wyświęcili czterech nowych biskupów. Wśród nich znalazło się dwóch Francuzów, Szwajcar i Amerykanin. Cała czwórka, przyjmując święcenia wbrew woli papieża, złożyła przysięgę na wierność Leonowi XIV, obiecując obronę Stolicy Apostolskiej oraz walkę z heretykami i schizmatykami, którzy sprzeciwiają się Ojcu Świętemu. Podczas konsekracji każdy z nich przyrzekał, że pragnie okazywać we wszystkim posłuszeństwo Leonowi XIV jako wikariuszowi i następcy św. Piotra Apostoła.

W momencie, gdy czterech świeżo wyświęconych biskupów przyjmowało komunię, rozległ się potężny grzmot i lunęła ulewa. Duchowni byli chronieni przed deszczem, ponieważ ołtarz znajdował się pod namiotem, w który głośno uderzały krople. Wierni stojący na zewnątrz mimo rozłożonych parasoli zostali jednak przemoczeni. Próbowano rozdawać komunię uczestnikom mszy, ale pod wpływem szalejącego żywiołu musiano z tego zrezygnować. Któryś z księży oznajmił przez mikrofon: „Nie są spełnione warunki konieczne do udzielania komunii świętej".

Organizatorzy nie chcieli pozbawiać ludzi Eucharystii, więc postanowili przeczekać ulewę, odmawiając w tym czasie modlitwy. Duchowni pod namiotem uklękli i zaczęli wyśpiewywać kolejne części różańca. Deszcz i grzmoty jednak nie ustawały, a nawet się nasiliły. Gdy odmawiano trzecią tajemnicę różańca w intencji nowo wyświęconych biskupów, wiatr zdmuchnął kilka świec na bocznym ołtarzu, przy którym odprawiali swoje obrzędy. Dopiero po wyśpiewaniu piątej tajemnicy, którą ofiarowano w intencji papieża, deszcz ustąpił. Nad łąką unosiła się lekka mżawka, gdy udzielono komunii wiernym. Mijała piąta godzina od rozpoczęcia uroczystości.

ODCZYTAĆ ZNAKI CZASÓW

Przebieg uroczystości w Ecône został odebrany przez wielu obserwatorów jako znak z niebios. Jedni twierdzili, że gwałtowną ulewę, grzmoty i błyskawice w takim momencie należy odczytywać jako wyraz braku Bożego błogosławieństwa dla owego wydarzenia. Do rangi symbolu urosły słowa: „Nie są spełnione warunki konieczne do udzielania komunii świętej". Wielu raziła sprzeczność między dokonywanymi czynami a wypowiadanymi słowami na temat posłuszeństwa i wierności papieżowi. Zwracano też uwagę, że najwierniejsi strażnicy formy, litery i niezmienności obrządku dokonali samozwańczej zmiany rytu, odczytując list swojego przełożonego, zamiast udzielić przewidzianej przez prawo odpowiedzi.

Inni te same znaki odbierali odwrotnie. Palące z samego rana słońce i późniejszą burzę traktowali jako symbol ciężkich doświadczeń, przez które musi przejść Bractwo. Nikt z wiernych nie przestraszył się szalejących żywiołów, wszyscy wytrwali do końca, aż znów się rozpogodziło. Piorun, który rozdarł niebo w momencie przeistoczenia, przypomniał im rozdarcie zasłony w świątyni jerozolimskiej, gdy Jezus oddawał ducha na krzyżu. To jeszcze bardziej utwierdziło ich w trafności dokonanego wyboru.

Za dwoma sposobami odczytywania znaków stoją dwa różne stanowiska. Święcenia w Ecône nie zbliżyły ich do siebie.

eprasa.pl 11e7e24d55

Magyar jest agresywny, autorytarny



Magyar implementuje plan Tuska. Tak to nazywamy na Węgrzech. Chodzi o kryminalizację opozycji, zatrzymywanie ważnych przeciwników politycznych, nakręcanie negatywnych emocji oraz próby uniemożliwiania jakiegokolwiek sprzeciwu – podkreśla w rozmowie z Aleksandrą Rybińską były węgierski minister do spraw europejskich, poseł oraz wiceprzewodniczący Fideszu ***János Bóka***

Gdy Péter Magyar i jego partia TISZA wygrali w kwietniu wybory parlamentarne, premier Donald Tusk mówił o nadziei dla demokracji w Europie. O nowych, lepszych Węgrzech bez Orbána. Rzeczywistość jest chyba jednak nieco inna.

János Bóka: Zgadza się. Odkąd TISZA doszła do władzy, zaczęła rozmontowywać porządek konstytucyjny. Oni próbują przejąć państwo. Całe państwo. Usuwają wszystkich urzędników, których nie mianowali. Dotyczy to zarówno prezydenta, jak i przewodniczącego Trybunału Konstytucyjnego. Chcą, by podali się do dymisji, a jeśli tego nie zrobią, usuną ich ze stanowisk za pomocą legislacji. Na dodatek usiłują zdyskredytować opozycję i uniemożliwić jej udział w przyszłych wyborach. Urząd premiera będzie można pełnić już tylko przez dwie kadencje – by Viktor Orbán już nigdy więcej nie mógł kierować rządem. Uchwalili obniżenie wynagrodzeń posłów i ministrów oraz zaproponowali ograniczenie kadencji członków parlamentu do maksymalnie 12 lat. Tym samym wysyłają sygnał do Węgrów, że mogą robić, co chcą. Ten sygnał powoli dociera do ludzi.

Ograniczenie kadencji członków parlamentu jest czymś niesłychanym w demokratycznym kraju. Tymczasem reakcji Unii Europejskiej, tak chętnie mówiącej o praworządności, brak. Przeciwnie, Bruksela wydaje się wręcz zachęcać Magyara do działania, obiecując odblokowanie ok. 17 mld euro z funduszy UE zamrożonych za rządów Fideszu.

Ograniczenie kadencji posłów jest rzeczą niespotykaną w Europie. Jest także sprzeczne z wieloma międzynarodowymi konwencjami, których sygnatariuszami są państwa UE, w tym Międzynarodowego Paktu Praw Obywatelskich i Politycznych, który gwarantuje prawo do startowania w wyborach bez dyskryminacji i nieuzasadnionych ograniczeń. Próbowaliśmy podnieść ten problem w Komisji Europejskiej, a także w instytucjach Rady Europy, w tym Komisji Weneckiej, ale ich reakcja była chłodna. Uważam, że działania Magyara są nie tylko tolerowane, lecz także wynagradzane. Chodzi oczywiście o fundusze UE, których on zresztą używa jako uzasadnienia do przejęcia państwa.

Czy planowana przez nowego premiera Węgier 17. poprawka do ustawy zasadniczej nie doprowadzi do kryzysu konstytucyjnego? Prezydent Tamás Sulyok ma zostać usunięty z urzędu siłą i otwarcie nazywa to bezprawiem.

Ten kryzys konstytucyjny już trwa. Prezydent ma zostać usunięty z urzędu za pomocą poprawki do konstytucji szytej dla niego. Jest to sprzeczne z zasadami wpisanymi do konstytucji, dotyczącymi sposobów usunięcia prezydenta z urzędu. Jeśli parlament może coś takiego przegłosować, to może zrobić w zasadzie wszystko. Moim zdaniem oznacza to koniec jakichkolwiek zasad praworządności na Węgrzech.

Czy to oznacza, że Magyar dąży do ustanowienia czegoś w rodzaju autokracji? Obserwując go, jego

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 11e7e24d55

wystąpienia w parlamencie, można odnieść wrażenie, że chełpi się swoją władzą. Swój pakiet reform nazwał „oczyszczającym ogniem", jakby powierzono mu misję wręcz biblijną.

Jest to zdecydowanie one man show, a on sam jest agresywny, wręcz autorytarny. Uważam, że przejmując wszystkie instytucje, wcale nie dąży do przywrócenia praworządności, tylko do opanowania węgierskiego państwa do własnych celów. Jego charakter jako polityka oraz sposób, w jaki kieruje rządem i własną partią, źle wróżą przyszłości kraju.

9 lipca przed pałacem prezydenckim w Budapeszcie odbył się protest organizowany przez Fidesz przeciwko rządom Magyara. Liczy pan na sprzeciw Węgrów? Na to, że w końcu się obudzą i przeciwstawią zmianom? A może są tak zmęczeni po 16 latach władzy Fideszu, że zaakceptują wszystko, co wymyśli nowy rząd?

Nasze możliwości stawiania oporu są obecnie bardzo ograniczone. Nie da się też ukryć, że większość Węgrów nie patrzy na to, co się dzieje, tak jak my. Obecny rząd cieszy się wysokim poparciem w sondażach. Jednocześnie uważam, że musimy dalej protestować, by pokazać, że TISZA rozmontowuje porządek konstytucyjny. Jesteśmy przekonani, że ludzie w końcu zrozumieją, jak działa autokracja, że to, co się dzieje, ma wpływ na ich codzienne życie.

Równolegle z nowelizacją konstytucji ma powstać Narodowy Urząd Ochrony i Odzyskiwania Majątku (NVVH) z rozszerzonymi uprawnieniami śledczymi, mający badać afery korupcyjne z ostatnich dwóch dekad. Magyar otwarcie nazywa Fidesz mafią i mówi, że ścigając jego polityków, spełnia wolę ludu.

Moim zdaniem premier buduje struktury, których będzie mógł używać w przyszłości jako czegoś w rodzaju policji politycznej oraz narzędzia nacisku wobec politycznych oponentów oraz podmiotów gospodarczych, których chce się pozbyć. W tym celu stwarza nową instytucję wyposażoną w nigdy wcześniej niewidziane uprawnienia. Uważa bowiem, że istniejące narzędzia nie wystarczają do osiągnięcia jego celów. Gdyby tym celem było zwalczanie korupcji, mógłby upoważnić do tego policję i prokuraturę. Poza tym ma dwie trzecie mandatów w parlamencie, może przeprowadzić dowolne zmiany w legislacji. Gdyby rzeczywiście o to chodziło. Ale tak nie jest. On chce stworzyć instytucję, której będzie mógł używać do wywierania politycznej presji i szantażu. Bez jakiegokolwiek nadzoru ze strony systemu sprawiedliwości oraz zawartych w trójpodziale władzy mechanizmów kontroli i równowagi.

Wewnętrzne zmiany na Węgrzech to jedno. Magyar zdaje się także uginać przed KE, jeśli chodzi o politykę migracyjną. Ogólnie można odnieść wrażenie, że zrobi wszystko, by otrzymać zamrożone fundusze unijne.

Moim zdaniem Magyar po prostu zaakceptował unijny szantaż, czyli używanie środków UE przez Brukselę do wywierania politycznej presji na Węgry. Tym samym znalazł się na jednej linii z europejskim mainstreamem, także jeśli chodzi o migrację. Oczekuję, że wprowadzi ostatecznie pakt migracyjny. Stanie się to stopniowo, w jakimś późniejszym terminie, ale będzie musiał to zrobić. TISZA jest bowiem członkiem Europejskiej Partii Ludowej w Parlamencie Europejskim, a więc dąży do tego, by zostać częścią głównego europejskiego nurtu oraz otrzymać zamrożone unijne fundusze. Wiadomo przecież, że pakt migracyjny jest jedną z flagowych polityk UE.

Jak widzi pan przyszłość Fideszu? Magyar otwarcie nazywa was przestępcami – zresztą podobnie czyniono w Polsce wobec PiS po tym, jak została zawiązana koalicja 13 grudnia. Spodziewa się pan aresztowań polityków opozycji?

Widzę tu więcej niż podobieństwo z sytuacją w Polsce. Moim zdaniem Magyar implementuje plan Tuska. Tak nazywamy to na Węgrzech: plan Tuska, czyli kryminalizacja opozycji, zatrzymywanie ważnych przeciwników politycznych, nakręcanie negatywnych emocji oraz prób uniemożliwienia jakiegokolwiek sprzeciwu. Izolowanie opozycji – w sensie politycznym i prawnym. Jesteśmy na to przygotowani. Moim zdaniem Magyar szykuje nam ten sam scenariusz. Spodziewam się podobnych działań na Węgrzech. Jednocześnie uważam, że nasza konserwatywna społeczność polityczna jak najbardziej ma przyszłość. I będzie trwała w polityce. Jest to najsilniejsza i najbardziej spójna społeczność polityczna na Węgrzech. W przeciwieństwie do Magyara i TISZY, którzy bazują na różnorodnych grupach podzielonych i niespójnych. Naszym zadaniem teraz, po porażce wyborczej, jest uczynienie z Fideszu znów wiarygodnej politycznej alternatywy dla obecnych rządów.

Do tego będą potrzebne media. Tymczasem Magyar – być może wzorem Tuska, jak pan mówi – przejął już media publiczne. Na ekranach pojawiły się przeprosiny za „kłamstwa przez długie lata".

Niestety to się rzeczywiście stało. Parlament przyjął nowelizację ustawy medialnej. Na tej podstawie rządowi komisarze przejęli zarządzanie publicznymi mediami, w tym kanałem informacyjnym M1. Całkowita restrukturyzacja mediów publicznych jest w toku, dziennikarze są zwalniani z pracy.

Mimo podobieństw do Polski zmiany na Węgrzech wydają się bardziej radykalne. W Polsce nie zdecydowano się choćby na niezaprzysiężenie prezydenta Karola Nawrockiego, a taki pomysł był rozważany. Czy są szanse na to, że Magyar także się zreflektuje?

Nie sądzę, by miał się cofnąć czy zwolnić. Przeciwnie, będzie próbował usunąć tylu urzędników, ilu się da, przejąć tyle instytucji, ile się da oraz skompromitować polityczną opozycję, na ile to będzie możliwe. Ma poparcie unijnych instytucji i absolutną większość. Nie istnieje nic, co mogłoby go powstrzymać ani skłonić do samoograniczenia. Będzie więc kontynuował demontaż państwa, a być może nawet przyspieszy.

eprasa.pl 11e7e24d55

Szykujmy trybunał. Osądźmy ukraińskie zbrodnie II wojny światowej

Wyczerpały się wszelkie środki dyplomatycznej perswazji. Nie zdołamy przekonać dzisiejszych władców Ukrainy, by nie gloryfikowali ukraińskich zbrodniarzy odpowiedzialnych za ludobójstwo Polaków. Czas na międzynarodowy trybunał, który osądzi zbrodnie UPA i ukraińskich formacji działających po stronie nazistowskich Niemiec. Przywróćmy sprawiedliwą pamięć o ofiarach, oddajmy im cześć, a zbrodniarzy skażmy na wieczną hańbę



DARIUSZ MATUSZAK

Ukraińskie elity z prezydentem Wołodymyrem Zełenskim na czele mają w sobie ten gen sowieckiej, ruskiej mentalności, która każe się płaszczyć, gdy jesteś słaby i wbija w pychę, gdy tylko poczujesz nawet złudną siłę. Z taką nikczemną butą Zełenski i jego dwór reagują na prośby i perswazje, by uszanować pamięć naszych ofiar. Ukraińskie elity płaszczą się teraz przed Niemcami i Francuzami, a jednocześnie, demonstrując sowiecką pychę, uwzięły się, by do panteonu swych bohaterów wprowadzać najbardziej czarne postacie ze swej historii.

Nikczemny gest, by odesłać kurierem najwyższe polskie odznaczenie – to, które przyjął w imieniu narodu ukraińskiego, a teraz w imieniu narodu ukraińskiego zhańbił – było początkiem antypolskiej histerii. Teraz mamy do czynienia ze zorganizowaną akcją wymierzoną w Polskę. Ukraina buduje swą tożsamość na wrogości wobec Rosji i wobec Polski. Szef kancelarii prezydenta Ukrainy gen. Kyryło Budanow posunął się nawet do porównywania Polski z Rosją.

ŚWIAT USŁYSZAŁ

Akcja Zełenskiego wywołała jednak efekt, którego nie przewidział – świat dowiedział się o zbrodniach Ukraińców na Wołyniu. Mówią o nich media izraelskie, amerykańskie, francuskie, włoskie i wiele innych.

Bardzo ostro zareagowali politycy naszego regionu. Premier Słowacji Robert Fico wezwał do przerwania współpracy z Kijowem aż do zaprzestania gloryfikacji UPA i OUN. Obie formacje są na Słowacji – tak jak w Polsce – uznawane za zbrodnicze. Tomio Okamura, przewodniczący Izby Poselskiej czeskiego parlamentu, komentował: „Polacy mają dość tego, że państwo ukraińskie oficjalnie przyznaje się do kolaborantów, którzy mordowali Czechów, Polaków i Żydów. Odmawiamy finansowania Ukrainy [...]. Odmawiamy, by takie państwo wstąpiło do UE i NATO!”.

Politycy Europy Zachodniej, którzy sprawują władzę, zareagowali jak Piłat, ale ci, którzy aspirują do niej i mogą ją zdobyć, byli i są bardzo krytyczni wobec Ukrainy. Nigel Farage, przewodniczący Reform UK, najpopularniejszej partii brytyjskiej, komentował: „Polska całkowicie słusznie odebrała Zełenskiemu Orła Białego. Żaden cywilizowany kraj nie może nagradzać kogoś, kto honoruje morderców swoich obywateli. Dlaczego Brytyjczycy mają wysyłać miliardy funtów do kraju, którego lider czci bandytów odpowiedzialnych za jedno z najbrutalniejszych ludobójstw II wojny światowej?”. Jordan Bardella, lider prowadzącego w sondażach francuskiego Zjednoczenia Narodowego: „Zełenski pokazuje prawdziwe oblicze. Zamiast skupić się na wojnie z Rosją, czci morderców Polaków. Francja nie powinna bezkrytycznie wspierać takiego kraju”. Alice Weidel, liderka AfD: „Niemiecki rząd wspiera reżim, który czci nazistowskich kolaborantów i ludobójców Polaków. Wołyń to ludobójstwo – kropka. Czas skończyć z bezwarunkowym wsparciem dla Kijowa”.

ZRÓBMY SĄD

Wykorzystajmy to. Zorganizujmy międzynarodową konferencję o zbrodniach i kolaboracji z nazistowskimi Niemcami. Niech ma ona formę sądu. Zorganizujmy trybunał z prokuratorami, obrońcami, sędziami, który osądzi zbrodnie UPA i ukraińskich formacji

walczących po stronie nazistowskich Niemiec. Osądźmy za Wołyń, dławienie powstania warszawskiego, służbę w niemieckich obozach zagłady. Zaprośmy do uczestnictwa Izrael, niech upomni się o pamięć po Żydach zamordowanych na Ukrainie. Holokaust na Wschodzie pozostaje trochę w cieniu tego, co zdarzyło się w niemieckich obozach śmierci na terenie okupowanej Polski. Do nich zwożono Żydów z Europy Zachodniej, więc pamięć o tych ofiarach jest silniejsza niż o biednych mieszkańcach żydowskich sztetli z Europy Wschodniej.

Zaprośmy Węgrów, których dwie stacjonujące na zapleczu frontu dywizje broniły Polaków przed oszalałymi ukraińskimi zbrodniarzami. Zaprośmy Czechów, których osadnicy chronili Żydów, ale padli też ofiarą UPA i innych ukraińskich formacji. Zaprośmy Ormian, Greków, Słowaków – narody, których przedstawiciele ginęli na kresach II Rzeczypospolitej, na sowieckiej Ukrainie czy Zakarpaciu. Ukraińcy chełpią się tym, że pomniki ich zbrodniarzy, jak Szewczuka, stoją nawet w Ameryce. Czas, by dowiedziała się o tym Polonia, pora, by dowiedzieli się amerykańscy Żydzi. Może Niemcy będą klaskać i mlaskać z zadowolenia, że mogą podzielić się rachunkami za swoje zbrodnie.

Tysięczne artykuły, książki, filmy, konferencje historyków nic nie zdziałają. Zbrodnie trzeba osądzić i wymierzyć karę, choćby symboliczną, ale najwyższą z możliwych i skazać zbrodniarzy na wieczną hańbę. Inaczej zawsze będziemy słyszeć brednie o prawie do własnej historii, wrażliwości, o skomplikowanych dziejach.

Wiem, że w Polsce czas jest niesprzyjający, iż rząd Donalda Tuska będzie przeciwnikiem osądzenia ukraińskich zbrodni. Rządzi nami formacja, która w sporze pomiędzy Polską a obcymi – Niemcami, Ukrainą, UE – zawsze staje po stronie obcych. To nie znaczy, że należy się poddawać. Za rok tej ekipy może nie być. Jest prezydent RP, IPN, są uczelnie, media, organizacje obywatelskie, związki kombatanckie – setki instytucji, które razem mogą ponieść ciężar organizowania trybunału. Być może sama perspektywa jego ustanowienia otrzeźwi Ukraińców, choć szczerze w to wątpię. Jednocześnie nie można dać satysfakcji reżimowi Putina. Dlatego równolegle trybunał powinien osądzić sowieckie i rosyjskie zbrodnie z II wojny światowej.


POLITICO

War in Iran Energy crisis War in Ukraine Newsletters Podcasts Poll of Polls Policy news Events

NEWS › POLITICS

Polish president strips Zelenskyy of top honor in dispute over World War II unit

Karol Nawrocki's move puts an intense strain on one of the most important European alliances in the war against Russia.

LISTEN COPY LINK

Ukrainian President Volodymyr Zelenskyy, left, stands beside Poland's President Karol Nawrocki in Warsaw on Dec. 19, 2025 | Wojtek Radwanski/AFP via Getty Images

Ukraińcy wciąż powtarzają, że domagając się uznania zbrodni, Polacy zapominają o skrwawionej Ukrainie, broniącej swej niepodległości. Nie, nie zapominamy. Te argumenty przyjmowaliśmy cztery, a nawet dwa lata temu, ale gdy teraz Ukraińcy wbili się w butę i z pogardą odnoszą się do naszej pamięci i bólu, odrzucamy je całkowicie. Ruskie bomby jakoś nie przeszkadzają w budowaniu panteonu dla zbrodniarzy, tylko w uczczeniu ich ofiar. Powtarzają też, że nie będziemy im wybierać bohaterów, pisać im historii. Niestety, historia UPA jest wspólną historią Polski i Ukrainy. W niej są nasze ofiary i ich zbrodniarze.

PYCHA ZEŁENSKIEGO

Ta rana jątrzyła się od dawna, ale teraz przez Zełenskiego wszystko zatruwa. Jemu odbiło – w sensie klinicznym. On nie panuje nad sobą. Może to efekt sodówy, która wybiła pod ciemieniem od pławienia się w uzasadnionej skądinąd chwale obrońcy narodu, ale jego wyczyny stanowią już zagrożenie dla samej Ukrainy. Zełenski zdołał się pokłócić ze wszystkimi liderami sąsiednich państw i przywódcą mocarstwa – Donaldem Trumpem. Viktorowi Orbánowi, kiedy ten był premierem Węgier, groził zamachem. Teraz grozi atakiem Białorusi. Ta wspiera reżim Putina, być może dała nawet *casus belli* – powód do wypowiedzenia jej wojny, ale trzeba być szaleńcem, by grozić otwarciem nowego frontu i rzuceniem się na sąsiada, który może wystawić 350-tysięczną armię.

Karmiony pochlebstwami Zełenski uwierzył, że jest największym graczem w Europie. Z próżności, ze zwykłej naiwności uznał, że wystarczą mu Berlin, Paryż, Bruksela i Londyn. Swe rojenia opiera na układach z ludźmi, którzy za chwilę mogą nic nie znaczyć. Starmera już nie ma, Macron dogorywa, poparcie dla Merza szoruje o dno. Zwycięstwo Zjednoczenia Narodowego, rosnące w siłę AfD mogą pozbawić ukraińskie elity i oligarchów unijnych pieniędzy i odwrócić politykę Europy wobec Ukrainy. Na horyzoncie wybory w Polsce. Co zrobi Zełenski, kiedy również Tusk powędruje w siną dal?

To prawdopodobna przyszłość, a dziś nędzna teraźniejszość. Niedobrze mi się robi, jak czytam wpisy polskiego premiera, słucham jego wystąpień, w których ustawia się w roli zewnętrznego arbitra pomiędzy dwoma „pokłóconymi" prezydentami. „Mogę tylko zwrócić się do wszystkich, bez wyjątku, a szczególnie do tych najbardziej grymaszących ministrów u prezydenta Nawrockiego, żeby ucichli. To szkodzi Polsce, jeżeli będą się wykłócać jak dzieciaki w piaskownicy, czyja jest łopatka. To jest głupie, ale też szkodliwe" – mówił na konferencji w Brukseli. Nikczemne słowa. Walka o cześć dla ofiar, o pamięć, o miejsce spoczynku zostaje sprowadzona do kłótni o łopatkę.

I najważniejsza rzecz. To nie jest sprawa przeszłości, a przyszłości. Naród, który czci zbrodniarzy, ludobójców jak Lenin, którego truchło jest wystawione dla pielgrzymów na najsłynniejszym placu Rosji, wychowuje kolejne pokolenie morderców – jak Putin.

eprasa.pl 11e7e24d55

Czip wyczuł włos

Za kilka dni poznamy mistrza świata w piłce nożnej – ale czy prawdziwego? Może gdyby nie oszustwo, byłaby nim Chorwacja?



MACIEJ PAWLICKI



Rozpacz Chorwatów

Ten skandal przewyższył inne w emocjach, wydarzył się w ostatniej minucie i odebrał Chorwatom możliwość dalszej walki. Portugalia awansowała, by w kolejnym meczu odpaść. I mimo że to nie Portugalczycy skrzywdzili Chorwatów, tylko sędziowie, kac pozostał i chyba mniej było żałujących, że Ronaldo jedzie do domu.

Powyższy tytuł brzmi absurdalnie, bo sytuacja jest absurdalna. Piłka przetoczyła się po portugalskim obrońcy i trafiła do chorwackiego napastnika, który strzelił gola. Po chwili sędzia anulował bramkę i zakończył mecz. Dlatego że – jak dowiedzieli się zdumieni widzowie – elektroniczny czip w piłce wyczuł, że dotknął jej głową Chorwat Matanović. Tym samym – uznał sędzia – był spalony.

Sytuację widziało kilkaset kamer. Żadna nie umiała pokazać chwili, w której głowa Matanovicia dotyka piłki, żadna nie pokazała, że piłka tak „podana" zmienia tor spadania. Gdy wreszcie odnaleziono najbardziej precyzyjne wideo, okazało się, że kosmyk włosów Matanovicia musnął piłkę i choć jego głowa była od niej 5 cm, czip zareagował sygnałem. Przepisy FIFA stanowią, że dotknięcie włosami nie oznacza spalonego. Dodatkowo ułamek sekundy potem piłkę próbował wybić głową portugalski obrońca Veiga, co zgodnie z przepisami FIFA także wyklucza spalonego. Bramka była prawidłowa. Chorwacja wspaniałą grą wywalczyła prawo do dalszej walki, może do mistrzostwa świata, ale czip poczuł włos i wywalił Chorwację w kosmos. U Chorwatów rozpacz i wściekłość z powodu bezsilności.

Złośliwi mówią, że FIFA chce, by niektórzy grali jak najdłużej, a Ronaldo był wśród nich. Kontrowersje wzbudziło także sędziowanie meczu Argentyny z Egiptem. Długo wydawało się, że do domu pojedzie drugi z bogów futbolu, Leo Messi, czego oczywiście FIFA bardzo nie chciała (ja też nie). Francuski sędzia nie uznał pięknej bramki dla Egiptu, gdyż VAR zauważył faul 100 m wcześniej, a potem uznał bramkę Argentyny w rzekomo podobnej sytuacji. Trener oskarżył sędziego o rasizm, Egipt złożył protest. W tej sprawie zgadzam się jednak z opinią Toni'ego Kroosa: „Powrót Argentyny opierał się na ich intensywności, jakości i motywacji. Walczyli do samego końca, podczas gdy Egipt nie zdołał utrzymać poziomu". Przede wszystkim Messi pokazał swój geniusz.

RĘKA BOGA

Piszę te słowa przed ćwierćfinałami, może w ostatnich ośmiu meczach kontrowersji będzie jeszcze więcej. Pomyłki i niesprawiedliwe werdykty zdarzają się w sporcie od zawsze. Najgłośniej było o „ręce Boga", gdy Diego Armando Maradona tak właśnie tłumaczył bramkę, którą pięścią strzelił Anglikom w ćwierćfinale mistrzostw świata

eprasa.pl 11e7e24d55

w 1986 r. Pięść była koło głowy, tunezyjski sędzia jej nie zauważył, bramkę uznał. Argentyna wygrała 2:1, została mistrzem świata, a Maradona – królem i bóstwem. Wszakże z tą jedną skazą. Wypowiadał się o niej mętnie i dopiero 19 lat później wprost wyznał, że strzelił gola własną, a nie Boską, ręką.

Nie wiem, czy ośmielony sukcesem Maradony polski napastnik Jan Furtok w 1993 r., gdy Polacy męczyli się okropnie, nie mogąc strzelić gola San Marino, śmiało wyszedł do dośrodkowania Romana Koseckiego i machnął łapą, jakby zbijał piłkę w siatkówce. Polska wygrała 1:0, poza szkockim sędzią chyba wszyscy widzieli wała, ale woleli wygrać, niż nie wygrać. Po latach Furtok wyznał: „Specjalnie tego nie zrobiłem. To był taki odruch, bo byłem wkurzony tym, że ciągle jest 0:0, presja rośnie, a my ciągle nie strzelamy bramki". Polska i tak odpadła, kac pozostał.

Jeszcze oczywistszym skandalem było nieuznanie bramki Franka Lamparda w meczu Niemcy–Anglia w jednej ósmej finału mistrzostw w 2010 r., gdy piłka – co było widać na natychmiastowej powtórce wideo – uderzyła w trawę pół metra za linią bramkową. „Nawet Stevie Wonder widział, że piłka była w bramce", tylko sędziowie tego nie dostrzegli. Gol Lamparda dałby Anglikom wyrównanie, ale nie dał i wygrali Niemcy.

WIDEOASYSTENT

By uniknąć takich wtop, kilka lat później – głównie pod naciskiem stacji telewizyjnych, którym groziły straty – wprowadzono technologię Goal Line i VAR, czyli Video Assistant Referee. A więc asystent. Nie najwyższy sędzia, nieomylna wyrocznia, tylko asystent. Ten, który ma asystować, pomagać, a nie podejmować decyzje.

Od kiedy wprowadzono VAR, w futbolu nastały nowe czasy. Efektem jest spadek emocji, gdyż z bramek cieszyć się nie wolno, trzeba czekać, co jego ekscelencja VAR majestatycznie orzeknie. O tym, jak bardzo to boli, przekonał się Robert Lewandowski, gdy strzelił dla Barcelony piękną bramkę w meczu przeciw Realowi Sociedad, ale po wybuchu radości Barcelończyków VAR gola unieważnił. Przenikliwy system uznał but obrońcy Realu za but „Lewego", nie bacząc no to, że Lewandowski musiałby nosić buty w rozmiarze 78. Sędziowie nie użyli mózgów, uznali dyktat VAR i także widzom nakazali nie wierzyć własnym oczom, nie używać zdrowego rozsądku. Skoro nowoczesna technologia mówi, że Lewandowski ma stopę półmetrowej długości, to nie będziemy się z nią sprzeczać. VAR *locuta, causa finita*. Podobnych sytuacji jest dziś w futbolu niemało.

KTO TU RZĄDZI?

Między dawnymi błędami i oszustwami a dzisiejszą epoką VAR jest zasadnicza różnica. Tamte, siermiężne wały z czasem (po minucie, po godzinie, po latach) uznawane były za oczywistą pomyłkę albo za oczywiste – jak to się kiedyś mówiło – „drukowanie" przez kupionego sędziego i otrzymywały właściwą ocenę moralną. Czasem (rzadko) zdarzały stanowcze działania naprawcze, unieważniane czy powtarzane mecze, degradowane kluby. Dzisiejsze szwindle są inne, groźniejsze, bo starannie schowane za „nowoczesną technologią, z którą się nie dyskutuje".

> Dzisiejsze szwindle są inne, groźniejsze, bo starannie schowane za „nowoczesną technologią, z którą się nie dyskutuje"

Skrzywdzenie Chorwatów odbiło się głośnym echem. Potępili je trenerzy, m.in. Jürgen Klopp, piłkarze, m.in. Zlatan Ibrahimović, setki komentatorów. Wszyscy na własnej skórze poczuliśmy ból tak bezczelnego kłamstwa. Że oto zabiera się nam jeden z ostatnich kawałków autentyczności, prawdy w przestrzeni publicznej. Szołbiznes, infotejment, formaty, narracje – cały publiczny światek wydaje się nam (słusznie) ustawiony, wyreżyserowany, nieprawdziwy. Skłamany. Kiedyś patrzyliśmy na to z kwaśnymi minami, ale przywykliśmy i teraz nawet z uśmiechem przyjmujemy w domu tłumy udawaczy.

Ale gdzieś najgłębiej tęsknimy do autentyczności, do prawdy. Tę prawdę daje sport. Tak, wiem o kupowanych meczach, ustawianych ligach, facetach bijących kobiety. Ale jednak w ekstremalnym wysiłku większości sportowców czuje się prawdę. Oczywiście poza wrestlingiem. I oto nagle zobaczyliśmy, że nawet tę – może ostatnią – prawdę nam zabierają. I to już nie jednorazowe złodziejaszki, którzy świsnęli batona, jak Maradona czy Furtok, ale że jedzie machina. Wielka machina kłamstwa VAR i innych technologii, która będzie zmieniać sportowe wyniki w rzeczywistość alternatywną, jak zmienia resztę świata. O rysowanych na ekranie liniach dowodzących słuszności decyzji mówi dziennikarz sportowy: „Robię to na co dzień. Wystarczy inaczej skalibrować boisko, przesunąć o kilka pikseli i już nie ma spalonego albo już jest, wedle zamówienia".

Technologię podniesiono do miana nieomylnego bóstwa. Masz nie wierzyć swym oczom ani swemu rozumowi, masz wierzyć w to, co mówią ci z telewizora. Doświadczyliśmy tego w „pandemii", gdy ludzie masowo zapadali na SARS-CoV-2, czyli ciężkie zapalenie układu oddechowego, dowiadując się z telewizora, że właśnie mają ogromne trudności z oddychaniem. I potulnie akceptowali ten absurd.

Technologia wspaniale rozwija świat, ale może wspaniale go niszczyć. Po sukcesie wmówionej światu „pandemii" systemy tworzenia alternatywnej rzeczywistości coraz śmielej będą nam mówić, że nasze oczy i nasz rozum są nic nie warte, że mamy ufać, bo tako rzecze Zaratustra.

Po skrzywdzeniu Chorwatów wielu poczuło z przerażeniem, że możliwe jest już wszystko. Ale wycie wściekłości w milionach miejsc na świecie to dowód, że jest jeszcze nadzieja, iż jeszcze tęsknimy za prawdą. Jeszcze.

eprasa.pl 11e7e24d55



Wyrwani z ukraińskiego piekła

Dramatyczne losy Polaków uciekających z Kresów Wschodnich

Badając ludobójstwo dokonane na Polakach na Wołyniu i w dawnej Galicji Wschodniej, historycy najczęściej skupiają się na liczbie ofiar śmiertelnych i przebiegu samych zbrodni. Znacznie rzadziej opowiada się o losach tych, którzy cudem ocaleli. Dla setek tysięcy mieszkańców Kresów Wschodnich ucieczka przed śmiercią oznaczała początek wieloletniej tułaczki, utratę rodzinnych stron i życie z traumą, która nie minęła nawet po zakończeniu wojny



STANISŁAW PŁUŻAŃSKI

Dla polskich mieszkańców Wołynia i Małopolski Wschodniej II wojna światowa, a zwłaszcza lata 1943–1945, oznaczały całkowite załamanie dotychczasowego życia. Miejscowości, w których od pokoleń żyli ich przodkowie, przestawały istnieć. Płonęły domy, kościoły i szkoły, mordowano całe społeczności. Dla tysięcy ludzi jedyną szansą na przeżycie była natychmiastowa ucieczka. Masowy exodus Polaków z południowo-wschodnich kresów II RP był jednym z elementów realizacji morderczego planu Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów, zakładającego usunięcie ludności polskiej z terenów uznawanych za „ukraińskie". Tych, których nie udało się zamordować, należało zastraszyć do tego stopnia, by nigdy więcej nie odważyli się wrócić do swoich domów. Cel ten w ogromnej mierze został osiągnięty.

Dokładna liczba osób zmuszonych do opuszczenia rodzinnych stron pozostaje nieznana. Według wyliczeń Katarzyny Ossowskiej-Wołos i prof. Mariusza Wołosa z samego Wołynia uciekło

eprasa.pl 11e7e24d55

ok. 100 tys. osób, natomiast z dawnej Galicji Wschodniej – kolejne 300 tys. Łącznie blisko 400 tys. ludzi ratowało życie, uciekając za Bug i San. To niemal trzykrotnie więcej od liczby osób przesiedlonych po wojnie w ramach akcji „Wisła".

OTOCZENI PRZEZ REZUNÓW

Ucieczka rzadko była zaplanowana. Najczęściej rozpoczynała się w chwili, gdy w oddali pojawiały się łuny pożarów albo do wsi docierała wiadomość o możliwym napadzie. Rodziny zabierały tylko to, co były w stanie unieść. Najcenniejszy dobytek pozostawał w domach, które jeszcze tego samego dnia często stawały w płomieniach. Większość wygnańców utraciła dorobek całego życia, majątki gromadzone od pokoleń. Domy, gospodarstwa, ziemia i rodzinne pamiątki pozostawały za nimi. Ludzi odrywano od korzeni i pozbawiano ojcowizny.

Żaden kierunek ucieczki nie był bezpieczny. Ludzie przedzierali się przez lasy, bagna i pola, omijając miejsca, w których mogli się natknąć na oddziały ukraińskich nacjonalistów. Matki niosły na rękach niemowlęta, starsze dzieci prowadziły schorowanych dziadków, a w każdej chwili mógł nastąpić kolejny atak.

13-letni Aleksander Pradun, który ocalał z rzezi we wsi Ostrówka, wspominał drogę do stacji kolejowej, gdzie wraz z innymi ocalałymi próbował dostać się za Bug. „Każdy bał się iść dalej, aby bulbowcy [ukraińscy nacjonaliści] nie napadli w nocy" – pisał po latach. Nadzieję dawała obecność niemieckiego posterunku, jednak nawet tam uchodźcy nie mogli czuć się bezpiecznie. „Stacja była usypana wałem ziemnym i Niemcy pełnili całą dobę wartę. Nocą pełnili wartę starsi i młodzież, spały tylko dzieci. Rano starsi poszli do Niemców prosić, żeby pozwolili zabrać się na węglarkach pociągiem do Dorohuska" – wspominał Pradun. Kiedy na stację wjechał pociąg, tłum rzucił się do pustych wagonów. Niemcy zagrodzili drogę, celując do ludzi z pistoletów maszynowych i przeganiając słowami: „Raus, verfluchte!". Dopiero polski maszynista po cichu podpowiedział uciekinierom, by ruszyli wzdłuż torów. Kilka kilometrów dalej miał zatrzymać skład, umożliwiając im ukrycie się w węglarkach. Dzięki jego odwadze wielu ocalałym z Ostrówki i okolic udało się przedostać na drugą stronę Bugu.

Nie wszyscy mieli jednak tyle szczęścia. Irena Gajowczyk jako dziecko przeżyła wymordowanie rodzinnych Hurbów, gdzie Ukraińcy zabili jej matkę i większość rodzeństwa. Wraz z ocalałymi próbowała dotrzeć do pobliskiego Mizocza. „Ojciec ciągle nas uspokajał, abyśmy nie płakały, bo w lesie mogą być banderowcy" – wspominała. Po kilku kilometrach drogę zastąpiła uzbrojona grupa napastników. „Padły strzały, Tatuś krzyknął, abyśmy uciekały, lecz sam nie mógł zejść z wozu, był chyba ranny". Dziewczynka widziała, jak jej ojciec został brutalnie pobity, a następnie przywiązany do drzewa i obdarty ze skóry. Sąsiadce na jej oczach odrąbano głowę na pieńku. Sama wielokrotnie została ugodzona nożem, m.in. w gardło, plecy, dłoń i rękę, po czym wrzucona do mrowiska. Przeżyła tylko cudem. Po latach przyznawała: „Mam siedem blizn na ciele, które z biegiem lat przestały mi przeszkadzać, jednak okaleczona psychika daje mi znać o sobie przez całe życie".

Polacy z Wołynia i dawnej Galicji Wschodniej uciekali, czym i jak się dało, nierzadko pokonując ogromne odległości pieszo. Ci, którzy mieli krewnych lub znajomych na terenach uznawanych za bezpieczniejsze, mogli liczyć na tymczasowe schronienie. Pozostali szli w nieznane.

BEZPIECZNEGO MIEJSCA NIE BYŁO

Pierwszym względnie bezpiecznym miejscem stawały się polskie placówki samoobrony organizowane w większych miejscowościach. To właśnie tam napływali mieszkańcy okolicznych wsi, którym udało się wydostać z płonących domów. Do takiej placówki trafiła również Helena Popek. Uciekła wraz z matką i rodzeństwem (ojciec został zamordowany przez Ukraińców) z Woli Ostrowieckiej do szkoły w Rymaczu, gdzie schroniła się większość ocalałych. Tam z relacji innych uchodźców poznawała skalę tragedii, która dotknęła sąsiadów, przyjaciół i bliskich. „Jeden wielki płacz, jęki. Pamiętam ojca z małym dzieckiem, miało może półtora roku. Matka została spalona w szkole. Dziecko nic, tylko zawodziło: »Do mamy, do mamy«. Ojciec i ludzie dookoła płakali na ten widok. To dziecko było odstawione od piersi i niektóre kobiety karmiące podsuwały mu swoje, ale nie chciało".

Nie można było jednak mówić o bezpieczeństwie, każda noc mogła przynieść śmiercionośny atak ukraińskich nacjonalistów. Mężczyźni pełnili warty, kopali umocnienia i organizowali patrole. Powstawały prowizoryczne kuchnie oraz punkty opatrunkowe, lecz brakowało niemal wszystkiego: żywności, lekarstw, opału i odzieży. Każde opuszczenie terenu placówki wiązało się z ogromnym ryzykiem. Wyjście po wodę czy żywność mogło się zakończyć spotkaniem z napastnikami i śmiercią. Dotarcie do placówek samoobrony rzadko oznaczało koniec ucieczki. Było ich zbyt mało, by zapewnić schronienie wszystkim potrzebującym, a część nie zdołała odeprzeć ataków ukraińskich nacjonalistów. Dla większości uchodźców był to jedynie jeden z przystanków tułaczki.

Po kulminacji mordów na Wołyniu latem 1943 r. część Polaków szukała schronienia w dawnej Galicji Wschodniej, licząc na to, że tam skala przemocy okaże się mniejsza. Nadzieje szybko jednak prysły. Z czasem również te tereny przestały być bezpieczne, a tysiące ludzi ruszyły za Bug i San, w kierunku Lubelszczyzny i Podkarpacia. Docierali tam z niewielkimi tobołkami, bez majątku i często bez pewności, czy ktokolwiek z ich bliskich jeszcze żyje. Również za Bugiem zagrożenie nie zniknęło. Szczególnie boleśnie przekonali się o tym mieszkańcy południowej Lubelszczyzny podczas wojny oraz wschodniej i południowej części dzisiejszego Podkarpacia już po jej zakończeniu, gdzie jeszcze długo szalały bandy UPA. Wysiedleńcy mieszkali kątem u obcych rodzin, w szkołach, stodołach i prowizorycznych schronieniach. Warunki ich życia były tragiczne, a wielu ludzi przez długi czas żyło w skrajnej nędzy.

eprasa.pl 11e7e24d55

Taką drogę przeszła Leokadia Skowrońska, która jako dziecko ocalała z zagłady Aleksandrówki dzięki pomocy Harasyma Łukajczuka. Ukraiński sąsiad, ryzykując własnym życiem, przewiózł ją obok posterunku banderowców do szpitala w Kowlu. Tam dowiedziała się, że jej rodzice, siostra i brat zostali zamordowani. Po wyjściu ze szpitala została zupełnie sama. „Nie wiedziałam, co mam robić, bo w mieście nikogo nie znałam. Wyruszyłam więc o lasce do Włodzimierza Wołyńskiego, mając nadzieję, że spotkam tam kogoś znajomego. Niestety, bardzo się zawiodłam. Domem moim stało się więc na cały zimowy miesiąc targowisko, a łóżkiem stragan, na którym w dzień handlowano. Ludzie na rynku karmili mnie z litości. Byłam brudna, zmarznięta i zawsze głodna. W mroźne noce ukradkiem wślizgiwałam się do przydomowych komórek i chlewów. Żyłam w ciągłym strachu, bojąc się napotkanych ludzi, gdyż nie potrafiłam odróżnić, kto jest Polakiem, a kto Ukraińcem. Tak też spędziłam Boże Narodzenie i nowy, 1944 rok. […] Ze wstydem wyciągałam rękę do obcych ludzi. Jedni się litowali, inni wyganiali precz”.

Historia Leokadii nie była wyjątkiem. Tak wyglądała codzienność wielu osieroconych dzieci, które przeżyły rzezie. Dopiero rozpoczęcie masowych wysiedleń Polaków za Bug stworzyło im szansę na wydostanie się z terenów objętych terrorem. „Wysiedleńcy całymi gromadami szli i jechali furmankami do Polski, a ja wraz z nimi, podpierając się laską”. Jedna z rodzin zabrała dziewczynkę na furmankę i wspólnie dotarli do Sitańca na Zamojszczyźnie. Nie oznaczało to jednak końca jej cierpień. Przez kolejne cztery lata pracowała ponad siły za miskę jedzenia i skromne ubranie. Nie chodziła do szkoły. Spała w kuchni pod stołem, na worku wypchanym słomą. Dopiero interwencja kierownika miejscowej szkoły, poruszonego losem dziewczynki, pasącej boso krowy podczas przymrozków, sprawiła, że trafiła do domu dziecka w Puławach. Po latach wspominała: „Najpiękniejsze lata dzieciństwa przeżyłam w nędzy, poniewierce, głodzie, chorobie i ciężkiej pracy. Widziałam rzeczy tragiczne i straszne, wręcz niewyobrażalne. Nieraz prosiłam Boga, by zabrał mnie do siebie” – wspomina pani Leokadia.

TUŁACZKA BEZ KOŃCA

Po zakończeniu działań wojennych i wytyczeniu nowej granicy na Bugu stało się jasne, że powrót na Kresy jest właściwie niemożliwy. Zresztą niewielu ocalałych miałoby dokąd wracać. Ich rodzinne domy były spalone, bliscy zamordowani, a dawnego świata już nie było. Pozostało po raz kolejny spakować skromny dobytek i ruszyć w nieznane. Kierowano się przede wszystkim na tzw. Ziemie Odzyskane, gdzie obejmowano gospodarstwa pozostawione przez wcześniejszych mieszkańców i próbowano od podstaw budować nowe życie. W sercach ci ludzie pozostawali jednak wygnańcami.

> Dokładna liczba osób zmuszonych do opuszczenia rodzinnych stron pozostaje nieznana. Według wyliczeń Katarzyny Ossowskiej-Wołos i prof. Mariusza Wołosa z samego Wołynia uciekło ok. 100 tys. osób, natomiast z dawnej Galicji Wschodniej – kolejne 300 tys. Łącznie blisko 400 tys. ludzi ratowało życie, uciekając za Bug i San

Były to osoby często złamane psychicznie na całe życie. Większość ocalałych była świadkami niewyobrażalnych zbrodni. W pamięci do końca życia nosili obrazy płonących wsi, swoich najbliższych mordowanych z wyjątkowym okrucieństwem, ich krzyki i wołania o pomoc. Ludzie musieli nauczyć się żyć z doświadczeniami przekraczającymi ich możliwości. Zakładali rodziny, pracowali i wychowywali dzieci, lecz wojna nigdy naprawdę się dla nich nie skończyła. Wielu jeszcze po kilkudziesięciu latach budziło się w nocy z koszmarami.

Stefania Szal, ocalała z Boratycz niedaleko Lwowa, po latach wyznała: „Do dziś jeszcze słyszę w głowie piski dzieci, krzyki gwałconych brutalnie kobiet oraz bestialsko zabijanych mężczyzn i starców, ludzi niczemu winnych”. Niełatwa walka o przetrwanie w nowych, powojennych warunkach stała się sposobem na poradzenie sobie z traumą. „Wojna się skończyła i należało żyć dalej. Przez dłuższy czas nie potrafiłam mówić o tym, co mnie spotkało. Chciałam jak najszybciej zapomnieć o przeszłości i dlatego pochłaniały mnie bez reszty codzienne obowiązki” – kontynuowała. Jednak ucieczka była jedynie pozorna. Takich przeżyć nie sposób wymazać z pamięci ani pozostawić za sobą.

BRAK SPRAWIEDLIWOŚCI

Po wojnie wielu ocalałych nie mówiło o swoich przeżyciach. W Polsce „ludowej” temat zbrodni na Kresach przez lata pozostawał marginalizowany, podobnie jak pamięć o wielowiekowej obecności Polaków na ziemiach położonych na wschód od Bugu. Wielu świadków bało się mówić lub nie chciało wracać do najboleśniejszych wspomnień. Dopiero po latach zaczęły ukazywać się wspomnienia ocalałych, relacje rodzin oraz opracowania historyczne. Dzięki nim udało się ocalić pamięć o świecie, którego już nie ma.

Wciąż jednak pozostaje wiele do zrobienia, aby wszystkie zbrodnie popełnione na Polakach przez ukraińskich nacjonalistów zostały rzetelnie zbadane, godnie upamiętnione, a ich ofiary pochowane z należnym szacunkiem.

eprasa.pl 11e7e24d55



MACIEJ WALASZCZYK

Budowniczy wieży Babel

Antoni Słonimski to przewodnik inteligencji odciętej od tożsamości i tradycji. Wyznawca utopii rodem ze swej „Wieży Babel". Romantyczny, ale uczulony na polskość racjonalista, lewicowiec uwiedziony przez komunizm, a w końcu antyklerykał i mason, który spoczął na cmentarzu w Laskach

Mija 50. rocznica śmierci Antoniego Słonimskiego. Przeżył kilka epok, przewrotów kulturowych i politycznych, wzlotów i upadków, zarówno własnych, jak i przyjaciół oraz rywali. Dziwny życiorys, mnogość ról, w jakie wchodził, rodzi pytanie, kim był. Adam Michnik przypisuje mu rolę wzorca polskiej inteligencji. Lecz raczej jej pokręconych ścieżek i narodowej apostazji, a w końcu pokornego powrotu do tego, co trwałe, z czego zawsze bezczelnie szydziła.

Zmarł 4 lipca 1976 r. w wieku 81 lat na skutek obrażeń, których doznał w wypadku samochodowym. Pod koniec życia w 1972 r. został przyjęty do reaktywowanej w Warszawie loży Kopernik, ale po śmierci człowiek, który latami atakował Kościół jako hamulec postępu społecznego, został pochowany na cmentarzu w Laskach, na terenie prowadzonego przez siostry zakonne Zakładu dla Ociemniałych. Podczas pogrzebu okazało się, że trumna nie zmieściła się do grobu. Całe życie podążał ścieżką wyznaczoną przez ojca Stanisława, ateistę, lewicującego społecznika, admiratora nauki i pozytywizmu oraz guru lewicowej socjologii Ludwika Krzywickiego, uważanego za pierwowzór postaci doktora Szumana z „Lalki". Słonimski był bowiem wzorcowym wręcz przykładem zasymilowanego mieszczaństwa, dzieckiem żydowskiego oświecenia z jego utopijną wiarą w postęp.

SKAMANDRYTA

Tolek od dziecka chciał był artystą rysownikiem, ale warszawskiej Szkoły Sztuk Pięknych nie ukończył. Górę szybko wziął temperament literacki i satyryczny. Założony już w listopadzie 1918 r. kabaret Pod Picadorem połączony z wieczorkiem literackim stał się dla młodych literatów idealną

Fot. NAC

sceną prezentacji radykalnych poglądów. Wpisując się w modne wówczas trendy awangardowe, przywiezione do Warszawy wprost z ogarniętej rewolucją Moskwy, rzucał wyzwanie wszystkiemu, co tradycyjne, narodowe, religijne, mieszczańskie. Kabaret dał też początek poetyckiemu ugrupowaniu Skamander z Tuwimem, Lechoniem, Wierzyńskim i Iwaszkiewiczem.

Sam Słonimski był niesłychanie dowcipny, a we wpływowych w okresie dwudziestolecia „Wiadomościach Literackich" odpowiadał za dział recenzji, także tych jadowitych w dziale „Książki najgorsze". Był uważany za obdarzonego talentem aroganta i „kłusownika frazesów", jako krytyk i felietonista bezlitośnie atakował, szydził, polemizował, przedrzeźniał, raczej oceniał, niż chwalił, stając obok Cata-Mackiewicza i Boya-Żeleńskiego w szeregu mistrzów słownej szermierki. Jego wielki antagonista Jarosław Iwaszkiewicz już w latach powojennych stwierdził, że pod tą maską aroganta krył się człowiek nieszczęśliwy.

Sam „Skamander", redagowany przez Mieczysława Grydzewskiego, powstał właściwie w czasie wojny polsko-bolszewickiej. Poetom, buntowniczo nastawionym do tradycji romantycznej, przyświecały idee kwestionujące narodowe mity i powinności. To Słonimski w „Czarnej wiośnie" manifestacyjnie „zrzuca z ramion płaszcz Konrada", choć faktycznie nie był ani awangardzistą, ani futurystą. Tworzenia poezji podjął się zresztą pod wpływem mickiewiczowskich „Sonetów" i taki tytuł nosił jego pierwszy cykl ogłoszony w 1918 r., kontynuujący najlepsze cechy romantycznego liryzmu. I choć jego lira początkowo wybrzmiała donośnie, to już wiek męski okazał się raczej wiekiem artystycznej klęski. Był też dramatopisarzem, by wspomnieć tylko o „Murzynie Warszawskim" – karykaturze Żyda starającego się być Polakiem. Autorem antytotalitarnej i wyśmiewającej narodowe mity satyrze „Rodzina" i utopijnej „Wieży Babel", którą pragną odbudować tacy jak on spadkobiercy idei międzyludzkiego braterstwa i pacyfizmu. Sztuka jest właśnie wyrazem jego programu, w imię którego obsesyjnie wręcz walczył z prawicą, w czasie wojny poróżnił z przyjaciółmi i dla realizacji którego wrócił do komunistycznej Polski.

NA CELOWNIKU „PROSTO Z MOSTU"

Słonimski nie przypadkiem stał się celem ataków kulturowej prawicy. Gabriel Narutowicz zmarł wręcz na rękach podtrzymującej go i orbitującej wokół skamandrytów Kazimiery Iłłakowiczówny, a sam Słonimski ogłosił wtedy patetyczny wiersz „Na śmierć prezydenta Narutowicza".

> Kiedy Słonimski zaatakował Miłosza za porzucenie PRL na łamach „robotniczej" „Trybuny Ludu", ten przypomniał mu jego wierszyk z dwudziestolecia: „»Nasz lud!« wołają ze swadą Nasz lud jest głuchy jak pień. Ja wolę lód z lemoniadą I to w upalny dzień"

Zajmując kluczowe pozycje w redakcji „Wiadomości Literackich", jako zdeklarowany przeciwnik Kościoła, endecji czy sanacji, za plecami miał też wielu twórców jawnie sympatyzujących z komunizmem, środowiska „Sygnałów", „Lewego Toru" i w końcu przewrotnych „Żagarów". To za jego sprawą „Kroniki tygodniowe" odnosiły się do wszystkich ważnych kwestii i określały je politycznie oraz światopoglądowo.

Choć wydany w 1932 r. reportaż ze zorganizowanego dla pisarzy wyjazdu do sowieckiego raju zawiera wiele prawdziwych obserwacji o nędzy, biedzie i zniewoleniu, jakiego doświadczali mieszkańcy państwa Stalina, to już zainscenizowana w jego narracji dyskusja pomiędzy Sceptykiem i Entuzjastą ilustruje jego lewoskrętny liberalizm. Tu leży wyjaśnienie, dlaczego świadomy dziejącego się tam zła jest faktycznie uwiedziony realizowaną na Wschodzie obietnicą nowego porządku bez nacjonalistów, faszystów, kapitalizmu i antysemitów. Stefan Kisielewski twierdził, że był z tego powodu ślepy na jedno oko, a dodatkowo Hitler utwierdził go w mniemaniu, że wróg postępu lokuje się tylko na prawicy.

W pełnym sprzeczności pejzażu literacko-kulturowym II RP Słonimski konsekwentnie atakował nie tylko narodowców, lecz także piłsudczyków, m.in Ferdynanda Goetla, choćby za jego tekst „Pod znakiem faszyzmu", z miejsca dezawuując go jako pisarza przeciętnego, fetowanego przez władze wyłącznie z powodów politycznych. Najbardziej wymownym świadectwem jego światopoglądu był wiersz „Dwie ojczyzny", po opublikowaniu którego w 1938 r. w Małej Ziemiańskiej doszło do konfrontacji ze związanym z ONR Zygmuntem Ipohorskim. Został uderzony w twarz, poleciały szklanki, powywracano stoły, wywiązała się szamotanina.

Szczególnie na łamach „Prosto z Mostu" demaskowano Słonimskiego za bezideowość, wokół której ogniskowała się całościowa krytyka literatury tego czasu, formułowana przez narodowców. Zarzucano jej koniunkturalizm, nudę i łatwy „quasihumanizm". Bolesław Miciński uznał uprawiany przez Słonimskiego rodzaj krytyki, ciągłe tropienie nienawiści, ksenofobii i hitleryzmu za chorobliwą obsesję (do dziś dręczącą nas w umysłowym dziedzictwie „michnikowszczyzny"). Zrzucał Słonimskiemu wyspecjalizowanie w stosowaniu tego – jak go określał – „typowo tatarskiego procederu". W pełnym pasji, a nawet brutalności stylu Słonimskiego ciągle odnajdywano bowiem te same motywy, monotonię, którą przypisywano „duchowości żydowskiej", zdolnej do szyderstw, filipik, demaskacji, dekonstrukcji, a nie wielkich narracji. Choćby taki „Niemcewicz od przodu

eprasa.pl 11e7e24d55

i tyłu" Karola Zbyszewskiego, który Adolf Nowaczyński uznał za objawienie, Słonimski porównał do obrzydliwości wypisywanych w publicznych szaletach. W czasie wojny młodzi poeci tego nurtu, tacy jak Trzebiński, Gajcy czy Bojarski, wciąż podnosili te same zarzuty, krytykując np. emigracyjną poezję zarówno Słonimskiego, jak i Tuwima, oskarżając ich o epigonizm czy „strojenie potoczystego, łatwego patriotyzmu". Najostrzej zaatakował Tadeusz Gajcy w słynnym tekście „Już nie potrzebujemy", manifestacyjnie odcinając się właśnie od poezji Słonimskiego jako „obcej tej ziemi i duszy człowieka tej ziemi", bo pisanej przez polskich Żydów.

Z EMIGRACJI DO POLSKI LUDOWEJ

25 grudnia 1939 r. w nadawanej po polsku świątecznej audycji francuskiego radia przeczytano napisany przez Słonimskiego w pierwszych dniach wojny dramatyczny „Alarm". Słonimski podobnie jak sanacyjny rząd uciekł przez Zaleszczyki do Rumunii, by potem trafić do Francji i Londynu. Ostatecznie w latach 1942–1946 redagował wraz z Karolem Estreicherem miesięcznik „Nowa Polska", nastawiony pragmatycznie wobec taktycznego sojuszu z ZSRR. Bo nowa sytuacja polityczna ujawniła wszelkie różnice duchowe i polityczne, w wyniku których szybko zdystansował się od Grydzewskiego, a ostatecznie odwrócił od Lechonia i Wierzyńskiego, którzy – jak pisał do niego w liście Tuwim – „wsiedli do faszystowskiego pociągu". Potem podjął grę z władzami komunistycznymi, w 1945 r. na chwilę pojawił się w kraju, podejmując się kierowania londyńskim Instytutem Kultury Polskiej. „Czy Pan powrócił do Polski na dobre?" – zapytał ktoś po powrocie do kraju. „Raczej na średnio" – miał odpowiedzieć, ogłaszając przy okazji przewrotny wiersz „Moja trasa Z-W" (z Zachodu na Wschód). Jednak Czesław Miłosz, który w tym samym momencie wybierze wolność, napisze: „Wróciłeś, bo w Warszawie wydajesz dzieła poetyckie, masz pieniądze, apartament, kontrakt na przekład »Sonetów« Szekspira". W odpowiedzi na łamach „Trybuny Ludu" ukazał się artykuł „Odprawa": „Słowo twoje, jeśli tu dociera, przyjaźnie brzmi w szynkach szmuglerskich, w knajpach aferzystów".

Powrócił dobrowolnie, ze świadomością, że czekają go kompromisy. W najgorszym okresie stalinizmu, gdy żołnierzy podziemia, powstańców warszawskich i jego przeciwników politycznych więziono i zabijano. Wrócił też jako poetycki duch do orwellowskiego świata rządzonego przez cenzurę, w którym na przemiał wysłano miliony egzemplarzy książek uznanych za politycznie niedopuszczalne. Więcej – jego nazwisko znalazło się wśród autorów tomiku „Wiersze o Bolesławie Bierucie".

Jednak po dwóch latach wystąpił z głośną krytyką podręcznika literatury polskiej, którą odebrano jako krytykę ustroju. A jako prezes Związku Literatów Polskich na fali liberalizacji w 1958 r. wysłał depeszę gratulacyjną dla Borysa Pasternaka za przyznaną mu Nagrodę Nobla za „Doktora Żywago". Wpadał na kolejne rafy systemu.

ZEPCHNIĘTY DO OPOZYCJI

Przed wojną był jednym z filarów historycznego stolika w Ziemiańskiej, więc również po powrocie do Warszawy kontynuował dawne obyczaje, zawsze około południa przychodząc na Foksal do kawiarenki PIW, która – oprócz kilku innych miejsc – stanowiła rodzaj literackiego, a także politycznego centrum stolicy. Prawda jest taka, że w PRL z dawnej ekipy Skamandra zniknęli emigranci, „faszyści" – Kazimierz Wierzyński i Jan Lechoń – a powstało zupełnie nowe środowisko. On sam był częścią mającego ambicje rozdzielania rang lewicowego salonu literackiego Ireny Krzywickiej, co sportretował w znakomitym pamflecie „Życie towarzyskie i uczuciowe" Leopold Tyrmand. Jego bywalcom np. nie przypadł do gustu autentyczny antykomunizm autora „Złego", tak jak przeprowadzona potem przez Pawła Hertza „rehabilitacja" polskiej poezji romantycznej.

Choć z biegiem czasu, odczuwając zaciśnięty gorset cenzury, także Słonimski przesuwał się na pozycje wewnątrzopozycyjne. Był uczestnikiem spotkań Klubu Krzywego Koła, to z jego inicjatywy powstał tzw. List 34 przeciwko polityce kulturalnej partii. Dwuzdaniowy, celnie uderzający we Władysława Gomułkę i otwierający okres „epistolarnej opozycji". Ostatecznie w 1968 r. tow. „Wiesław" zaatakował go imiennie, każąc mu wybierać, czy chce być Polakiem, czy Żydem. W ten sposób antyklerykał Słonimski trafił pod skrzydła „Tygodnika Powszechnego", w którym od 1971 r. zamieszczał felietony. Teksty człowieka w niełasce, drukowane – jak zauważyła Anna Bojarska – „w piśmie-przytulisku dla odtrąconych".

ALERGIA NARODOWA

Tym, co stałe w poglądach Słonimskiego, była alergia na tradycje narodowe. W czasie wojny, w 1942 r., napisał słynny wiersz o pragnieniu Polski słabej, „gdzie słabość nie jest winą", a „nocą dom bywa otwarty". Dziś zapewne mogliby go wypisać na swych sztandarach zwolennicy masowej imigracji, multikulturalizmu i „inkluzywności". Był też tekst „Walka z mgłą", opublikowany w „Wiadomościach Polskich", w którym brzmią wyrażone wprost te same echa skamandryckiego programu, będące dziś wyznaniem wiary polskiego mieszczanina, samego siebie uważającego za spadkobiercę polskiego inteligenta. „Chcemy żyć w zwyczajnym kraju. Nie na szańcach, na bastionie, nie na barbakanie, nie na przedmurzu, ale w zwyczajnym kraju" – deklarował Słonimski. Nie chciał bowiem znów słyszeć o „dziejowych misjach", „mocarstwowości" i „imperializmie", choć zdaje się, że PRL była właśnie krajem zupełnie odartym z ambicji imperialnych i misji przedmurza.

Paradoks tej historii polega na tym, że dziś ideowym spadkobiercom budowniczego wieży Babel program ów zawalił się chyba na głowy. Stało się to za sprawą Putina, Rosji i wojny, która przywróciła odwieczne kategorie siły, sojuszy, przedmurza czy flanki i twardych tożsamości. Przypomniano im o „barbakanie", „bastionie", a nawet więcej, bo dziś zwolennicy „Polski słabej" kokietują nawet ukraińskiego nacjonalistę.

eprasa.pl 11e7e24d55



Od Kościuszki d

Jako Polacy mamy wkład w budowę amerykańskiego państwa. Nie są to tylko zasługi militarne. Nasi rodacy byli i są obecni w każdej dziedzinie życia Stanów Zjednoczonych



JAN PARYS

Kiedy pożegnaliśmy komunizm i Polska odzyskała suwerenność, nasze stosunki z USA wróciły do tradycyjnej, przyjacielskiej formy. Nie tylko poszczególne rządy, lecz przede wszystkim opinia publiczna jest w Polsce wyraźnie proamerykańska. To różni nas od wielu krajów Europy Zachodniej, w których od kilkudziesięciu lat dominuje negatywny stosunek do polityki Stanów Zjednoczonych

Rocznica proklamowania niepodległości Stanów Zjednoczonych to dobry moment, aby przypomnieć, że USA są nie tylko naszym sojusznikiem w XXI w. W Ameryce mieszka dziś wielu Polaków oraz wielu Amerykanów polskiego pochodzenia. Przez kilkaset lat obecności nasi rodacy wnieśli wiele w budowę ustroju, gospodarki i siły USA. Nie należy zatem sprowadzać naszych relacji z USA tylko do bieżących interesów. Jako Polacy mamy bowiem wkład w budowę Ameryki jako państwa. Obecne Stany Zjednoczone są silne także dorobkiem naszych rodaków, bo powstały m.in. dzięki Polakom, którzy przez kilkaset lat emigrowali do Ameryki w poszukiwaniu wolności i chleba. A najczęściej jednego i drugiego.

PIERWSI POLSCY OSADNICY

Zawsze, kiedy szukamy śladów pierwszych Polaków na amerykańskiej ziemi, wskazuje się, że pojawili się oni na początku angielskiej kolonizacji, i to kilkanaście lat przed przybyciem słynnych pierwszych pielgrzymów, którzy przypłynęli na statku Mayflower w 1620 r.

Pierwsi Polacy przybyli do Nowego Świata statkiem Mary and Margaret 1 października 1608 r. Byli to głównie rzemieślnicy, którzy w osadzie Jamestown w Wirginii mieli zakładać warsztaty szklarskie, mydlarskie, lniarskie i inne. Historycy ustalili nazwiska pierwszych polskich Amerykanów: byli to Michał Łowicki, Zbigniew Stefański, Jan Bogdan, Jan Mata i Stanisław Sadowski.

Główna fala migracji z Polski do USA nastąpiła w XIX w. Wtedy m.in. w Teksasie powstała stała polska osada zwana Panna Maria, założona w 1854 r. przez księdza Leopolda Moczygębę oraz jego parafian, pochodzących głównie ze Śląska. Najlepszym dowodem na siłę polskiego osadnictwa w USA może być to, że przed II wojną światową było tam ponad tysiąc parafii prowadzonych przez polskich księży.

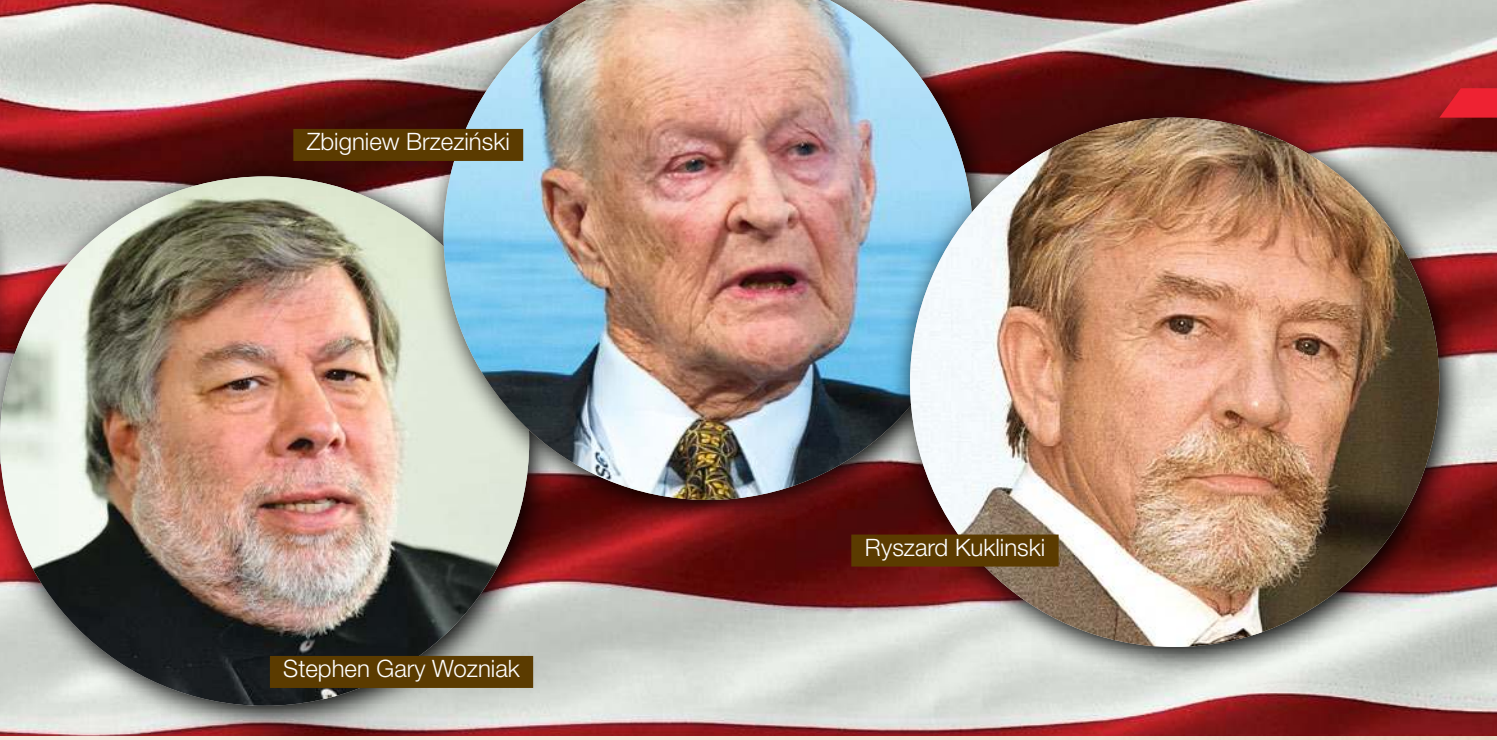
Polacy byli zatem w Ameryce od samego początku, jeszcze zanim powstały Stany Zjednoczone. Wkład naszych rodaków w utworzenie USA to przede wszystkim działalność Tadeusza Kościuszki i Kazimierza Pułaskiego. Tych dwóch Polaków uważa się za zasłużonych dla uzyskania niepodległości przez Stany Zjednoczone.

POLACY NA POMNIKACH

Kościuszko przybył do Ameryki w 1776 r. Jest znany jako generał i inżynier. To on budował fortyfikacje w Fi-

Fot. Muzeum Narodowe w Warszawie, domena publiczna, NAC, Shutterstock

eprasa.pl 11e7e24d53



o Kuklińskiego

ladelfii i Delaware oraz w czasie bitwy pod Saratogą. Zwycięstwo w tej batalii doprowadziło do kapitulacji armii brytyjskiej, a Francję skłoniło do zawarcia sojuszu z nową amerykańską republiką. Na prośbę George'a Washingtona Kościuszko zbudował umocnienia West Point na rzece Hudson, uniemożliwiając wojskom brytyjskim ekspansję na zachód. Przyjaźnił się z Washingtonem i Jeffersonem. Pozostawał także znanym przeciwnikiem niewolnictwa, co w owym czasie było rzadkością. Nic więc dziwnego, że ma on w USA wiele pomników.

Zasługi militarne Kazimierza Pułaskiego dla USA to dowodzenie Legionem Pułaskiego złożonego z kawalerii i piechoty czy udział w bitwie pod Savannah w 1779 r. Wcześniej, podczas batalii nad Brandywine w 1777 r., Pułaski uratował życie George'a Washingtona.

Kościuszko i Pułaski walczyli o niepodległość USA przeciwko wojskom Anglii i Francji. To pokazuje, że walka o niepodległe Stany Zjednoczone była wspierana przez obywateli wielu państw, dla których ważne były ideały wolności i demokracji. Byli gotowi poświęcić dla nich nawet swoje życie, bo chcieli świata wolnego od władzy monarchii absolutystycznych, które wtedy panowały w Europie.

W historii USA jest wielu Polaków zasłużonych dla rozwoju Ameryki. Należy do nich np. Rudolf Modrzejewski (syn słynnej aktorki Heleny Modrzejewskiej), znany jako Ralph Modjeski, pionier w budowie mostów wiszących. Jest uznawany za budowniczego największych mostów w USA. Zbudował ich prawie 40 na największych rzekach. Najważniejsze z nich to: Benjamin Franklin Bridge w Filadelfii, San Francisco Oakland Bay Bridge i mosty kolejowe nad Missisipi w New Ocean. Modjeski wykształcił wielu amerykańskich inżynierów, a jego konstrukcje każdego dnia służą milionom Amerykanów do dziś.

Ignacy Łukasiewicz to nie tylko znany w Polsce wynalazca, lecz także twórca przemysłu naftowego na świecie. Bez jego wynalazków nie byłoby petrochemii w USA, która przez wiele lat pozostawała motorem amerykańskiego przemysłu. To wynalazki Łukasiewicza zapoczątkowały przemysł naftowy na świecie. Dopiero potem na tej podstawie petrochemię w USA zbudował Rockefeller.

ZNANI I SŁAWNI

Wielu Polaków zyskało sławę w Ameryce. Np. wiadomo, jak duży był wpływ Ignacego Jana Paderewskiego na prezydenta Woodrowa Wilsona. Dzięki tej znajomości Paderewski przekonał prezydenta USA do tego, by w swym programie nowego porządku politycznego w Europie po I wojnie światowej zapisał punkt dotyczący odbudowy państwa polskiego po ponad 123 latach zaborów. Było to możliwe dzięki temu, że kilka lat wcześniej Polak zyskał ogromną popularność i sławę jako kompozytor i muzyk. Mało kto wie, że słynny pianista zainicjował w USA uprawę winorośli i dał początek winnicom w Kalifornii.

Wszyscy na świecie znają amerykańską kinematografię. Nie byłoby jej, gdyby nie Louis B. Mayer, urodzony w Mińsku Mazowieckim twórca Metro-Goldwyn-Mayer. Samuel Goldwyn, twórca Goldwyn Pictures, to Polak urodzony w Warszawie. Także bracia Warner byli Polakami z Krasnosielca na Mazowszu. Każda epoka ma swoich celebrytów. Kiedyś jedną z najważniejszych gwiazd w USA była znana aktorka Pola Negri, urodzona w Polsce w 1897 r. Była pierwszą europejską aktorką, która podpisała stały kontrakt z Paramount Pictures.

Prawie każda z kobiet zna kosmetyki firmy Max Factor. Kupując je, warto pamiętać, że założycielem tej znanej na świecie firmy był Maksymilian Faktorowicz, urodzony w Zduńskiej Woli, który wyemigrował do USA i założył tam przedsiębiorstwo, które produkowało i sprzedawało kosmetyki. Był także twórcą nowoczesnego makijażu filmowego, za co w 1929 r. otrzymał

Fot. Vrapp/Shutterstock.com, Tobias Kleinschmidt, East News/AFP, Shutterstock

egrasa.pl 11e7e24d55

honorowego Oscara. W branży kosmetyków wielką karierę zrobiła również urodzona Krakowie Helena Rubinstein. Marka Helena Rubinstein istnieje do dziś i jest symbolem sukcesu oraz przedsiębiorczości.

Florian Znaniecki przyczynił się do rozwoju amerykańskiej socjologii, jest uznawany z współtwórcę Chicago School of Sociology. Wspólnie z Williamem Thomasem opracował dzieło „The Polish Peasant in Europe and America". Do dziś książka ta jest uważana za fundament socjologii empirycznej. Po 1939 r. Znaniecki był profesorem na University of Illinois, a w 1950 r. został prezesem American Sociological Association.

Frank Nicholas Piasecki to urodzony w Filadelfii Amerykanin polskiego pochodzenia, wybitny inżynier, pionier lotnictwa, znany jako konstruktor helikopterów. W 1945 r. opracował dla US Navy pierwszy helikopter zdolny do przenoszenia ciężkich ładunków. Założył Piasecki Aircraft Corporation.

Urodzony we Lwowie Stanisław Ulam to wybitny fizyk i wynalazca. Odegrał ważną rolę w budowie amerykańskiej broni jądrowej, pracował przy Projekcie Manhattan. Potem zajmował się konstrukcją bomby wodorowej w Los Alamos.

Dziś trudno wyobrazić sobie armię USA bez pocisków Patriot. Głównym konstruktorem ich głowicy bojowej i systemu naprowadzania był urodzony w Łodzi polski inżynier Zdzisław Julian Starostecki. Jest on uważany za twórcę amerykańskiego systemu antyrakietowego.

PIONIERZY NOWYCH TECHNOLOGII

Prawie każdy z nas zna logo firmy Apple. Nie wszyscy jednak wiedzą, że współtwórcą tej znanej na świecie firmy jest Stephen Gary Wozniak, urodzony w Kalifornii inżynier i wynalazca polskiego pochodzenia. Jego konstrukcje przyczyniły się do zrewolucjonizowania naszego życia. W epoce, gdy budowano wielkie komputery, on zajął się konstrukcją komputerów osobistych, bez których nie wyobrażamy sobie dziś naszego życia. W 1976 r. Wozniak zaprojektował i zbudował pierwszy komputer firmy Apple Comuter Company. Był głównym inżynierem firmy i pozostaje legendą przemysłu komputerowego.

Każdy z nas każdego dnia dokonuje różnych płatności. Dziś nie wyobrażamy sobie życia bez transakcji elektronicznych. Jedna z największych platform płatności cyfrowych jest PayPal, która umożliwia bezpieczne przesyłanie pieniędzy. Jej współzałożycielem jest Luke Nosek, urodzony w Tarnowie jako Łukasz Nosek, znany na świecie ze swego wkładu technologie fintech.

> Główna fala migracji z Polski do USA nastąpiła w XIX w. Wtedy m.in. w Teksasie powstała stała polska osada zwana Panna Maria, założona w 1854 r. przez księdza Leopolda Moczygębę oraz jego parafian, pochodzących głównie ze Śląska

WAŻNI W POLITYCE

Czas komunizmu w Polsce to epoka, w której na amerykańską politykę wywierali wpływ trzej Polacy: Zbigniew Brzeziński, Richard Pipes i Ryszard Kukliński.

Brzeziński jest znany jako doradca ds. bezpieczeństwa prezydenta Jimmy'ego Cartera. Jednak jego wpływ na amerykańską politykę zagraniczną był dużo dłuższy niż czas, kiedy zajmował stanowiska w administracji. Był uważany za jednego z głównych strategów amerykańskiej polityki bezpieczeństwa podczas zimnej wojny. Wychował wielu amerykańskich dyplomatów, promował prawa człowieka jako podstawę stosunków międzynarodowych. Opublikował wiele książek, które ukształtowały w Ameryce sposób myślenia o ZSRR. Wpłynął na politykę USA wobec Polski. Za jego sprawą prezydent Stanów Zjednoczonych wystosował w grudniu 1980 r. ostrzeżenie wobec ZSRR przed radziecką interwencją wojskową w Polsce.

Richard Pipes to Amerykanin polskiego pochodzenia urodzony w Cieszynie, uważany za jednego z najważniejszych amerykańskich sowietologów. Był doradcą prezydenta Ronalda Reagana ds. Europy Wschodniej i ZSRR. Mocno wspierał Solidarność. Był zwolennikiem strategii wygrania zimnej wojny, a nie tylko powstrzymywania wpływów komunistycznych. Promował nacisk na ZSRR w formie sankcji gospodarczych, zbrojeń i wspierania opozycji antykomunistycznej.

Ryszard Kukliński, oficer Sztabu Generalnego Ludowego Wojska Polskiego, był odpowiedzialny m.in. za opracowywanie planu agresji wojsk Układu Warszawskiego na kraje NATO. Gdy zorientował się, że planowana w Moskwie wojna z Sojuszem oznacza konflikt nuklearny i śmierć połowy mieszkańców naszego kraju, świadomie przeszedł na stronę USA i rozpoczął współpracę z CIA. Wpłynął na zmianę strategii Ameryki na czas wojny. Dzięki jego informacjom i argumentom NATO przyjęło koncepcję odparcia ataku za pomocą broni konwencjonalnej. Ryzyko konfliktu nuklearnego zostało zminimalizowane za cenę zwiększenia zbrojeń konwencjonalnych.

W tym roku Ameryka obchodzi rocznicę ogłoszenia Deklaracji Niepodległości. Z tej okazji warto pamiętać, że stosunki naszego kraju z USA to nie tylko przyjazdy amerykańskich prezydentów do Polski, np. Donalda Trumpa i jego ciepłe słowa skierowane do Polaków. To nie tylko wizyty naszych prezydentów, np. Andrzeja Dudy czy Karola Nawrockiego w Waszyngtonie. Polsko-amerykańskie relacje to kilkaset lat wspólnej historii naszych narodów.

Jako Polacy mamy wkład w budowę amerykańskiego państwa. Nie są to tylko zasługi militarne. Nasi rodacy byli i są obecni w każdej dziedzinie życia Stanów Zjednoczonych. W dzisiejszym skomplikowanym i pełnym niepewności świecie tradycja walki o wolność jest mocnym fundamentem obrony wspólnych interesów.

eprasa.pl 11e7e24d55



Miało być epicko. Także we współczesnym rozumieniu. Niestety wielkie oczekiwania, jakie widzowie wiązali z przeniesionym na ekran eposem, zamieniają się w coraz większą falę krytyki. I zalewają „Odyseję” Christophera Nolana

Nolan na wzburzonym morzu

Fot. UIP

eprasa.pl 11e7e24d55



JOLANTA GAJDA–ZADWORNA

Dziś „epicko” – w potocznym języku – oznacza coś wspaniałego, widowiskowego, budzącego podziw. W młodzieżowym slangu zastępuje określenia „super” czy „fantastycznie”. W połączeniu z kulturową bazą – „Odyseją”, która obok „Iliady” jest jedną z najważniejszych epopei starożytności – filmowa wersja słynnego eposu miała rozszerzyć zarówno fantastyczne, jak i „boskie” spektrum współczesnych kinowych opowieści. Miała dołączyć do plejady ekranowych superherosów starożytne bóstwa i bohaterów. Sprawić, że narracja sprzed wieków, wsparta współczesną technologią, porwie globalnego widza i rozmachem rozsadzi ekrany.

KLĄTWA BOGÓW

Co poszło nie tak? Co w ponadczasowej historii – łączącej realizm z mitologiczną fantastyką, w której tułaczka bohatera staje się metaforą życia, zmagań z czasem, przestrzenią i własnym losem – zwiodło Christophera Nolana? Twórcę z europejskim, solidnym wykształceniem, reżysera oscarowego (a także przenikliwego) „Oppenheimera”, a także wysokobudżetowych, ale stawiających pytania, a nie tylko walczących o dochody „Incepcji”, „Dunkierki”, filmów o Batmanie. Co spowodowało, że tak jak bohater jego najnowszego filmu, Odyseusz, zagubił się w kinowym bezkresie? Jakim współczesnym bóstwom chciał się przypodobać, a jakim się naraził? I czy „Odyseja” stanie się początkiem jego artystycznej – wewnętrznej, a może również zewnętrznej, peregrynacji?

EPOS Z HOLLYWOOD

Jeszcze przed oficjalną premierą tylko wokół zwiastunów i wywiadów rozpętała się burza wśród historyków, literaturoznawców i rekonstruktorów. „Kulturowa ignorancja, uleganie poprawności politycznej oraz całkowite zniszczenie klimatu starożytnej Grecji na rzecz hollywoodzkiego kiczu” – to najpoważniejsze zarzuty.

Pomijając bulwersującą znawców „dowolność” w tworzeniu kluczowych elementów (m.in. szeroko pojętej scenografii – np. greckie łodzie zastąpiono w filmie jednostkami wikingów) czy wprowadzenie do starożytnej opowieści współczesnych dialogów (wymieszanych m.in. z szekspirowskimi nawiązaniami), czymś zaskakującym – nawet dla największych ignorantów – mogły się okazać wybory castingowe. Z bardzo wyraźnym kluczem. Przyjrzyjmy się mu.



WYRÓWNYWANIE SZANS?

Najpiękniejszą ziemską kobietę mitologicznej Grecji, blondwłosą Helenę Trojańską, zagrała czarnoskóra Lupita Nyong’o (jej Oskar w 2014 r. za rolę drugoplanową w filmie „Zniewolony. 12 Years a Slave” był jedną z zapowiedzi zmian w obwarowanej strukturze Hollywood). Na plan zaproszono też czarnoskórego rapera Travisa Scotta



Fot. UIP

eprasa.pl/t1e/e24d55

i co najmniej kilku aktorów z wyraźnymi wskazaniami etnicznymi (od Ameryki Środkowej przez różne strefy Azji). W obsadzie znalazł się również transpłciowy Elliot Page.

Wiele z castingowych decyzji Christophera Nolana – czy raczej producentów jego filmu – jest tłumaczonych restrykcyjnymi zasadami, jakie Amerykańska Akademia Filmowa wprowadziła dla oscarowej kategorii „najlepszy film". Aby produkcja mogła w ogóle ubiegać się o nominację, musi spełnić przynajmniej dwa z czterech standardów dotyczących inkluzywności (czyli – teoretycznie – wyrównywania szans). Określają one m.in., że znaczna część aktorów pierwszo- i drugoplanowych lub ekipy technicznej musi pochodzić z mniejszości etnicznych, rasowych, społeczności LGBT+ lub „być osobami z niepełnosprawnościami".

W KINIE JAK W DOMU

Przy takich obwarowaniach poza dyskusją pozostaje, że w spektakularnych megaprodukcjach główna obsada jest budowana z nazwisk najbardziej znaczących, gorących albo przyciągających wierną i wielką widownię.

W taki sposób filmowym Odyseuszem został Matt Damon („Buntownik z wyboru", „Szeregowiec Ryan", „Infiltracja", „Marsjanin", seria o Jasonie Bournie, „Oppenheimer"). W jego syna Telemacha wcielił się – zdefiniowany hollywoodzko przez Spider-Mana – Tom Holland, wierną żoną Penelopą została Anne Hathaway (ostatnio wystrzelona na globalną orbitę popularności za sprawą kontynuacji hitu sprzed lat „Diabeł ubiera się u Prady"). W Atenę wcieliła się międzybranżowa i „międzygalaktyczna" gwiazda o ogromnych medialnych zasięgach – Zendaya. Znalazło się też miejsce dla Roberta Pattinsona czy Charlize Theron.

W jednym z wywiadów Christopher Nolan stwierdził, że skoro homeryckie postaci są „w pewnym sensie kultowe", mógł je powierzyć „tylko sprawdzonym artystom". Podkreślał, że w bohaterów „Odysei" powinni wcielać się rozpoznawalni aktorzy, dzięki którym „współczesna publiczność poczuje się jak w domu". Tylko jaki to dom?

Fot. Adam Burakowski/DDTVN/East News Warszawa.



Pat w Kamienicy

Z Justyną Sieńczyłło, aktorką, dyrektorką Teatru Kamienica, rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna

Chwilę przed personalnym trzęsieniem ziemi w warszawskim ratuszu stołeczny Teatr Kamienica doczekał się własnego „okrągłego stołu". Dlaczego zdecydowaliście się na taką formułę?

Justyna Sieńczyłło: Wierzyliśmy, że jeśli wszystkie strony trwającego od lat konfliktu spotkają się przy jednym stole, to uda nam się wypracować porozumienie. Obecna sytuacja nie służy przecież nikomu, a jedynie generuje koszty, stres i niepewność – zarówno dla zespołu teatru, ponieważ walczymy o przetrwanie, jak i dla mieszkańców budynku, z pewnością nie jest to również na rękę urzędnikom. Przy odrobinie dobrej woli i chęci współpracy jest to do zrobienia. Po 14 latach dramatycznej walki jedyne, czego pragnę, to ostatecznie i sprawiedliwie zakończyć ten spór.

Kto spotkał się 24 czerwca w podniesionych do rangi teatru piwnicach przy Al. Solidarności 93, a kogo zabrakło?

Na nasze zaproszenie do udziału w publicznej, transparentnej debacie odpowiedziała część mieszkańców budynku, parlamentarzyści, aktorzy, radni. Niestety w dyskusji przy okrągłym stole zabrakło przedstawicieli tej części wspólnoty mieszkaniowej, która jest wrogo do nas nastawiona oraz reprezentacji władz Warszawy – osobno kierowaliśmy zaproszenie do prezydenta Rafała Trzaskowskiego, dzielnicy Śródmieście, Zakładu Gospodarowania Nieruchomościami. Dużo osób po tym spotkaniu dostrzegło jednak wiele nieprawidłowości i zaniedbań, które – układając się w całość – pokazują sedno, a może drugie dno tej sprawy.

Odbyło się też posiedzenie sejmowej Komisji Kultury, Dziedzictwa Narodowego i Środków Przekazu. Czy pojawił się kierunek, który pomógłby zmienić sytuację Teatru Kamienica?

Posiedzenie z 30 czerwca pokazało rzadką w Sejmie jednomyślność ponad partyjnymi podziałami – posłowie zgodnie uznali naszą wieloletnią sytuację za problematyczną oraz wskazali na pilną potrzebę mediacji i zajęcia się tą sprawą przez władze Warszawy. Wszyscy zgodnie podkreślają, że jesteśmy niezwykle ważnym punktem na kulturalnej mapie stolicy, a także bardzo znaczącym dla polskiej kultury. Niemal wszyscy przyznają, że skoro jako jedyni od ponad dwóch dekad inwestowaliśmy w ruinę, przywróciliśmy to miejsce do życia, to wielce niesprawiedliwe jest, by się nas teraz stąd pozbyć, szczególnie że Warszawa posiada 78 proc. udziałów w tej nieruchomości. Konieczność przeprowadzenia remontów w budynku, zadbanie o mieszkańców kamienicy – to dla nas ważne postulaty, dlatego tak bardzo zależy nam na znalezieniu sprawiedliwego rozwiązania.

Jakich decyzji na tym etapie najbardziej oczekujecie?

Przede wszystkim dostrzeżenia problemu i podjęcia realnych działań przez prezydenta Warszawy Rafała Trzaskowskiego, który jest w pełni decyzyjny i posiada wiele możliwości rozwiązania tego problemu. Jesteśmy przecież instytucją, która zrobiła dla tego miasta tak wiele – od krzewienia kultury, poprzez działalność charytatywną, aż po szeroko pojętą misję społeczną czy historyczną. Proszę o to cały czas ze względu na mieszkańców kamienicy, pracowników teatru. I oczywiście ze względu na Emiliana Kamińskiego, który zrobił dla tego miasta tak wiele.

eprasa.pl 11e7e24d55





HITY i KITY ZAREMBY

Mroki prowincji i kaszubski wampir

Na wakacje do odpoczynku szczególnie przydaje się dobry kryminał. Obejrzałem więc na Netfliksie film „Kolory zła: czerń" Adriana Panka. Sprawnie skonstruowany, choć pamiętajmy – z kryminałów także da się odczytać jakiś obraz społeczeństwa. Czy jest on prawdziwy? Czasem to bardziej obraz z wyobrażeń komercyjnych twórców

Panek tworzy z tego cykl o prokuratorze Bilskim, którego gra Jakub Gierszał. Wcześniej były „Kolory zła: czerwień". Oba filmy to adaptacje powieści Małgorzaty Oliwii Sobczak. W tym filmie Bilski w następstwie poprzedniego śledztwa zostaje karnie przeniesiony na prowincję, do kaszubskiego miasteczka. Okazuje się, że dwa lata temu zniknął tam mały chłopiec. Teraz sytuacja się powtarza. Dotyczy syna pisarki kryminałów, pochodzącej stąd, która właśnie wróciła na stare śmieci. Zaczynają się poszukiwania i wyścig z czasem, aby skutecznie wytypować sprawcę.

Intryga kryminalna jest budowana zgrabnie, wtopiona w realia prowincji. Jeśli ktoś wpatrzy się uważniej, zauważy fabularne luki i nawet nieprawdopodobieństwa. Ale żwawo biegniemy od suspensu do suspensu.

Gierszał gra sympatycznego bohatera, pozbywa się nawet do pewnego stopnia swojego naturalnego chłodu, choć jego postać nie jest przesadnie skomplikowana. Mamy też galerię postaci drugoplanowych z dwoma wyjadaczami na czele: Robertem Gonerą (komendant policji) i Andrzejem Chyrą (szef prokuratury). Nawet w epizodach pojawiają się wytrawni aktorzy, choćby sędziwy Zdzisław Wardejn, który po raz któryś staje się miejscowym księdzem.

Czy coś mi w tym nie zazgrzytało? Może za mocno, by tak powiedzieć. Ale w opowieści ujawnia się nie tyle typowość historii kryminalnych z prowincji, ile pasja naszych artystycznych elit. Nie spoilerując nadmiernie, śledztwo dotyka monstrualnej afery pedofilskiej. Oczywiście musi ona wikłać miejscową parafię, choć łagodniej, niż można by się tego spodziewać. Sugestię, że zło czai się za fasadą miejscowego dziecięco-młodzieżowego chóru przykościelnego, odbieram jako łatwiznę.

Zmierzyć się z tym musi bohater odpowiednio przygotowany ideowo. Pan prokurator, sceptyczny i nonszalancki, do księdza zwraca się per „pan". Nie może choć trochę wierzyć w Pana Boga. W zestawieniu z innymi filmami o podobnej tematyce jest to nawet niezbyt nachalne. Zastanawiam się jednak, czy możliwe byłoby nakręcenie filmu – choćby kryminalnego – o odwrotnych wektorach, z innym bohaterem. I nie bardzo w to wierzę.

To się nazywa „potęga stereotypu". I jeszcze przekonanie o podszyciu polskiej – w tym przypadku kaszubskiej – prowincji zabobonem. To akurat dość zręcznie obsługuje akcję, będąc źródłem dodatkowej, zresztą nie bardzo potężnej, grozy. Ciekaw jestem skądinąd, jaka jest prawda. Czy w kaszubskich miasteczkach rzeczywiście wciąż zna się legendy o wampirach?

Powtórzę: kryminał zręczny, a przecież nieniosący za sobą – poza banalnym rozdaniem ról, także w przekonaniu, że na prowincji dopiero są kliki – jakiegoś mocniejszego przesłania. W przeszłości Panek kręcił filmy bardziej niezwykłe. Zwłaszcza „Daas" z 2011 r., w którym zręcznie i efektownie, z pewną dozą erudycji, choć w cokolwiek spiskowym duchu, roztrząsano tajemnice lidera XVIII-wiecznej sekty, Jakuba Franka, wędrując swobodnie od dworu księżnej Czartoryskiej w Łańcucie po dwór cesarski w Wiedniu. Albo „Wilkołak" (2018), w którym efekty horroru zostały wbudowane w budzącą autentyczną grozę opowieść o dzieciach wojny zwolnionych z niemieckiego obozu.

Tu mamy zręczne rzemiosło, ale nie zaglądamy za kulisy istotnej tajemnicy. Taki bywa los reżyserów i ja to nawet rozumiem.

Piotr Zaremba

Fot. Netflix

„Lęk” – o pustce śmierci

Film „Lęk” Sławomira Fabickiego widziałem na festiwalu w Gdyni w 2023 r. Teraz przypomniała go TVP Kultura. Rozumiem dyskusję o eutanazji. Można uważać tę drogę za akt szczególnego współczucia. A jednak przeraźliwy chłód tego obrazu kojarzy mi się z pojęciem cywilizacji śmierci

Fabuła tego filmu jest szczątkowa. Dwie siostry jadą do Szwajcarii. Jedna, grana przez Magdalenę Cielecką, jest śmiertelnie chora, więc druga (Marta Nieradkiewicz) wiezie ją do specjalnej kliniki, aby sama mogła zadać sobie śmierć. W Szwajcarii eutanazja jest częściowo legalna. Można wspomóc samobójcę, choć sam lekarz nie może go uśmiercić.

Zostawię kwestię,, na ile precyzyjnie to pokazano. Na dodatek siostry nie są sympatyczne, roztaczają wokół siebie klimat dziwnych antymęskich toksyczności. Ale to w sumie drugorzędne, nie oczekuję od kogoś, kto podejmuje takie decyzje, że będzie miły.

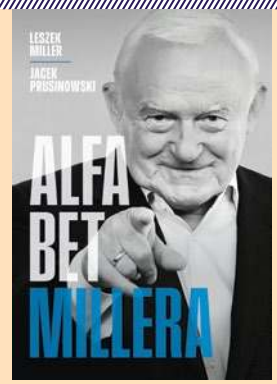
Przeraziła mnie zimna pewność, że „tak trzeba”, choć przyjmę do wiadomości, gdy ktoś mi odpowie, że nie byłem w takiej sytuacji, więc moja zdolność oceny jest ograniczona. Życie duchowe sióstr zostało pokazane jako dość puste, jakby wydrążone. Sprowadzenie zaś finału do paramedycznej, bardzo sformalizowanej procedury wydało mi się odstręczające. Przy czym reżyser nie podsuwał nam tylko dylematu czy pytania. Fabicki ogłaszał podczas spotkania z widzami, że pokazał nam fundamentalną gwarancję wolności. Pamiętajmy: każda taka konkretna historia toruje drogę zmianom w podejściu do ratowania czy podtrzymywania życia.

Ta moja spóźniona recenzja nie jest głosem za żadnym alternatywnym rozwiązaniem. Po prostu jestem wychowany w innej cywilizacji i nie zmienię tego. Zresztą nie zamierzam.

Choć film był chwalony, nie dostał nagrody. Mam wrażenie, że to ten typ doświadczenia, które zobowiązuje „postępowców za wszelką cenę” do komplementów. A potem chcą o nim jak najszybciej zapomnieć.



Fot. Monolith Films



„ALFABET MILLERA” – LEKCJA UNIKÓW

„Alfabet Millera” to naturalna konsekwencja drugiego życia tego polityka. Leszek Miller, dawny lider SLD i były premier, powrócił na komentatorską scenę, kiedy stał się dyżurnym krytykiem Ukrainy. Tyle że książka mnie rozczarowała. Nawet nie dlatego, że te jego zaangażowania oceniam krytycznie

A szkoda, zwłaszcza że Jacek Prusinowski, dziś w Kanale Zero, to sumienny i otwarty na różne racje dziennikarz. Skądinąd pamiętajmy: w takim wspólnym przedsięwzięciu, jak wywiad rzeka, pozycja jego bohatera jest mocniejsza niż tego, kto prowadzi rozmowę. Może odrzucić jej dowolny wątek, potem może okroić całość podczas autoryzacji. Czy tak było?

Chyba bardziej wciągająca byłaby linearna rozmowa o życiu i karierze twardziela z PZPR, potem z postkomunistycznej lewicy. Zgodnie z formułą „alfabetu” wybrano wiązankę dość przypadkowych haseł, więc skaczemy po różnych odcinkach drogi polityka. Mamy tylko jeden rozdział pod tytułem „Ukraina”. Skądinąd mało drapieżny – może dlatego, że Miller co drugi dzień mówi o tym w mediach. Poza tym ten wątek pojawia się przelotnie. Dowiadujemy się, że Leszek Miller nie utrzymuje dziś kontaktów z Donaldem Tuskiem, bo różni ich stosunek do spraw ukraińskich. Poza tym jednak dawny premier ceni obecnego za niemal wszystko. Trochę dotykamy ocen PRL. I tu – czy Miller mówi o Edwardzie Gierku, czy o Wojciechu Jaruzelskim, czy o papieżu Janie Pawle II – dostajemy garść dobrze znanych banałów o państwie, którego nie wybieraliśmy i któremu powinniśmy służyć. Za to żadnych tajemnic zza kulis końcowego okresu tamtego ustroju, które Miller znał zapewne dobrze.

Nie ma nawet zamarkowanych kontrowersji wokół tematów, dla których Miller przez lata był traktowany jako figura groźna. Pożyczka moskiewska pojawia się dwukrotnie, ale jako niemal dygresja, coś oczywistego, co polityk z łatwością zbywa. Równie banalnie objaśnia aferę Rywina. Kiedy pojawia się bilans jego rządów z lat 2001–2004, nie słyszymy tezy, że zaczynało powstawać państwo mafijne. A przecież zderzenie Millera z pytaniem o to mogłoby wyzwolić choćby emocje, których próżno szukać w tej książce.

Co gorsza, nie wykorzystano też daru opowiadania anegdot, który cechuje tę postać. Słuchałem kiedyś jego krwistych opowiastek o Włodzimierzu Cimoszewiczu. Mamy hasło „Cimoszewicz” i same poprawne komplementy. Możliwe, że 80-letni Miller sam tak to ustawił. Ze szkodą dla produktu.

Nie zmienił się tak bardzo, jak sądzą niektórzy. Jego głównym wrogiem nadal jest Zbigniew Ziobro, nadal rutynowo walczy z PiS, nawet jeśli o Kaczyńskich mówi z pewnym respektem. Sygnałem przemiany są narzekania na Unię Europejską – za politykę migracyjną i klimatyczną. Tu z kolei zabrakło pytania o to, że jako europoseł z listy wspólnej KO głosował za obiema. Jak na drapieżnika pozostał zaskakująco konwencjonalny. Kluczowe tajemnice zabiera ze sobą.



Piątkowa kuracja

Maciej Walaszczyk

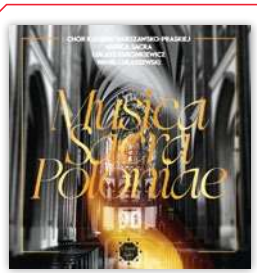
O festiwalu Open'er nie ma sensu pisać. Niech pokolenie młodych pokemonów i organizatorzy męczą się tam ze swoją kiepską muzyką i samymi sobą. Tym jednak, co kompletnie wykroczyło poza jego formułę, był wyczekiwany od kilku już lat koncert The Cure. Zespół i liczna publiczność z pewnością na długo go zapamiętają. Występ potwierdził format Roberta Smitha, Simona Gallupa, Rogera O'Donella i Jasona Coopera jako wciąż pełnych twórczej werwy ikon nowej fali. Gatunku, który odcisnął piętno na duszach pokolenia lat 80. i 90., poruszając ich mroczne, często pełne niepokoju młode serca. Ci zdominowali publiczność koncertu, odbywającego się dodatkowo w warunkach sztormowych. Mimo iż silny i zimny wiatr momentami rozrzucał dźwięki na wszystkie strony, to deszcz i ołowiane chmury idealnie wpasowywały się w nastrój tego wieczoru.

Zespół brzmiał rewelacyjnie, a grał tak, jak grało się kilkadziesiąt lat temu: z serca i trzewi. Zabrakło niestety reprezentantów ostatniej płyty „Songs of a Lost World", choć w zamian publiczność została obficie uraczona piosenkami z „Disintegration", z której – oprócz majestatycznie odegranego utworu tytułowego – usłyszeć można było otwierający słynny album i gdyński koncert „Plainsong", wpasowany wręcz idealnie w aurę tego dnia. Były też pastelowe „Pictures of You", „Prayers for Rain", „Lullaby" czy wielki hymn o miłości do kobiety: „Lovesong". „Kable nie działają, bo scena jest zalana, a my umrzemy tu lada chwila porażeni prądem" – żartował Smith, tłumacząc dyskretnie, dlaczego musieli skrócić koncert. Nie usłyszeliśmy więc „Close to me" czy sarkastycznie tanecznego „Why Can't I Be You?". Ale i tak przez ponad dwie godziny z postpunkowego skarbca wysypały się liczne perełki, m.in. „Play for Today" przechodzący w odliczony z charakterystycznym dudnieniem basu Gallupa spacer przez tajemniczy las – „A Forest", szalone „In Between Days", porażające „A Night Like This" czy zestaw kapitalnych utworów z płyty „Wish" z rozgrzewającym „Friday I'm in Love" na czele. Z epoki punka ostało się tylko „Boys Don't Cry". Bo nawet w taką pogodę molowe tonacje z epoki „Pornography" pozostają zamknięte na cztery spusty – żadnej depresji, autodestrukcji i końca świata. Chłopaki nie płaczą!

The Cure, Open'er Festival, Gdynia, 3 lipca 2026 r.

Polska pieśń sakralna

Penderecki, Górecki, Panufnik, Kilar czy Lutosławski na jednej płycie, a do tego będącej rodzajem pielgrzymki w kierunku całkiem przeciwnym od napierającego zewsząd zgiełku świata. Tym bowiem, co podtrzymuje porządek społeczno-religijny, jest rytuał, a on, tak jak ta muzyka, wiedzie nas ku *sacrum*. Słyszymy piękne, polskie współczesne pieśni sakralne wykonywane przez Chór Katedry Warszawsko-Praskiej, uzupełniane tylko incydentalnym akompaniamentem fortepianu lub kościelnych organów. Zespół pod kierownictwem Pawła Łukaszewskiego, zarazem jednego z kompozytorów („Pie Jesu" z Requiem), w tym roku otrzymał nagrodę Stowarzyszenia Wydawców Katolickich Feniks. Przygotowany przez nich zbiór tworzy coś w rodzaju krótkiej antologii 12 XX-wiecznych pieśni sakralnych. O bardzo różnej stylistyce, ale głęboko zakorzenionych w tej muzycznej tradycji. Całość jest warta uwagi nie tylko ze względu na kompozytorów, lecz także autentyczną spójność, prowadzącą ku modlitewnej kontemplacji, wprost w mury naszych kościołów i katedr.



„Musica Sacra Poloniae", Chór Katedry Warszawsko-Praskiej Musica Sacra i Paweł Łukaszewski, Opus Series 2025

Słyszymy więc liczne pieśni maryjne, m.in. przywodzącą skojarzenia z uwspółcześnionym chorałem i wokalną polifonią „Ave Maria" Stanisława Morynia, tradycyjną „Zdrowaś bądź Maryja" w transkrypcji Henryka M. Góreckiego, przejmującą „Inviolata" wybitnego kompozytora Mariana Sawy czy muzyczny hołd Andrzeja Panufnika, złożony tuż przed śmiercią w 1990 r. utrwalonemu w gotyckiej rzeźbie wizerunkowi Matki Boskiej Skępskiej. Ten piękny, eufoniczny utwór napisany do słów wiersza modlitwy Jerzego Pietrkiewicza potęguje nastrój religijnej ekstazy i wielkiej tęsknoty za Polską. Słyszymy też bardzo nietypowy dla Witolda Lutosławkiego „Lord Tennyson Song" i w końcu fragmenty różnych mszy, np. „Sanctus" z „Missa brevis" Pendereckiego czy na koniec „Dona nobis pacem" Kilara, będącą fragmentem Credo z „Missa pro pace", skomponowanej na 100-lecie Filharmonii Narodowej. Utwór tchnie duchem średniowiecznej muzyki kościelnej – mnisiej, ascetycznej i sprawiającej, że nasza myśl kieruje się ku samej górze. W muzyce nie szukamy gorączkowo tego, co nowe, ale tego, co jest w niej dobre.

Maciej Walaszczyk

eprasa.pl 11e7e24d55

Dział przygotowywany we współpracy z miesięcznikiem GAZETA BANKOWA

Pobierowo, czyli hotel prawie jak każdy... Gołębiewski



Jeśli nigdy nie zgubiliście się w labiryncie korytarzy jednego z hoteli Gołębiewski, jeśli nie zdarzyło wam się w życiu zjeść śniadania w towarzystwie 300–400 osób raczących się wspólnie kilkudziesięcioma daniami w stylu all inclusive, jeśli nie wybraliście się dotąd na piekielnie drogi weekend w Wiśle, Karpaczu lub w Mikołajkach – trudno będzie wam zrozumieć fenomen Pobierowa



MACIEJ WOŚKO

W tej niewielkiej miejscowości w województwie zachodniopomorskim dosłownie na brzegu Bałtyku powstał hotel, który od samego początku budził i wciąż budzi kontrowersje, wśród których zachwyty mieszają się z atakami w mediach społecznościowych, radosne piski najmłodszych z kąśliwymi komentarzami części gości. Jedno jest pewne – Hotel Gołębiewski w Pobierowie już stał się fenomenem polskiego rynku turystycznego, podobnie jak poprzednie inwestycje rodziny, która wiele lat temu w Mikołajkach zbudowała pierwszy taki obiekt w Polsce. Obiekt, bo to nie tylko hotel – to centrum rozrywki dla całej rodziny, centrum konferencyjne, pakiet atrakcji dla gości w każdym wieku i... nie na każdą kieszeń. Ale po kolei.

BARDZO DROGA I DŁUGA INWESTYCJA

Niestety Tadeusz Gołębiewski nie doczekał otwarcia inwestycji swojego życia. Twórca największych polskich hoteli zmarł w czerwcu 2022 r., a pobierowski hotel raportował w tym

Fot. Gołębiewski Pobierowo/Facebook

eprasa.pl 11e7e24d55





Fot. Gołębiewski Pobierowo/Facebook

czasie kolejne opóźnienia i problemy z finansowaniem rozpoczętej w 2018 r. budowy. Po drodze była pandemia, załamanie na rynku hotelarskim i skokowy wzrost cen w budownictwie.

Wizja Tadeusza Gołębiewskiego, podobnie jak historie pozostałych hoteli grupy – w Karpaczu, Mikołajkach, Białystoku i Wiśle – są obecne także w nadmorskim Pobierowie. To projekt życia człowieka, który w 1966 r. w Wołominie zaczął produkcję ciastek, wafelków i paluszków. Polacy poznali firmę Tago dzięki ciastkom do kawy w Warsie, wafelkom dostępnym w każdym właściwie sklepie od lat 90. XX w. No i oczywiście były i do dziś są dostępne we wszystkich hotelach Gołębiewski Holding. Tak jak książki z historią polskiego „american dream" pana Tadeusza oraz podświetlane witryny z historią rodziny i inwestycji Gołębiewskich.

„Za każdym hotelem, decyzją i wielkim planem Tadeusza Gołębiewskiego stał dom. Nie zawsze widoczny z zewnątrz, a jednak najważniejszy. To tam wracał człowiek, który przez całe życie budował miejsca dla innych. Tam był mężem, ojcem i dziadkiem: czasem milczącym, czasem żartującym, jednak zawsze obecnym na swój sposób"

> Jeśli ktokolwiek szuka w wakacje ciszy, spokoju czy samotnych spacerów brzegiem Bałtyku, nie znajdzie ich w Pobierowie. Tu słychać nawoływania dzieci, okrzyki radości najmłodszych, wezwania rodziców. A także dźwięki basenowych treningów z coachami, wodnych aerobików i popisy DJ-ów

– czytamy na jednej z tablic, które gościom przybywającym do Pobierowa mają wyjaśnić, skąd wzięła się wizja hotelu będącego ukoronowaniem inwestycyjnej przygody Tadeusza Gołębiewskiego.

Gdy zmarł w 2022 r., w branżowych mediach najczęściej padało pytanie o to, co będzie dalej z hotelami, które znało pół Polski. I co będzie dalej z wciąż budowanym Pobierowem. Dziś hotelami Gołębiewski Holding zarządza syn pana Tadeusza, Jarosław, a wiceprezesem grupy jest Konrad Gołębiewski Piekut, siostrzeniec obecnego prezesa. Sieć największych polskich hoteli pozostała zatem rodzinnym biznesem, a hotele – rodzinnymi miejscami zabawy i wypoczynku. Pobierowo otwarto oficjalnie 26 czerwca br., choć pierwszych gości hotel przyjął już 10 czerwca.

TO NIE JEST HOTEL NA CICHY URLOP

Do Pobierowa – dzięki otwartej właśnie drodze ekspresowej S6 – dotrzeć można sprawnie praktycznie z każdego miejsca w Polsce. Białą bryłę hotelu Gołębiewski widać z odległości 10 km. Stoi nad samym morzem. Z wyjściem wprost na plażę i na promenadę wzdłuż wybrzeża. Przed hotelem fontanna – tak jak w Mikołajkach i Karpaczu. Potężny parking, na którym obok Mercedesów i Tesli stoją stare Kadetty i zjeżdżone Škody. Tablice rejestracyjne z całej Polski i, co może dziwić, te z Niemiec oraz Czech to wyjątki.

Przed wejściem gości wita pracownik hotelu. Wszystko ma robić wrażenie luksusowego all inclusive – wózki na bagaże, recepcja i jak w innych hotelach Gołębiewski – ogromne akwarium. No i oczywiście pokoje. Te standardowe są spore – 60 m². Każdy z balkonem, garderobą i pokojem kąpielowym. Im wyżej, tym drożej, bo apartamenty zlokalizowano na wyższych kondygnacjach. Notabene dwa najwyższe piętra wciąż są w budowie, podobnie jak jedno ze skrzydeł potężnego hotelu.

W tym sezonie do użytku oddano 532 dwuosobowe pokoje, co daje możliwość przyjęcia ponad 1 tys. osób. Docelowo hotel będzie dysponował 1240 po-

Autopromocja

eprasa.pl 11e7e24d55

kojami, łącznie będzie mógł przyjąć ponad 3 tys. osób. Bo Gołębiewski faktycznie przypomina ogromny wycieczkowiec, który przybił do portu i kusi ciekawskich gapiów obietnicą wspaniałych atrakcji. I poniekąd spełnia tę obietnicę.

Kino, restauracje, bary, sale konferencyjne i bawialnie dla dzieci, baseny wewnętrzne i zewnętrzne, zjeżdżalnie, dzika fala, sauny, jacuzzi, grota solna – wszystko obliczone na spory tłum turystów, których wciąż nie ma tak wielu. Do kompletu daleko, więc można korzystać z wszystkiego do woli, do czego zachęcają liczne animatorki i trenerzy. To rzuca się w oczy – liczba osób obsługujących gości, sprzątających, zajmujących się dziećmi, gastronomią, zajęciami sportowymi, ratowników jest imponująca. Jak poinformowało nas biuro prasowe Gołębiewski Holding, w tym roku Pobierowo zatrudnia już 320 osób, w przyszłości na pewno będzie ich więcej. Wrażenie, że dzięki hotelom Gołębiewski żyje cała okolica, jest dość charakterystyczne dla tej sieci.

Hotel w Mikołajkach, który powstał w 1991 r. i był pierwszym obiektem z własnym parkiem wodnym, stawiającym na wspomniany już standard plus, zmienił okolicę. W Gołębiewskich na Mazurach, w Karpaczu i w Wiśle pracują uczniowie szkół gastronomicznych i hotelarskich. Co istotne, wszystkie hotele są obiektami całorocznymi, bo zapewniają atrakcje bez względu na porę roku i pogodę. I co ważne, atrakcje głównie dla najmłodszych – od placów zabaw z opieką animatorów po baseny ze zjeżdżalniami, brodzikami i dziką rzeką, czyli znane już Tropikany.

„Pierwszy hotel stał się więc czymś więcej niż inwestycją. Wysokie lobby, restauracje, pokoje i widok na jezioro miały dawać komfort, ale bez chłodnego dystansu. Gość miał być przyjęty serdecznie, szybko i z szacunkiem. Dzieci miały mieć zajęcie, dorośli chwilę wytchnienia, a wszyscy razem wspomnienie miejsca, do którego chce się wracać" – czytamy na tablicy w holu Pobierowa, poświęconej inwestycji w Mikołajkach.

I to też doskonale charakteryzuje ten nadmorski hotel. Jeśli ktokolwiek szuka w wakacje ciszy, spokoju czy samotnych spacerów brzegiem Bałtyku, nie znajdzie ich w Pobierowie. Tu słychać nawoływania dzieci, okrzyki radości najmłodszych, wezwania rodziców. A także dźwięki basenowych treningów z coachami, wodnych aerobików i popisy DJ-ów. I wygląda na to, że jest spora grupa chętnych na takie atrakcje, bo przy śniadaniu w Restauracji Czerwona spotkać można zarówno pary emerytów, grupy roześmianych koleżanek, jak i całe wielopokoleniowe rodziny. I najwyraźniej nikogo nie odstraszają opisywane w mediach społecznościowych wysokie ceny rezerwacji. Znając obowiązujące od lat cenniki weekendów w Wiśle, Mikołajkach i Karpaczu, chyba nikogo nie dziwią.

Sprawdziliśmy, bo ceny są elastyczne i zmieniają się w zależności od terminów, liczby gości czy dni tygodnia. Cena jednego noclegu w Pobierowie dla dwóch osób z soboty 1 sierpnia na niedzielę 2 sierpnia to wydatek rzędu 1 851,63 zł. W tym jest śniadanie i jeden posiłek (obiad lub kolacja). Ta sama noc w Wiśle będzie nas kosztować 1 349,71 zł, a w Karpaczu – od 1 377,52 zł. Ceny w ofercie bezzwrotnej sa zamieszczone na stronach hoteli.

KSIĄŻULO, CZYLI KLIMA NIE DZIAŁA

„Kontrowersyjny" – to słowo najczęściej można było usłyszeć w reakcji na wiadomość, że wybieramy się do Pobierowa. Dlaczego? Czy sprawiły to sądowe przygody wójta i urzędników gminy Rewal? Czy chodziło o zagospodarowanie terenu po jednostce wojskowej, na której powstał hotel? A może jego rozmiar lub cennik? Skąd. Kontrowersyjna okazała się wizyta youtubowego celebryty. Takim niewątpliwie jest Książulo, od lat z sukcesami oceniający głównie polskie kebaby. Ale jego ocena pobierowskiego hotelu stała się początkiem jednej z najgorętszych zadym w social mediach w ostatnim czasie, o której informowały media od Bałtyku po Tatry.

Film Książula z pokoju w Pobierowie, w którym nie działała klimatyzacja, w ciągu tygodnia obejrzało 3,7 mln widzów. Wideo youtubera przedstawia notabene więcej „niefajnych" sytuacji, z którymi w pierwszym weekendzie po otwarciu obiektu musiał się zmierzyć influencer czekający długie minuty na połączenie z recepcją czy mierzący się z brakiem suszarki Dyson. Książulo już w pierwszych minutach filmu mówi wprost: „Nie wiem, dla kogo jest ten hotel. Może dla kogoś, kto bardzo lubi Bałtyk, nie lubi latać samolotem, może dla starszych osób, które nie chcą tak bardzo oddalać się od domu".

No i sprawdził. Jedzenie mu nie smakowało, room service był drogi (50 proc. zamówienia, nie mniej niż 100 zł, co wyraźnie wyświetla się na ekranie w pokoju) i do tego ta klimatyzacja. Nie działała. I to w najgorętszy weekend czerwca, a może nawet tego lata. Słabo. 3,7 mln widzów dowiedziało się jednak, że jest taki hotel. I że już działa, choć klima... nie działa.

Takiego otwarcia – przyznać trzeba – nie miał dotąd żaden obiekt turystyczny. Co więcej, tydzień po emisji filmu goście w Pobierowie na własnej skórze sprawdzali wytknięte przez youtubera niedostatki. I jeśli były, to zniknęły. Klima działa. Jedzenie jak w każdym Gołębiewskim – smaczne, choć poszukiwanie w ogólnej gastronomii smaków z Ritza należy nazwać raczej nadinterpretacją lub zbyt wysokimi oczekiwaniami. Tak czy inaczej – wyglądało na to, że z potknięcia na starcie wyciągnięto wnioski i hotel ruszył w rejs.

Stąd informacja, która pojawiła się kilka dni później, że Książulo otrzymał rzekomo zakaz wjazdu do hoteli Gołębiewski, była cokolwiek niezrozumiała. „Rzekomo", bo prezes Jarosław Gołębiewski zdementował informacje youtubera i zaprzeczył, że taki zakaz został wydany. Tymczasem Książulo próbował zarezerwować pokój w jednym z hoteli na lipiec i nie udało się. Opublikował też wewnętrzny list, który miał trafić do wszystkich hoteli holdingu. A czego najbardziej żałował, gdy dowiedział się o tym rzekomym zakazie? Tropikany! Basenów i zjeżdżalni w kształcie cebuli, którą pamiętał z Mikołajek jeszcze z dzieciństwa. Jak to było? „Dzieci miały mieć zajęcie, dorośli chwilę wytchnienia, a wszyscy razem wspomnienie miejsca, do którego chce się wracać".



NOWOŚĆ! PRENUMERATA PRZEZ InPost

Zamów na: prenumerata.sieciprawdy.pl/oferta/inpost

CO ZYSKUJESZ?

Płacisz mniej niż w kiosku – tylko 9,40 zł za egzemplarz (w kiosku to 13,90 zł)

eprasa.pl 11e7e24d55



MICHAŁ WITKOWSKI*

Rajski świat sprzed wielu lat

Egzotyczne krajobrazy, rajskie ptaki oraz motywy architektoniczne inspirowane różnymi zakątkami świata – uwiecznione na XIX-wiecznych tapetach panoramicznych – na chwilę zaprezentowały się mediom w pełnym świetle (bo na co dzień panuje tu bezpieczny dla dekoracji półmrok). Odkryte dwa lata temu pod tkaninami dawnego Salonu Malinowego w skrzydle północnym Pałacu Króla Jana III Sobieskiego w Wilanowie, teraz są poddawane zabiegom konserwatorskim.

Pochodzące ze słynnej serii „Eldorado", wyprodukowane przez francuską manufakturę Zuber, przedstawiają wyidealizowane pejzaże czterech kontynentów.

– Tutaj mamy Afrykę, jakiś obiekt z okresu imperium rzymskiego, ale też część egipskiej kolumny – opowiada konserwator Michał Witkowski, zabierając nas w niecodzienną podróż. – Następnie przesuwamy się w stronę Azji, którą reprezentuje nie tylko inna roślinność, lecz także architektura, m.in. meczety. Potem widzimy Europę, najprawdopodobniej włoski pejzaż ogrodowy. I kolejny pejzaż – alpejski – z ruinami zamku. W pustym dziś miejscu znajdował się panel z przedstawieniem Ameryki Południowej. Z tej części tapety został tylko jeden wąski pasek, bardzo zniszczony, ale możemy na nim rozpoznać olbrzymie liście egzotycznej roślinności.



W połowie XIX w., gdy Wilanów należał do rodziny Potockich, właściciele zdecydowali się na rozbudowanie rezydencji o nową część północnego skrzydła. Powstała według projektu Franciszka Marii Lanciego. Kamień węgielny wmurowano w maju 1850 r., a już dwa lata później wnętrza zyskały nową aranżację. W pomieszczeniu, w którym odkryto panoramiczne widoki, zaplanowano najprawdopodobniej pokój jadalny.

Tapeta (złożona z 24 brytów, czyli wąskich pasów długości ok. 3 m) przyjechała do Wilanowa z Alzacji. Gdy się uważniej przyjrzeć, wśród bujnej roślinności można dostrzec nazwę firmy w odbiciu lustrzanym, datę 1849 i zręcznie ukrytą sygnaturę projektantów.

W latach 60. ub.w. podniszczoną dekorację przykryto obiciami (jak pokazuje dokumentacja konserwatorska, rozważano też jej usunięcie).

– Od połowy ub.w. prowadzono prace przystosowujące rezydencję do celów zarówno muzealnych, jak i przyjmowania oficjalnych zagranicznych gości – przypomina konserwator. – Pałac był obiektem rządowym. Tutaj zatrzymywały się państwowe delegacje. Z jedną z pierwszych przybył prezydent Charles de Gaulle w 1967 r.

Rajskie pejzaże były już wtedy schowane pod malinowym obiciem. Natrafiono na nie dwa lata temu, podczas (rozpoczętych w 2021 r.) prac konserwatorskich.

– Po sondażowych odkryciach podjęliśmy decyzję o całkowitym zdjęciu tkanin. Okazało się, że konserwatorzy sprzed kilkudziesięciu lat pozostawili nam, zabezpieczone przez nich, przy użyciu ówczesnej technologii, tapety – opowiada Michał Witkowski. – Przyznane przez MKiDN 3 mln zł pozwoliły zaplanować kompleksowe prace konserwatorskie. Nie tylko tego pomieszczenia, lecz także sąsiednich i nie tylko przy tapetach, ale przy całej dekoracji – plafonach, sztukateriach i drewnianych boazeriach.

Finał prac jest planowany na koniec 2028 r., a już teraz można zwiedzać – udostępnione w skrzydle północnym (w połowie maja br.) – m.in.: Galerię Obrazów „Muzeum" zwaną, Galerię Krajobrazów czy Sypialnię Pani, która znajduje się tuż obok pokoju z tapetami.

Jolanta Gajda-Zadworna
** konserwator papieru i historyk sztuki Muzeum Pałacu Króla Jana III w Wilanowie*

Fot. Katarzyna J. Kowalska/Muzeum Pałacu Króla Jana III w Wilanowie

eprasa.pl 11e7e24d55



SŁODKO-SŁONY

Gorąca jambalaya

ANNA MONICKA

Jambalaya – brzmi jak nazwa tańca, ale to smakowite i pachnące danie z Luizjany. Narodziło się w czasach kolonialnych, lecz ma wiele wspólnego z hiszpańską paellą, którą osadnicy z Półwyspu Iberyjskiego próbowali odtworzyć na nowym kontynencie, wykorzystując składniki i smaki karaibskie, francuskie czy hinduskie. Nowy Orlean zajada się wersją kreolską z pomidorami. Podpatrzyłam ją w filmie o weteranie armii amerykańskiej, który przemierza ze swym psem pół Stanów Zjednoczonych, by odnaleźć dziewczynę ze zdjęcia, wierząc, że to ona uratowała mu życie w czasie misji bojowej w Iraku. Przy okazji znajduje oczywiście sens życia i miłość. Niby banalne romansidło, w sam raz na wakacyjny wieczór, ale miło się oglądało Zaca Efrona sprzed lat, czyli z normalną szczęką, i pichcącą jambalayę Taylor Schilling. No i muzyka, zwłaszcza genialna Brandi Carlile i jej ballada „The Story" z wokalem, od którego robi się gęsia skórka i pięknym, mądrym tekstem. Znajdźcie sobie ten kawałek w sieci i przygotujcie jambalayę – na chłodne letnie dni może się okazać idealnym wyborem.

Najpierw na oliwie na dużej głębokiej patelni podsmażamy pokrojone w plastry pęto kiełbasy (najlepiej wyrazistą chorizo). Gdy będzie gotowa, wyjmujemy ją na talerz i wrzucamy pokrojoną w paski pierś posolonego kurczaka, krótko smażymy i wyławiamy. Na pachnący tłuszcz wrzucamy teraz pokrojoną łodygę lub dwie selera naciowego, zieloną paprykę, cebulę (czyli tzw. Świętą Trójcę kuchni kreolskiej) z czosnkiem, podsmażamy kilka minut i dodajemy przyprawy – listek laurowy, wędzoną paprykę, tymianek, oregano. Wrzucamy podsmażone mięso i wsypujemy dwie szklanki ryżu (długoziarnistego, wypłukanego na sicie i przesuszonego), podsmażamy i gdy ziarna będą powleczone sosem, ostrożnie wlewamy 2 puszki pokrojonych pomidorów, dodajemy bulion warzywny (mniej więcej 2 szklanki – w sumie proporcje ryżu do płynów powinny wynosić 1:1,5), mieszamy, zmniejszamy ogień i nakrywamy pokrywką. Ten etap trwa kilkanaście minut, by ryż wchłonął płyn, ale się nie rozgotował. Pod koniec na wierzchu układamy krewetki i delikatnie mieszamy, aby się ładnie ścięły, ale nie były gumowate. Podajemy oprószone pieprzem, skropione tabasco i posypane natką pietruszki.

Fot. Shutterstock



WILCZYM OKIEM

Paprocie

PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Paprocie (*Polypodiopsida*) to jedna z najstarszych grup roślin naczyniowych na Ziemi, istniejąca od ponad 360 mln lat. Nie wytwarzają nasion ani kwiatów, lecz rozmnażają się za pomocą zarodników. Ich delikatne, pierzaste liście (frondy) dodają lasom tajemniczego uroku, a rośliny odgrywają ważną rolę w ekosystemach.

W Polsce występuje kilkadziesiąt gatunków paproci. Przyjrzyjmy się niektórym z nich. Orlica pospolita (*Pteridium aquilinum*) rośnie na piaszczystych glebach borów i widnych lasów, tworząc dzięki podziemnym kłączom rozległe łany. Ciekawostką jest jej toksyczność – zawiera rakotwórczy ptakwilozyd, którego obecność wyklucza jej wykorzystanie.

Nerecznica samcza (*Dryopteris filix-mas*) zwana jest potocznie paprotką męską i można ją spotkać w lasach liściastych na zacienionych stanowiskach. Jej kłącza dawniej stosowano w medycynie ludowej jako środek przeciwrobaczy. Wietlica samicza (*Athyrium filix-femina*) preferuje wilgotne stanowiska i wyróżnia się delikatnymi, podwójnie pierzastymi liśćmi.

Interesującym gatunkiem jest też paprotka zwyczajna (*Polypodium vulgare*) – zimozielona roślina rosnąca na skałach i drzewach, zwana słodyszkiem ze względu na smak kłączy. Długosz królewski (*Osmunda regalis*) jest okazałą, chronioną paprocią bagienną o liściach dochodzących do 2 m długości.

W tej gromadzie wyróżniają się również podlegające ochronie dziwaczny nasiężrzał pospolity (*Ophioglossum vulgatum*) z nietypowym kłosem zarodnikonośnym, lśniący podrzeń żebrowiec (*Blechnum spicant*) czy paprotnik kolczysty (*Polystichum aculeatum*), których efemeryczna obecność w polskich lasach podkreśla ich bioróżnorodność.

Na świecie paprocie od dawna goszczą w kuchni. W Europie – z małymi wyjątkami – brak takich tradycji. Na innych kontynentach popularne są młode, zwinięte pędy (*fiddleheads*) pióropusznika strusiego (*Matteuccia struthiopteris*), w smaku przypominające szparagi lub fasolkę (w Polsce pióropusznik jest chroniony). W Ameryce Północnej i Azji Północnej gotuje się je lub marynuje. W Azji Wschodniej, zwłaszcza w Korei i Japonii, popularna jest orlica pospolita – suszone pędy (gosari) dodawane są do bibimbapu czy zup. Kłącza orlicy dostarczają skrobię i były wykorzystywane w czasach głodu. Nie naśladujmy jednak egzotycznych zwyczajów kulinarnych – pamiętajmy o toksyczności większości gatunków paproci, której pozbycie się jest bardzo skomplikowane.

eprasa.pl 11e7e24d55

3 MIŁOŚCI

Operatorzy cichej rewolucji



ROBERT TEKIELI

Zło zasiadło na katedrze. Na tronie świata siedzi grzech i każe na siebie mówić: Miłosierny. Od 2016 r. w Kanadzie usypiają staruszków dla oszczędności środków budżetowych na ochronę zdrowia. Eutanazja miała dotyczyć wyłącznie osób pełnoletnich w przypadku nieodwracalnej i ekstremalnie bolesnej śmierci. W 2021 r. rozszerzono ją na wszystkie „przewlekłe choroby lub poważne niepełnosprawności", również te bez natychmiastowego zagrożenia śmiercią. W marcu 2027 r. zostanie rozszerzona na wszystkie „choroby psychiczne". Już teraz stanowi 5 proc. wszystkich zgonów w Kanadzie. Celebracja śmierci.

„Jedno niemieckie dziecko zużywa tyle CO_2, ile 500 afrykańskich dzieci". Dlatego Niemcy powinny zrezygnować z posiadania dzieci, aby Afrykanie się nie dusili – wzywają klimatyści. Członkowie niemieckiego ruchu Strajk Urodzeniowy starają się nie mieć potomstwa ze względu na klimat.

Niemiecka socjolog Verena Brunschweiger stwierdziła, że biali mają „moralny obowiązek" posiadania mniej dzieci i przyjmowania większej liczby uchodźców, ponieważ „zniszczyliśmy świat".

Za mówienie prawdy o aborcji wsadzono do więzienia Mary Wagner, która zabijanie niewinnych dzieci próbuje powstrzymać modlitwą i świadectwem. Pedofil w Polsce dostał od sędziego immunitet. Ścigają za to dziennikarza, który opisał kilkaset dokonanych przez niego gwałtów na małych dziewczynkach, marzących o karierze piosenkarki. W Warszawie można kupić dziecko, mężczyznę czy kobietę dowolnego odcienia skóry. Najprostsza prawda jest zakłamana dla zysku. Ludzie jedzą trociny i chemię, bo tak można zarobić 7 gr więcej.

Cywilizacja bazująca na obiektywnych pojęciach prawdy, piękna i dobra na zachód od Odry już nie istnieje. Została zmiażdżona przez serię rewolucji – od rewolucji francuskiej, poprzez bolszewicką, narodowo-socjalistyczną, feministyczną aż po trwającą od półwiecza rewolucję neomaterialistyczną, na którą składają się dwa nurty – postmodernizm i rewolucja obyczajowa. Najkrócej mówiąc: barbarzyństwo.

Niemiecki rząd szykuje projekt reformy prawa budowlanego, który daje gminom możliwość blokowania sprzedaży domu czy mieszkania osobom uznanym za „wrogów konstytucji". Wystarczyć ma podejrzenie „nieodpowiednich poglądów". Nazywa się to fachowo: „sprawdzian postawy przy zakupie nieruchomości".

Dla ludzi Zachodu Bóg nie istnieje. Po „zabójstwie" Boga naturalną koleją rzeczy było zabójstwo człowieka, jego wyjątkowości. Dziś prawa zwierząt coraz częściej są stawiane wyżej niż prawa poszczególnych ludzi. Zacierana jest granica pomiędzy człowiekiem a zwierzęciem. Stajemy się cyferkami, właścicielami kuponów promocyjnych, istotnymi jedynie dzięki sile nabywczej

W Wielkiej Brytanii można dostać pięć lat więzienia za nazwanie syna chłopcem. Genderyzm tryumfuje. Nowy projekt ustawy „Conversion Practices Bill" nie tylko grozi rodzicom pięcioma latami więzienia za mówienie dziecku, że jest chłopcem lub dziewczynką. Sądy będą mogły zabierać rodzicom dzieci prewencyjnie. Wystarczy, że ktoś uzna, iż rodzic „prawdopodobnie" będzie się sprzeciwiał ideologii gender. Tak działa barbarzyńca wewnętrzny. Jest też barbarzyńca zewnętrzny.

Francuska skrajna lewica ogłasza z dumą, że już jedna trzecia Francuzów jest pochodzenia imigranckiego. „To jest bitwa. Przegraliście bitwę ideologiczną, rasową!" – stwierdziła deputowana do francuskiego Zgromadzenia Narodowego Clémence Guetté, dodając, że sprzeciw wobec masowej niekontrolowanej imigracji to rasizm.

Po wyroku francuskiego sądu senegalski migrant Ousmane Diallo nie może być pociągnięty do odpowiedzialności karnej za morderstwo 18-letniego Théo Muxagaty. Matka zabitego chłopca powiedziała: „We Francji można zabijać bezkarnie."

„Zjednoczone Królestwo zmierza ku wojnie domowej, ponieważ rząd obawia się powstrzymać islamizację kraju" – prognozuje płk Richard Kemp, były dowódca brytyjskiego kontyngentu wojskowego w Afganistanie.

Minister spraw wewnętrznych Wielkiej Brytanii Shabana Mahmood jest radykalną islamistką: „Islam stanowi najważniejszą część mojego życia – jest siłą, która kieruje absolutnie wszystkim, co robię". Do jej kompetencji należą: polityka migracyjna, polityka azylowa, kontrola granic i nadzór nad policją. Tak, nadzór nad policją – gdyby ktoś się zastanawiał, dlaczego brytyjska policja zabójczo dyskryminuje białych.

Komendant holenderskiej policji w Amsterdamie tłumaczy bierność policji w obliczu gwałtów i burd Marokańczyków po meczu z Holandią tym, że w razie interwencji doszłoby do wojny domowej.

eprasa.pl 11e7e24d55



Fot. Ian Hamlett/Shutterstock.com

A jaka jest militarna siła państw zachodnich? Jak donosi „Süddeutsche Zeitung", właśnie rozsypał się sztandarowy projekt Bundeswehry rozmieszczenia brygady na Litwie. Nie ma chętnych żołnierzy do odstraszania Rosji na wschodniej flance NATO.

W Strasburgu, gdzie mieści się oficjalna siedziba Parlamentu UE, kończona jest budowa gigantycznego – 10 tys. m² – meczetu Eyyub Sultan. Wsparcie Unii i Jeanne Barseghian, zielonej mer, było kluczowe dla jego budowy, mimo ostrzeżeń przed zagraniczną islamistyczną penetracją. Islam rozumie, że religia spaja wspólnotę i decyduje o jej sile.

Dla ludzi Zachodu Bóg nie istnieje. Po „zabójstwie" Boga naturalną koleją rzeczy było zabójstwo człowieka, jego wyjątkowości. Dziś prawa zwierząt coraz częściej są stawiane wyżej niż prawa poszczególnych ludzi. Zacierana jest granica pomiędzy człowiekiem a zwierzęciem. Stajemy się cyferkami, właścicielami kuponów promocyjnych, istotnymi jedynie dzięki sile nabywczej. Mamy przestać się rozmnażać jako gatunek, mamy przestać być mięsożercami, bo kiedy nie ma wyjątkowości człowieka jako obrazu Boga, nie mamy większych praw do życia niż świnie. Co dopiero mówić o ślimakach z doliny Rospudy.

Nie istnieje żadna sfera duchowa, mówi Adorno. Nawet artyści nie komunikują się z żadną ponadmaterialną rzeczywistością, wiemy o świecie tylko dzięki zmysłom, twierdzi Marcuse. Mówi on również, że należy zniewieścić męskość na Zachodzie. Wyzwolić kobietę z małżeństwa i macierzyństwa. Wyzwolić siłę popędu seksualnego, z którego wywodzi się wszechświat. Schodząc na niższe tony, efektem współczesnej rewolucji neomaterialistycznej jest panseksualizacja kultury. Nowa, porewolucyjna kultura Zachodu nie tylko akceptuje, dopuszcza i toleruje, lecz także wręcz celebruje seksualne eksperymenty, kolejne zmiany i znaczną liczbę partnerów, różnorodność „orientacji seksualnych" oraz wspólne zamieszkiwanie bez ślubu. Programy edukacji seksualnej w szkołach zachęcają do rozwiązłości oraz propagują etykę wolnego wyboru w miejsce sumienia. Do pornografii mają dostęp już 8-letnie dzieci.

Konsekwencje rewolucji kulturowej widoczne są jak na dłoni: rozpad rodziny, społeczeństwa i relacji międzypokoleniowych, samotność i porzucenie osób starszych, emocjonalne problemy i cierpienie dzieci żyjących w rodzinach niepełnych i odtworzonych po rozwodzie, więcej przypadków depresji, trudności z wyborem zawodu i brak satysfakcji zawodowej, wzrost liczby samobójstw, rozpacz i brak poczucia bezpieczeństwa młodych ludzi, którzy szukają ucieczki w narkotykach, uzależniają się od gier komputerowych i portali społecznościowych.

A naszej uwadze cały czas umyka celowość rewolucji kulturowej, która, odniósłszy zwycięstwo na Zachodzie, od 30 lat atakuje Polskę. Kto bowiem pomyśli, że są częścią tego samego rewolucyjnego projektu wezwania byłego francuskiego ministra, by biali nie rozmnażali się w Europie, robiąc miejsce dla muzułmanów?

Nowożytność została stworzona przez intelektualistów. Ludzi, którzy wyjęli kulturę z rąk mnichów i powiedzieli: nieważne jak żyjesz. Ludzi, którzy potrafią pięknie dobierać słowa, nie głoszą mądrości, bo tej mądrości nie udowadniają swoim życiem.

Nowożytność usunęła Boga z kultury. Intelektualizm zaburzył hierarchię wartości. Intelektualista uczynił siebie miarą wszystkich rzeczy. Cywilizacje zbudowane są jednak na duchowościach. Punktem odniesienia wszechświata w dalszym ciągu jest Bóg, nie człowiek.

Współczesna rewolucja jest spadkobierczynią protestantyzmu ze swą totalną teologią negacji, rewolucji francuskiej, która aż po biały i czarny satanizm uwielbiła człowieka-boga, potem rewolucji masońskiej w Meksyku, gdzie już w 1910 r. rewolucyjni terroryści postanowili zniszczyć Kościół katolicki, wreszcie bolszewickiego zinstytucjonalizowanego puczu, który, zagarnął totalitarnymi metodami terytoria większe od carskiego despotyzmu oraz rewolucji narodowo-socjalistycznej w Niemczech i Austrii.

Pole do działań operatorów cichej rewolucji oczyściła praktycznie całkowita sekularyzacja Zachodu w latach 50. XX w. W tę pustkę weszły neomaltuzjanizm, przemysł aborcyjny oraz ekonomicznie uwarunkowana mentalność propagatorów aborcji, ruch LGBT+, „filozofia" gender z dywizjami misjonarzy seksedukacji, radykalny feminizm, ideologiczny ekologizm wraz z „religijnością" wegetariańską, kult multi-kulti, ideologia ocieplenia klimatu wywołanego przez człowieka, ezoteryczny i okultystyczny New Age.

Rewolucja toczy niewypowiedzianą wojnę z zachodnim ładem społecznym, używając cenzury ze swymi narzędziami: poprawnością polityczną i mową nienawiści, coraz mniej aksamitnym terrorem państwowym, postmodernistyczną rewolucją językową, promowaniem m.in. przez ONZ uderzających w państwa narodowe mechanizmów decentralizacji i regionalizacji, nowoczesnej, najczęściej bluźnierczej sztuki odbierającej piękno kolejnym pokoleniom.

A co, jeśli od klęski Kominternu cała lewica na Zachodzie jest moskiewską agenturą? Dziś również po części chińską? Jeśli świat układają nam pożyteczni idioci, moderując trendy kulturowe?

Rewolucja walczy z każdą wyrazistą tożsamością – narodową, chrześcijańską – oraz instytucją rodziny i małżeństwa. Wypowiedziała Zachodowi wojnę hybrydową, którą już wygrała. Teraz atakuje Polskę.

eprasa.pl 11e7e24d55

OGNIEM NA WPROST

O pięć za dużo



Andrzej Rafał Potocki

Relacja z frontu. W Wasyliwce na południe od Zaporoża przy brzegu dawnego Zalewu Dnieprzańskiego Ukraińcy wysadzili w powietrze most drogowy. Przez tenże most biegnie jedyna droga zaopatrzenia dla moskiewskich sił w rejonie Kamiańskiego i Stepnogórska. Co prawda na wschód od tego rejonu istnieje kilka mniejszych mostków i dróżek, ale powstaje pytanie, jaki te mostki mają udźwig, bo to kluczowe ograniczenie dla logistyki. Można też zapytać, czy możliwe jest wymuszenie na Moskalach wycofania wojska z Krymu wyłącznie w wyniku ostrzału dronowego? Cóż... Biorąc pod uwagę logistykę półwyspu, jest to realny scenariusz. Po prostu po odcięciu zaopatrzenia nie będzie szans na wyżywienie wojska. Ale to jeszcze nie oznacza odzyskania tego półwyspu. Na razie władze Krymu zapowiadają planowe wyłączenia energii elektrycznej z powodu poważnych uszkodzeń sieci.

Kacapscy blogerzy wojenni domagają się od dowódcy Floty Czarnomorskiej Aleksandra Moisiejewa, by zorganizował konwoje zaopatrujące Krym albo się zastrzelił. A dwaj wspominani tu nieraz kremlowscy propagandyści, Romanow i „Fighterbomber", pokłócili się. Romanow (Władymir Romanow) nazwał „Fighterbombera" (byłego nawigatora wojskowego lotnictwa Federacji, kpt. Ilię Tumanowa) debilem, gdyż ten publicznie ucieszył się, że na Krym dotarła dostawa dużych ilości paliwa. Dotarła i włączyła się w pracę nad globalnym ociepleniem. Siergiej Aksjonow, ruski gubernator Krymu, zapowiedział, że paliwo będzie dostępne tylko dla służb i urzędów. Osoby prywatne mają się poruszać z buta lub rowerem. Kryzys paliwowy w całej Federacji jest problemem, ale Moskale nie tracą wiary.

Wspomniany dowódca Floty Czarnomorskiej chyba potraktował poważnie ultimatum blogerów i kilka dni później wysłał na Krym całą flotę załadowaną paliwem. W ciągu następnych 72 godzin ukraińskie siły bezzałogowe uderzyły na Morzu Azowskim w 21 rosyjskich statków. Większość z zaatakowanych celów to zbiornikowce płynące na Krym. Wśród trafionych statków jest 19 tankowców, frachtowiec i prom. W momencie ataku jednostki znajdowały się na redzie portu Kercz od strony Morza Azowskiego. Potwierdzenie uderzenia widać również z kosmosu za sprawą satelitów pożarowych NASA Firms. Według danych niezależnego moskiewskiego portalu Ważnyje istorii tylko w trakcie ataku 7 lipca zniszczono transport ponad 35 tys. t paliw.

Ukry nie byliby Ukrami, gdyby skupiali się tylko na walce. Dobrzy są także w zarabianiu na boku. Państwowe Biuro Śledcze Ukrainy poinformowało o postawieniu zarzutów trzem żołnierzom, którzy próbowali nielegalnie sprzedać arsenał broni oraz ponad tonę materiału wybuchowego. Do zatrzymania doszło w chwili, gdy podejrzani ładowali broń do ciężarówki, którą miała zostać przewieziona do nabywcy. Według SBU sprawcy planowali wykorzystać pojazd ciężarowy do transportu nielegalnego ładunku. Podczas akcji funkcjonariusze zabezpieczyli ponad 700 sztuk amunicji, ok. 1,2 t plastycznego materiału wybuchowego (podejrzewam, że taką ilością semteksu można wysadzić np. jakiś wieżowiec) oraz 4 egzemplarze broni przeciwpancernej. Łączna wartość przejętego uzbrojenia i materiałów została oszacowana na ponad 2 mln hrywien. Ponieważ na Ukrainie broń to taniocha, przeliczając na złote, wyjdzie niecałe 200 tys. Małe, ale cieszy. Gdyby się udało.

Jak ustalił portal Defence24, Polska przekazała Ukrainie pięć rakiet PAC-3 MSE przeznaczonych do systemów obrony powietrznej Patriot. O pięć za dużo.

Minęła 85. rocznica mordu na polskich profesorach we Lwowie. „Kurier Galicyjski", periodyk wydawany przez tamtejszą polską diasporę, upamiętnił te tragiczne wydarzenie m.in. strofami wiersza młodopolskiego poety i majora Wojska Polskiego Artura Oppmana Or-Ota. „A po tych wszystkich, którzy szli przed nami. / Z okrzykiem: »Ojczyzno!« i z męką szaloną [...] / O, Polsko! Odmów: »odpoczynek wieczny!«". Módlmy się za profesorów lwowskich szkół wyższych oraz ich krewnych, w tym za prof. Kazimierza Bartla, trzykrotnego premiera II RP, zamordowanych 4 lipca 1941 r. na Wzgórzach Wuleckich we Lwowie. Egzekucji dokonał Batalion SS „Nachtigall" utworzony przez Niemców z ukraińskich nacjonalistów. Cześć ich pamięci!

Współpraca: ***„Skipper"***

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 11e7e24d55

***Michał Korsun prezentuje:* Radzio psoci**



Wycinki z przeszłości

W 1923 r. „Kurjer Informacyjny i Telegraficzny" alarmował o zaskakującym procederze na Mazowszu. Chytrzy „mazowieccy kmiotkowie" kusili chłopców z zakładów wychowawczych obietnicami „złotych gór", a na miejscu „zamiast swobody i przyjemności czeka ich wstawanie o świcie, praca w polu, a niejednokrotnie złe traktowanie i bicie". Rozczarowani uciekinierzy wracali do Warszawy, a werbowników ścigała policja. ***(sp)***


KURJER

Kmiotkowie mazowieccy werbują sobie murzynków

Jak kończą się eskapady chłopców z zakładów wychowawczych

Wiosna w polu. Trzeba obrobić role i ogród, zająć się bydełkiem.

Nasi mazowieccy kmiotkowie chytrzy są: szukają sposobów ulżenia sobie i swoim

w pilnych pracach wiosennych.

Jeden, drugi ogrodnik lub rolnik podmiejski udaje się w drogę do Warszawy. Pod różnymi pozorami dostaje się w pobliże jakiegoś zakładu wychowawczego, nawiązuje konszachty z chłopcami, którym

werbuje potajemnie na wieś

do siebie, obiecując, oczywiście, złote góry.

Chłopcy, wiedzeni właściwą im żądzą przygód, dają się namówić, uciekają z zakładu. Chłopek zabiera ich do siebie.

Tu jednak, zamiast swobody i przyjemności czeka ich wstawanie o świcie, praca w polu, a niejednokrotnie.

złe traktowanie

i bicie.

Kilka podobnych wypadków zdarzyło się w ostatnich tygodniach w Warszawie. Chłopcy, którzy dali się

namówić do ucieczki z zakładu,

powracali potem zbiedzeni, wymykając się swym protektorom i z żalem opowiadali szczegóły swej eskapady.

Chytrym włościanom grożą kary. Są oni już ścigani policyjnie.

Z WOLEJA

Kto ssał kokosy, czyli mundial



Ryszard Czarnecki

Jeden z najlepszych piłkarzy świata, Francuz Kylian Mbappé, po wygranym przez aktualnych wicemistrzów świata meczu z Paragwajem odmówił podania ręki bramkarzowi rywali Orlando Gillowi. Francuz sam zarabia więcej niż cała drużyna z Ameryki Łacińskiej i może kupić prawie wszystko. Ale jednego kupić nie jest w stanie: klasy.

Kiedyś mówiono: Francja – elegancja. Dzisiaj bardziej wypadałoby powiedzieć: Francja – arogancja. Reprezentant Trójkolorowych, finansowy krezus, spogląda na biedniejszych Latynosów z wysokości X piętra. Jest potwierdzeniem tezy, że można być wielkim piłkarzem i wielkim bucem jednocześnie.

Obok piłkarskiego meczu obu drużyn odbyły się mecze na słowa. Francuski napastnik, mistrz świata (1998) i Europy (2000) Christophe Dugarry, powiedział, że Paragwaj jest słaby, gra brzydko i bardzo defensywnie. Odpowiedział mu na to słynny paragwajski bramkarz José Luis Chilavert: „Z Francuzami to graliśmy na mistrzostwach świata w 1998, a teraz Paragwaj mierzy się z afrykańską drużyną". To był jednak tylko wstęp. Jego rodaczka, senator (!) Celeste Amarilla, powiedziała, co myśli o napastniku Mbappé: „Kameruńczyk wywodzący się z kolonii, rozpaczliwie próbujący uchodzić za Francuza, zgorzkniały, nowobogacki, arogancki i brzydki". Odmowę pomeczowego podania ręki paragwajskiemu goalkeeperowi pani senator skwitowała krótko: „Zamiast mleka matki ssał kokosy". Stanęła też w obronie jednego z graczy Paragwaju, którego monsieur Mbappé miał obrazić i podsumowała rodzicielkę Francuza: „Jego matka jest jeszcze gorsza. Zobacz, co wydała na świat". Trzeba przyznać, że latynoamerykańska polityk nie ulękła się krytyki, choćby mera Paryża oraz francuskich mediów, i nie skasowała wpisów.

Doprawdy na mundialu 2026 niektóre wypowiedzi są ciekawsze niż niektóre mecze. Także gesty. Po spotkaniu przegranym przez Egipt w dziwnych okolicznościach (sędzia nie odgwizdał ewidentnego rzutu karnego dla bliskowschodniej reprezentacji i zaraz po tym Argentyna zdobyła zwycięską bramkę, a wcześniej nie uznał prawidłowo zdobytego przez Egipcjan gola) jego trener skrzyżował ręce na piersiach, co jest sygnałem zachowania rasistowskiego. Ja u sędziego nie widziałem rasizmu, ale rzeczywiście aktualni mistrzowie świata cieszą się na tym mundialu życzliwością arbitrów. Tenże trener Egipcjan Hossam Hassan po wcześniejszej wygranej swojej reprezentacji manifestował radość z flagą Palestyny. Wszystko wskazuje na to, że będzie to najbardziej „polityczny" mundial w dziejach futbolu.

eprasa.pl 11e7e24d55

OD A DO ZYBERTOWICZA

Zdanie, którego nikt nie zacytował

Każda państwowa władza polityczna, demokratyczna i autorytarna, rządzi dzięki temu, że służy jakimś interesom. Krajowym i/lub zagranicznym, w różnych proporcjach. Mogą to być interesy rozwojowe, korzystne dla społecznego dobrostanu, lub pasożytujące na zasobach społecznych. O tym, którym interesom władza naprawdę służy, nie mówią jej deklaracje, lecz to, kogo karze, a kogo nie odważy się tknąć.

NAZWISKO, MACKI I ZAPACH SKANDALU

Od tygodni trwa zgiełk wokół Warszawskiego Szpitala Południowego: młody lekarz radny z 4 tys. godzin pracy rocznie i fortuną w oświadczeniu majątkowym, salonik dla polityków poza SOR, na którym zwykli ludzie czekają po kilkanaście godzin, zwolniony ordynator sygnalista. W tym zgiełku furorę zrobiła fraza Adriana Zandberga o „ośmiornicy Kierwińskiego". Cytowały ją media wszystkich barw, Sejm huczał, minister odmówił dymisji i zażądał od oponentów faktów zamiast publicystyki, a większość rządowa osłoniła go w głosowaniu. Metafora trafiła na nagłówki, bo ma wszystko, czego nagłówek potrzebuje: nazwisko, macki i zapach skandalu.

„MA BYĆ TAK, JAK BYŁO"

Tymczasem najważniejsze zdanie padło z ust tego samego polityka w tej samej rozmowie na antenie RMF FM 18 czerwca br. – i nie zacytował go, o ile widzę, nikt. Spytany, czemu tak świetnie krytykuje, zamiast rządzić, Zandberg odparł:

„My usłyszeliśmy, kiedy ten rząd powstawał, że nie ma zgody na żadne zmiany, że ma być tak, jak było, że np. patologia systemu kontraktowego zostanie utrzymana i że z żadnymi wpływowymi grupami interesu ten rząd się nie będzie konfrontować. A potem zobaczyłem, jak wygląda lista sponsorów Campusu Polska z wielkimi prywatnymi firmami medycznymi, które na tej degrengoladzie ochrony zdrowia korzystają, i szczerze mówiąc wiele rzeczy stało się dla mnie całkiem jasne".



Skandal spersonalizowany jest dla machiny medialnej niczym pokarm. Diagnoza ustrojowa jest niestrawna

Zważmy, co ta relacja wyjaśnia za jednym zamachem.

Wyjaśnia sytuację szpitala: skoro obowiązuje niekonfrontacja, to patologiczny system kontraktowy – diagnozowany publicznie od 20 lat, za wszystkich rządów i przez wszystkie te rządy nietknięty – mógł spokojnie rosnąć.

Wyjaśnia obronę ministra: rząd, który bez wahania toczy wojny o media, prokuraturę i sądy z poprzednikami, nie tyka niczego, co kosztowałoby konfrontację z własnym zapleczem. Wojna z rywalem władzę umacnia, starcie z interesami ją kosztuje.

Wyjaśnia wreszcie los sygnalisty: ordynator stracił pracę, a premier publicznie podważył jego wiarygodność, zanim ten złożył zeznania. I nie szukajmy tajnego rozkazu ochrony układu, bo taki rozkaz nie jest potrzebny. Wystarczy, że tysiące ludzi aparatu zobaczyły, co spotkało sygnalistę, a co nie spotkało ministra. Układami nie zawsze trzeba zarządzać, wydając polecenia, często wystarczy tworzenie klimatu.

USTRÓJ FAKTYCZNY

Metafora ośmiornicy oskarża człowieka. Zdanie o warunkach założycielskich nowej władzy opisuje ustrój faktyczny – kontrakt rządzenia, w którym cena objęcia władzy została zapłacona z góry: nietykalnością możnych. Dlatego to zdanie jest ważniejsze. I dlatego, podejrzewam, nie weszło do obiegu.

Skandal spersonalizowany jest dla machiny medialnej niczym pokarm. Ma twarz, dynamikę i zapowiada rozstrzygnięcie (dymisja będzie albo nie).

Diagnoza ustrojowa jest niestrawna: nie ma twarzy, obciąża wszystkich po trochu i nie rozstrzygnie się do piątku. Sfera publiczna przypomina ów SOR: przyjmuje poza kolejnością to, co krzyczy, a to, co naprawdę potrzebuje pomocy, czeka na korytarzu.

Stary szef francuskiego wywiadu, arystokrata Alexandre de Marenches, zauważył: „Istnieją powiązania interesów tak przemożne, że nikt nie ma ochoty ich tknąć". Pisał o Francji, starej demokracji. Zatem to nie choroba postkomunizmu, lecz władzy jako takiej. A dziś nietykalne powiązania mają dodatkową linię obrony. Nawet gdy ktoś nazwie je głośno, na antenie, z pozycji świadka, usłyszane zostanie tylko to, co mieści się w nagłówku.

Miarą jakości władzy pozostaje to, kogo po skandalu odważy się tknąć. Miarą debaty jest to, które ze zdań, jakie w niej padną, w ogóle dosłyszymy.

Andrzej Zybertowicz

Autopromocja x2

eprasa.pl 11e7e24d55

STUDIO
MAGDALENY OGÓREK

| wieczorne rozmowy
| wyjątkowi goście
| ważne dla Polski sprawy



GDZIE NAS OGLĄDAĆ:

52	909 921, 196	62	192	32	825	65 339, 121	459	631	43	EPG 825, EPG PON 257	YouTube
telewizja naziemna	polsat box	CANAL+	netia	orange	vectra	PLAY	inea	TOYA	evio	multiMedia	TelewizjawPolsce24

eprasa.pl 11e7e24d55

Wesprzyj dziennikarstwo śledcze – fundament misji telewizji wPolsce24

Patrzymy władzy na ręce.
Tropimy afery.
Demaskujemy kłamstwa.
Ujawniamy niewygodne fakty.

Wojciech Biedroń
dziennikarz telewizji wPolsce24
laureat nagród SDP za reportaże śledcze



Oglądaj reportaże śledcze **w każdy poniedziałek o 20:05**

WSPIERAJ wPolsce24

wesprzyj.wpolsce24.tv

numer konta FRATRIA S.A.:
69 1020 4900 0000 8202 3036 2577
tytuł wpłaty:
DAROWIZNA

Twoje dane osobowe będą przetwarzane zgodnie z polityką RODO

eprasa.pl 11e7e24d55